

Bernhardt William

Oblicza Sprawiedliwości

Zbiór opowiadań prawniczych

Od polskiego wydawcy

Prezentowana antologia amerykańskich opowiadań prawniczych zawiera jedenaście utworów czołowych pisarzy zajmujących się tego rodzaju tematyką. Część z nich znana jest czytelnikom powieści wydawanych w Srebrnej Serii Ambera.

Ostrzegamy Czytelnika przed pochopnym porównywaniem mechanizmów prawa w USA z prawem kontynentalnej Europy, czyli także polskim. Prawo w Stanach Zjednoczonych opiera się głównie na orzeczeniach sądowych, tworzących tak zwane precedensy; dodatkowo każdy stan ma swoje własne ustawodawstwo. Tworzy to niezwykle skomplikowany i niejednoznaczny system prawny, bardzo daleki od europejskiego, w którym decyduje zapis w ustawie.

W istotny sposób różni się także procedura sądowa. Dominująca u nas zasada prawdy materialnej w USA rozmywa się jakby w licznych „sztuczkach proceduralnych” i podstępach procesowych, stosowanych w pojedynkach sądowych między adwokatem a prokuratorem. Doskonale obrazują to zawarte w tym tomie opowiadania.

Przedstawiony w antologii amerykański wymiar sprawiedliwości działa sprawnie między innymi ze względu na ogromną liczbę fachowego personelu prawniczego, odciążającego sędziów w zasadzie od wszystkich czynności poza bezpośrednim wymierzaniem sprawiedliwości. Jednak niewyobrażalny dla Europejczyka stopień komplikacji systemu prawnego praktycznie wyklucza możliwość wygrania sprawy bez odpowiedniej pomocy adwokackiej. Wymiar sprawiedliwości w USA jest mocno skomercjalizowany, choćby ze względu na powszechny system ugód między sprawcą a ofiarą. Honoraria adwokatów - zwłaszcza tzw. skutecznych - są zawrotne; należą oni obok lekarzy do najlepiej zarabiających przedstawicieli wolnych zawodów w USA. Reguły działania wymiaru sprawiedliwości doprowadziły do wytworzenia się typu bezwzględego, działającego często na granicy etyki, adwokata. Przedstawiciele tego zawodu, choć są potrzebni, nie cieszą się sympatią w społeczeństwie, ale też sami sobie na to zapracowali.

Krytykujemy, nieraz słusznie, nasze niezbyt sprawne sądownictwo. Po przeczytaniu tej książki - bardzo rzetelnie przedstawiającej amerykański system sądowniczy - niejednen z nas podziękuje losowi, że w kontynentalnej Europie funkcjonuje jeszcze prawo wywodzące się z rzymskiego...

Wstęp

Jeśli wszyscy tak bardzo nienawidzą prawników, to dlaczego kupują nasze książki?

Czy wiecie, dlaczego w laboratoriach zaczęto wykorzystywać do doświadczeń prawników zamiast szczury?

Pewnie wiecie. Dowcipy o prawnikach słyży się wszędzie - jest ich więcej niż książek prawniczych. Najczęściej spotykanym przedmiotem żartów młodych ludzi nie są już cudzoziemcy czy zawodnicy drużyny sportowej z innego miasta, lecz właśnie prawnicy. Nawet ci, którym nigdy nie przyszłoby na myśl szydzić z przedstawicieli mniejszości narodowych, bez żadnych skrupułów powtarzają żarty o prawnikach, w których ci ostatni przedstawiani są w złym świetle tylko dlatego, że należą do tej właśnie grupy zawodowej.

Dlaczego uchodzi im to płazem?

No więc dlatego, że wszyscy nie cierpią prawników - przynajmniej jeśli wierzyć mediom, satyrykom czy politykom szukającym łatwego poklasku. Nietrudno zrozumieć ten negatywny stosunek społeczeństwa do prawników. Sposób, w jaki dziennikarze przedstawiają zagadnienia prawne, woła bowiem o pomstę do nieba. Telewizyjne transmisje z procesów prezentują zdeformowany obraz amerykańskiego systemu sprawiedliwości, gdyż producenci tych programów konsekwentnie wybierają najbardziej nietypowe sprawy o sensacyjnym posmaku. Orzeczenia Sądu Najwyższego przedstawiane są skrótowo i fragmentarycznie: pokazuje się ostateczny wynik, nie wyjaśniając motywów decyzji ani nawet precedensów, na podstawie których sędziowie wybrali takie, a nie inne rozstrzygnięcie. Rzecz jasna, w tej sytuacji ich decyzje często sprawiają wrażenie nieuzasadnionych i trudnych do wyjaśnienia.

Większość obywateli rozumie wprawdzie, że każdy oskarżony ma prawo do obrony, mimo to sukces adwokata często budzi gwałtowny sprzeciw, choć przecież w logikę kontradiktoryjnego systemu prawnego wpisana jest zasada, że jeśli jedna strona wygrywa, to druga musi przegrać. Wynika z tego, że po każdym procesie cywilnym przynajmniej jedna strona wychodzi z sali sądowej i skarży się, że system nie działa prawidłowo, a wszyscy prawnicy to krętacze. A ponieważ większość spraw rozstrzygana jest polubownie, bez procesu - co oznacza, że strony godzą się na kompromis i żadna nie wygrywa - często zdarza się, iż wszyscy bezpośrednio zainteresowani opuszczają sąd niezadowoleni.

Amerykanie zaczęli więc postrzegać salę sądową nie jako miejsce, gdzie dochodzi się do prawdy, lecz jako pole rozstrzygania sporów, których wynik zależy najczęściej od zręczności prawników. To właśnie pokazanie owej szarej strefy, w której brak wyraźnych

linii rozgraniczających dobro od zła, przysporzyło popularności wielu opowieściom sądowym takich autorów, jak Jay Brandon czy Richard North Patterson, ale także przyczyniło się do powstania złej opinii społeczeństwa o prawnikach.

Problem ten dotyczy również i mnie jako autora kilku powieści o tematyce sądowej. Jeśli bowiem ludzie nie znoszą prawników, to nie powinni czytać książek o nich. Tymczasem na szczyty list bestsellerów raz po raz trafiają książki autorów, których opowiadania weszły do tej antologii: Johna Grishama, Phillipa Margolina czy Steve'a Martiniego, by wymienić tylko kilku - tych, którzy są prawnikami i piszą o prawnikach. Ja sam zacząłem pisać o prawie i prawnikach nie po to, aby wyjść naprzeciw zapotrzebowaniu odbiorców (jeszcze wówczas nieistniejącemu), ale dlatego, iż moja żona stwierdziła, że powinienem pisać o tym, na czym dobrze się znam, a problematyka prawnicza była jedyną, jaką znałem. Ani mi przez myśl nie przeszło, że powieści sądowe mogą znaleźć się na szczytach list bestsellerów i że proces O. J. Simpsona zgromadzi przed telewizorami tak olbrzymią widownię.

Jeśli zatem wszyscy nie znoszą prawników, to dlaczego czytają nasze książki?

Wydaje mi się, że powodów jest kilka. Nasze społeczeństwo staje się coraz bardziej złożone, dlatego życie każdego z nas coraz bardziej zależy od innych. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu można było żyć prawie nie stykając się z innymi ludźmi - dziś jest to praktycznie niemożliwe. Kontaktujemy się ze sobą coraz częściej, a ponieważ nasza natura jest taka, a nie inna, kontakty te prowadzą do powstania rozmaitych sporów. Niegdyś takie konflikty rozstrzygały kościoły, rodziny czy lokalne instytucje. Teraz natomiast wszyscy zwracają się do prawników: jeśli ktoś uważa, że dzieje mu się krzywda, prawie zawsze chce ją sobie powetować w sądzie.

Winą za to trudno obarczać wyłącznie prawników. Nie mogę powstrzymać się od śmiechu, gdy słyszę ludzi opowiadających, jak to ci okropni adwokaci ciągle kierują do sądu jakieś sprawy - autorzy takich wypowiedzi zapominają o tym, że w większości przypadków to klient zwraca się do adwokata o sporządzenie pozwu, a ten robi jedynie to, o co go poproszono. Sami prawnicy, znając dobrze system sprawiedliwości, starają się unikać rozstrzygnięcia przed sądem swoich spraw.

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat sale sądowe stały się też swoistymi kuźniami, w których wykuwają się narodowe wartości. Sędziowie musieli rozstrzygać spory o charakterze moralnym, a nawet religijnym, takie jak debata o prawie do aborcji, o molestowaniu seksualnym, dyskryminacji z powodu rasy, płci czy orientacji seksualnej. Jeszcze kilka pokoleń wcześniej uważano, że kwestie takie nie mogą być przedmiotem orzeczenia sądowego - dzisiaj to właśnie do sądu należy ostatnie słowo. Oddziaływanie innych instytucji

społecznych coraz bardziej słabło, więc sądy musiały wypełnić powstałą lukę. Czy można się zatem dziwić, że ludzie chcą wiedzieć, jak funkcjonuje system prawny od wewnątrz, jeśli tak wiele od niego zależy?

Drugim powodem zainteresowania problemami prawnymi jest wzrost znaczenia rządu; sprawiło to, że obywatele częściej muszą stykać się z prawem i prawnikami. Współczesny system administracyjny coraz wyraźniej ingeruje w życie ludzi, którzy albo czują się stłamszeni przez prawników, albo zmuszeni do ich wynajmowania, by pokonać (lub obejść) barierę przepisów. Fakt, że większość polityków to prawnicy z zawodu, bynajmniej nie przyczynił się do poprawy opinii o tych ostatnich. A ponieważ obywatele muszą kontaktować się z prawnikami, więc naturalną kolejną rzeczą chcą wiedzieć więcej o nich i o funkcjonowaniu systemu prawnego.

Od publikacji mojej pierwszej powieści zrozumiałem, że wielu ludzi naprawdę chce lepiej poznać sposób działania prawa. Rzecz w tym, że większość widzów nie jest aż tak naiwna, jak chcieliby producenci telewizyjni; ci ludzie nie uwierzą ślepo we wszystko, co zobaczą na ekranie - pragną czegoś więcej niż powierzchowne slogany utrwalane przez media, chcą naprawdę wiedzieć, co dzieje się w salach sądów i pokojach sędziowskich.

Jedenastu autorów, których opowiadania złożyły się na niniejszy zbiór, wychodzi naprzeciw temu oczekiwaniu. Każdy z nich gruntownie poznał rozległy świat prawa i pragnie go pokazać z własnego punktu widzenia. Myślę, że Czytelnik tej antologii będzie zdumiony bogactwem tematyki i stylów. Książki napisane przez prawników pozornie dotyczą tego samego, lecz w gruncie rzeczy każda jest inna. Świat Gideona Page'a, bohatera Grifa Stockleya, przywodzący na myśl amerykański czarny kryminal z lat pięćdziesiątych, różni się od pogodnego, przyjaznego świata sędziego Harry'ego Stubbsa z opowiadania Michaela A. Kahna. Dzielny adwokat Monte Bethune Phillipa Margolina, snujący w radiu swoje wspomnienia z batalii sądowych, w niczym nie przypomina Helen Myers, prawniczki o wątpliwym morale z opowiadania Jaya Brandona. Ciemna autostrada z utworu Phillipa Friedmana z pewnością nie należy do świata, w którym żyje Tom Moran, porządny prawnik i miłośnik domowego ogniska, bohater opowiadania Lisy Scottoline.

Nie znaczy to wcale, że w opowiadaniach tych czytamy wyłącznie o sędziach i adwokatów. Bohaterem utworu Jeremiaha Healy'ego jest John Francis Cuddy, prywatny detektyw, który często kontaktuje się z prawnikami - podobnie jak autor, był adwokat i wykładowca prawa. W moim opowiadaniu Czytelnicy spotkają znów Bena Kincaida, idealistycznego, ledwo wiążącego koniec z końcem, adwokata z cyklu powieści ze „sprawiedliwością” w tytule. Utwory te traktują przeważnie o sprawach kryminalnych,

skorzystałem więc ze sposobności, by napisać o procesie cywilnym, który w końcu okazuje się niezupełnie cywilny.

Jedną z zalet takich antologii jest to, że dają one autorom powieści możliwość pokazania innego oblicza swojego pisarstwa. W opowiadaniu Steve'a Martiniego odkrywamy humorystyczny talent tego pisarza, który zbyt rzadko mamy okazję podziwiać w jego powieściach. Richard North Patterson, autor opowiadania o dojrzewaniu młodego prawnika, zaskakuje umiejętnością przedstawienia postaci i wydarzeń w krótkiej formie literackiej, niezapewniającej pisarzowi luksusu niemal nieograniczonej liczby stron. John Grisham zaś, uwolniony od rygorów budowania akcji w thrillerze, daje próbkę daru rysowania postaci i tworzenia zwięzłej, przejrzystej prozy w opowiadaniu Urodziny, które z powodzeniem znalazłoby miejsce w każdym amerykańskim czasopiśmie literackim.

Czy powieści tych pisarzy wpłynęły jakoś na wyobrażenie czytelników o systemie prawnym? Wiem, że tak. Siedziałem kiedyś w samolocie obok pewnej kobiety, która ścisłała w dłoniach książkę Phillipa Friedmana, szybko przewracała kartki i podkreślała niezrozumiałe terminy prawnicze, aby je później sprawdzić w słowniku. Znam sędziego, który trzyma w gabinecie powieści Richarda North Pattersona, żeby - jak powiada - „nie tracić z oczu szerszej perspektywy”. Przy podpisywaniu książek rozmawiałem z parą, która przytaczała fragmenty powieści Johna Grishama jako „dowód” korupcji systemu sprawiedliwości.

Przykłady takie można by mnożyć. Łączy je jedno: czytelnicy powieści prawniczych więcej wiedzą o amerykańskim systemie sprawiedliwości i być może lepiej go rozumieją, dzięki temu, co przeczytali.

Trudno nie zauważyć, jak często słowo „sprawiedliwość” pojawia się w tekstach i tytułach opowiadań zawartych w niniejszym zbiorze. Początkowo wydawało mi się, że to ukłon w moją stronę (wszystkie siedem powieści z cyklu o Benie Kincaidzie miało w tytule „sprawiedliwość”); teraz jednak wydaje mi się, że chodzi o coś więcej. Zagadnienie dobra i zła zawsze zajmowało ważne miejsce w powieściach kryminalnych: kiedy detektyw chwycił mordercę, czytelnik ma poczucie, że świat wymknął się z otchłani chaosu, że przywrócono porządek rzeczy. Autorzy opowiadań, które znalazły się w tej antologii, idą tym samym tropem, lecz posuwają się o krok dalej: ich bohaterowie próbują zrozumieć nie tylko różnicę między dobrem i złem, ale także samą sprawiedliwość - pojęcie o wiele bardziej nieuchwytnie, bardziej ulotne. Potrzeba sprawiedliwości w świecie, który często wydaje się skrajnie niesprawiedliwy, jest udziałem nie tylko prawników, lecz większości Amerykanów, i to może być kolejnym źródłem popularności thrillerów sądowych.

Jako prawnik z dziesięcioletnią praktyką muszę przyznać, że system jest daleki od doskonałości. Nie wierzę jednak w uogólnienia w rodzaju „Ten system jest do niczego” lub „Wszyscy prawnicy to krętacze”. Cynizm przychodzi łatwo, ale jest też całkowicie bezproduktywny. Jeśli chcemy poprawić system sprawiedliwości, musimy przyjrzeć mu się dokładnie i zaproponować kierunek zmian. Rzecz jasna, „czynnik edukacyjny” powieści sądowych nie jest jedyną ani też najważniejszą ich wartością. Nie ulega jednak wątpliwości, że większość czytelników to ludzie inteligentni, poszukujący książek, które bawią, ale także pozwalają dowiedzieć się czegoś nowego o świecie.

Znajomi pytają mnie czasem, czy powieści sądowe utrzymają swoją obecną popularność. Wszystko się zmienia, to oczywiste, ale nie wydaje mi się, aby zainteresowanie prawem miało szybko zniknąć. Świat nigdy jeszcze nie był tak skomplikowany, więc ludzie coraz częściej poszukują odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Zawsze będą tacy, którzy pragną poznać mechanizmy funkcjonowania instytucji społecznych, i tacy, którzy uważają, że prawnicy mają bezpośredni wgląd w owe sekrety. Wiele osób wierzy nawet, iż prawnicy sterują tymi mechanizmami i że mogą udoskonalić ich działanie. Dopóki przekonanie to się utrzyma, ludzie będą czytać powieści, dzięki którym choć na kilka godzin można uwierzyć, że sprawiedliwość naprawdę istnieje.

Jeśli ktoś czeka na pointę dowcipu, oto ona: technicy zaczęli wykorzystywać do doświadczeń prawników zamiast szczury, ponieważ do prawników trudniej się przywiązać. Są przecież takie rzeczy, których szczur nigdy by nie uczynił.

William Bernhardt

Rozwód

W utworach prawników-pisarzy spotkaliśmy mnóstwo niezwykłych postaci, lecz niewiele z nich zostało przedstawionych z taką emocjonalną siłą i uczciwością jak Gideon Page Grifa Stockleya, prawnik, bohater kilku jego powieści oraz zamieszczonego tu opowiadania. Za chwilę autor wprowadzi Czytelników w mroczny świat Gideona Page'a, w którym „prawda” to pojęcie abstrakcyjne i nic nie jest tym, czym się na pozór wydaje.

Czy zwróciła się pani do sądu o wydanie nakazu ochrony? - pytam kobietę siedzącą naprzeciwko, która przed chwilą zdjęła okulary. Otoczone wielkim sińcem oko Lydii Kennerly wygląda, jakby było dziełem wprawnej wizażystki. Fiolet, granat, zieleń. Ach, te kobiety. Dziwne, że tak niewielu mężczyzn ginie z ich ręki.

- Nie wiem, co to takiego, panie Page - odpowiada łamiącym się głosem. Julia, nasza recepcjonistka powiedziała, że pani Kennerly płacze od chwili, gdy weszła do poczekalni godzinę temu. Jestem adwokatem od spraw kryminalnych i sprawy rodzinne specjalnie mnie nie interesują, ale dopływ gotówki zmniejszył się w tym miesiącu niczym strumień moczu przeciskający się obok spuchniętej prostaty, więc przyjąłem klientkę, zamiast odesłać ją do mojego najlepszego kumpla Dana Baileya, który ostatnio coraz częściej zajmuje się sprawami rodzinnymi.

Wyjaśniam klientce, że kobieta (mężczyzna teoretycznie też, rzecz jasna) ma prawo pójść do kancelarii sądowej, gdzie urzędnik pomoże jej wypełnić zeznanie stwierdzające pobicie przez małżonka, a sędzia może zaocznie wydać nakaz opuszczenia przezeń domu. Później sędzia zarządza przesłuchanie obu stron i jeśli kobieta przekona go do swoich racji, otrzymuje zasiłek na dziecko, a mąż dostaje zakaz zbliżania się do niej.

- Chcę rozwodu i jestem gotowa panu zapłacić - mówi zdecydowanym tonem, zaciskając szczęki. - Boję się Ala, panie Page. On umie manipulować ludźmi. Potrafi owinąć sobie policjanta wokół palca w pięć sekund. Jak pan go zobaczy, sam się pan przekona.

- To może być kosztowne, jeśli mąż nie zgodzi się dobrowolnie na rozwód - wyjaśniam szybko. W końcu to ona pierwsza wspomniała o pieniądzach.

Zamiast odpowiedzi sięga do portmonetki i wyciąga pięć banknotów studolarowych.

- Czy to wystarczy na początek? - pyta trzepocząc nerwowo rzęsami, jakby obawiała się, że mogę ją uderzyć.

- Jasne - odpowiadam, chowając pieniądze. W większości spraw, które przechodzą przez moje biurko, zaliczka to pułapka na głupiego adwokata. Być może nie dostanę więcej ani centa, ale takich pieniędzy nie widziałem od przeszło tygodnia, ponieważ reprezentowałem akurat w sądzie drobnego handlarza narkotykami, który dostał lanie za posiadanie marihuany. Zresztą pani Kennerly ubiera się nie najgorzej i na moje oko może być nieźle nadziana. Wiek nieco ponad trzydzieści lat. Ma na sobie letni kostium, jakie widuję czasem na okładce magazynów mody przeglądanych przez Julię. Odrywam wzrok od twarzy klientki i widzę, że niebieska sukienka przylega do figury, której nie można nic zarzucić. Założę się, że nosi piątkę.

Ameryka staje się krajem niedźwiedzi polarnych, a ja zdecydowanie się do nich zaliczam. Każdego lata obiecuję sobie zrzucić wagę, a potem ją utrzymać, ale moje dobre chęci wytrzymują mniej więcej tak długo, jak kartonik mleka na półce sklepowej. Zważyłem się dzisiaj rano i bez zachwyty skonstatowałem, że ważę dziewięćdziesiąt kilogramów. Tiger Woods, wokół którego obracają się wszystkie rozmowy w tej części szesnastego piętra wieżowca Laymana, gdzie oprócz mnie urzęduje jeszcze pięciu adwokatów, waży o piętnaście kilo mniej, mierząc metr osiemdziesiąt pięć, czyli o siedem centymetrów więcej. Pocieszam się, że jest też o trzydzieści lat młodszy, jeśli to może stanowić jakąś pociechę. Lydia Kennerly zaś wygląda tak, jakby mogła się zważyć na wadze do pomidorów w supermarkecie. Nie słyszałem, aby w jakiejś książce o dietach dla kobiet wspomiano o kuracji za pomocą przemocy w rodzinie, a sądząc z wyglądu mojej klientki, rozdział temu poświęcony mógłby się tam znaleźć.

W ciągu czterdziestu pięciu minut spisuję dane Lydii Kennerly i teraz możemy podpisać umowę. Moja klientka jest bezdietna, co należy uznać za plus, bo jeśli jej mąż jest takim draniem, jak opisuje Lydia, to mogłaby się z nim rozwieść, ale nigdy pozbyć całkowicie, gdyby mieliby dzieci. Mieszka w Arkansas dopiero od czterech miesięcy (żeby dostać rozwód w tym stanie, trzeba tu mieszkać co najmniej sześćdziesiąt dni); podoba jej się i chce tutaj zostać. Sprowadziła się do Arkansas z Północnej Karoliny, aby pomóc w opiece nad ciotką chorą na cukrzycę, której stan ostatnio się poprawił. Podejrzewam, że uciekała przed mężem, ale ten przyjechał za nią dwa miesiące temu. Lydia jest z zawodu księgową i obecnie szuka pracy. Mąż sprzedaje samochody, ale w tej chwili nie pracuje, co nie jest dla mnie zaskoczeniem. Moja klientka dostaje chyba pieniądze od ciotki, która pewnie w ten sposób odwdzięcza się jej za opiekę. Lydia i Al wynajęli na sześć miesięcy dom w

południowo-zachodniej części miasta.

- Czy może pani zamieszkać z ciotką, dopóki sytuacja się nie uspokoi? - pytam, wiedząc z doświadczenia, że nadużywający pięści mężowie raczej nie skaczą z radości, gdy dostają nakaz wyprowadzenia się lub wezwanie na sprawę rozwodową.

- Nie powinnam jej niepokoić - waha się pani Kennerly. - Mogę się zatrzymać w motelu na kilka dni.

Proponuję schronisko dla maltretowanych kobiet, ale moja klientka marszczy tylko nos. Prawdę mówiąc, nie dziwię się. Schroniska są potrzebne, ale przebywanie w nich z pewnością nie należy do przyjemności. Pani Kennerly zobowiązuje się zapłacić mi pięć tysięcy dolarów, jeśli proces okaże się trudny, a ja nie zamierzam jej zniechęcać. Niektóre podane przez nią informacje nie są zbyt precyzyjne, ale to często się zdarza. Jeśli myślisz tylko o tym, żeby wymknąć się z domu, choćby nawet z pokiereszowaną twarzą, to trudno skupić się na liczeniu mebli w mieszkaniu.

- Jak daleko on może się posunąć? - pytam po oszacowaniu majątku i długów. Majątku nie ma wiele, ale długów też nie. W naszym stanie przeważa własność komunalna, ale mojej klientce to nie pomoże. Facet nie przepracowywał się w ciągu pięciu lat ich małżeństwa, więc na alimenty nie ma co liczyć.

- W zeszłym roku złamał mi nos - mówi, dotykając twarzy. - Zachowuje się coraz gorzej.

Kiedy tej kobiecie zagoi się oko, będzie na co popatrzeć. Makijaż ma nieco zbyt mocny jak na mój gust, ale jest bardzo atrakcyjna: blondynka, lekko opalona, o szerokich, zmysłowych ustach. Odkąd moja córka Sara zaczęła ze mną pracować w wakacje jako asystentka, cały czas wytyka mnie i Danowi, że zachowujemy się jak męscy szowiniści. Nigdy nie ujdzie jej uwagi, jak patrzę na klientki (te atrakcyjne), i jak rozmawiamy z Danem o ich wyglądzie. Trzeba przyznać, że ma rację; nie tak łatwo pozbyć się starych nawyków.

- Pani nos wygląda doskonale - zauważam mimo woli. Naprawdę tak jest, co dowodzi, że medycy umieją jednak coś więcej niż powtarzanie dowcipów o prawnikach.

- To silny mężczyzna - wyjaśnia pani Kennerly - i kiedy wpada w szal, jest jak dzikie zwierzę.

Kiwam głową, jak gdybym wszystko to już słyszał, bo prawdę mówiąc słyszałem. W głębi duszy stale prześladowuje mnie obawa, że kiedyś zastrzeli mnie jakiś wściekły mąż jednej z moich klientek. Adwokaci bywają zabijani częściej, niż jest to absolutnie konieczne, a mnie grożono już nieraz.

- Czy zostawiła pani kiedyś męża, by potem wrócić do niego? - pytam, wodząc

długopisem po kartce.

Pani Kennerly dotyka okularów.

- Tym razem to się nie powtórzy - odpowiada ochryplym od płaczu, lecz zdecydowanym głosem. - Jeszcze nigdy nie zaszłam na tej drodze tak daleko.

Ma na myśli to, jak rozumiem, że nigdy przedtem nie złożyła pozwu rozwodowego. Jeśli o mnie chodzi, tylko raz spróbowałem owocu małżeństwa, ale była to próba rzetelna. Po służbie w Korpusie Pokoju trzydzieści lat temu ożeniłem się z dziewczyną z Ameryki Południowej; nasz związek trwał dwadzieścia jeden lat i przerwał go dopiero rak piersi. Rosa - w której żyłach płynęła krew indiańska, murzyńska i hiszpańska - była cudowną kobietą, choć upartą jak kolumbijski muł. W jednym dniu życia potrafiła zawrzeć więcej pasji niż ja w dziewięciu latach, jakie upłynęły od jej śmierci. Przez ten czas moje sprawy uczuciowe układały się równie chaotycznie, jak małżeństwo Lydii Kennerly, z tą różnicą, że mnie udało się uniknąć przemocy. Nigdy nie uderzyłem kobiety, choć z drugiej strony mógłbym wymienić kilka, które z pewnością poczułyby się lepiej, gdyby mi przyłożyły raz i drugi.

- Czy mąż nosi przy sobie broń? - pytam, kreśląc w notesie kontur pistoletu.

- Czasami - odpowiada klientka, wciągając głęboko powietrze. - Zamierza starać się o specjalne pozwolenie na posiadanie broni, chociaż właściwie jej nie potrzebuje. Kiedyś omal nie zabił faceta gołymi rękami, bo wydawało mu się, że tamten próbuje się do mnie przystawiać.

Pięknie. Jeśli tak dalej pójdzie, w tym kraju trzeba będzie zmienić godło z orła na koguta bojowego. Ja nie noszę broni.

- Chodźmy do sądu - proponuję, wstając. - Osobiście nie zaliczam się do bokserów.

Nie jest ze mną aż tak źle, bo w ostatniej walce, w której brałem udział, jakieś cztery czy pięć lat temu, byłem górą, dopóki nie straciłem zęba. Z bijatykami tak już jest, że rzadko bywają uczciwe. Wybrałem się do speluny w powiecie Saline, żeby pogadać ze świadkiem, a jego kumpłom jakoś nie przypadła do gustu moja twarz. Przez tydzień wyskubywałem z niej potem okruchy asfaltu. Z zemstą musiałem poczekać do rozprawy w sądzie.

Po zabraniu formularza od Julii - która przypomina mi, że za wydanie nakazu ochrony nie pobiera się opłaty, więc nie potrzebuję czeku na kosza sądowe - udajemy się razem do budynku sądu okręgowego w Blackwell. Idziemy obok siebie w rozgrzanym sierpniowym powietrzu. Mogłem puścić klientkę samą, ale wiem, że poczuje się pewniej, jeśli będę jej towarzyszył. Pani Kennerly sprawia wrażenie niespokojnej, więc zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie idzie za nami jej mąż. Jakimś przedziwnym sposobem paranoje moich klientów udzielają się i mnie. Ostatni raz strzelałem z broni palnej czterdzieści lat temu, gdy

mama odebrała ojcu pistolet kaliber dwadzieścia dwa, strzelbę i karabin; jego choroba psychiczna zaczynała się już wówczas nasilać.

- Jak pani do mnie trafiła? - pytam, gdy przechodzimy przez ulicę na czerwonym świetle. Jest zbyt gorąco, żeby trzymać się przepisów.

- Rozejrzałam się trochę - odpowiada, wpadając na mnie niechętny przy wchodzeniu na krawężnik Trzeciej ulicy. - Wiem, że zdobył pan swoją reputację w sprawach karnych. Pomyślałam, że nie zaszkodzi mieć obrońcę, który zna paru policjantów i detektywów.

Oglądam się przez ramię, ale dostrzegam tylko jednego z niegroźnych, pewnie chorych psychicznie, bezdomnych w brudnym płaszczu, którego chyba nigdy nie zdejmuje. Jak to możliwe, że kobiety potrafią żyć w ciągłym strachu? Ogarnia mnie wzburzenie i niepokój, a przecież nawet jeszcze nie spotkałem tego człowieka. Może jednak powinienem sprawić sobie pistolet? Sara mieszka tego lata w centrum, więc też powinna mieć broń. To zdecydowanie poprawiłoby mi samopoczucie.

- Wygrałem kilka spraw - potwierdzam z satysfakcją. Jestem adwokatem dopiero od siedmiu lat; przedtem, zanim Rosa namówiła mnie do zapisania się do wieczorowej szkoły prawniczej, osiemnaście lat pracowałem w opiece społecznej. Prawie dwadzieścia lat stykania się z przemocą wobec dzieci w rodzinie to dość, a ja wiedziałem, że dam sobie radę nie gorzej niż adwokaci, których spotykałem w sądzie dla nieletnich. Jednak to właśnie moja żona tuż po tym, jak stała się najdumniejszą w powiecie obywatelką amerykańską i dyplomowaną pielęgniarką, przekonała mnie, że mogę pracować, uczyć się i utrzymywać rodzinę. Bo ona potrafiła to wszystko połączyć.

- Tak właśnie słyszałam - mówi Lydia. Wchodzimy do budynku sądu, który został ostatnio przebudowany. Poczuję się pewniej, gdy minimy wykrywacz metalu, chociaż podejrzewam, że urządzenia nie są doskonałe i można je oszukać. Przeczytałem ostatnio kilka artykułów o przypadkach mordowania sędziów w sali sądowej. W windzie musimy stanąć blisko siebie i jest to całkiem przyjemne.

- Na pochlebstwie można daleko zajechać - rzucam, wiedząc, że pozostali pasażerowie usłyszą moje słowa i będą się zastanawiać, co mam na myśli. Mimo podbitego oka Lydia jest o dziewięćdziesiąt dziewięć procent bardziej atrakcyjna niż każda z kobiet, z którymi ostatnio się stykałem. Czuję delikatny piżmowo-różany aromat, unoszący się od jej szyi. Dlaczego kobiety wiążą się z mężczyznami, którzy je biją? Gdyby to się zdarzyło Sarze, nie wiem, co bym zrobił.

Po załatwieniu papierkowej roboty w sekretariacie przechodzimy do kancelarii piątego wydziału sądu. Pytam Barbarę Simmons, moją tutejszą sympatię, czy widziała dzisiaj

sędziego Rydera. Niech moja klientka zobaczy, że zarabiam na pieniądze, które mi zapłaciła. Zawsze lubiłem Murry'ego Rydera. Ten sędzia, który potrafi zachować się niekonwencjonalnie, a przy tym traktuje każdego wyrozumiale i sprawiedliwie, czego nie można powiedzieć o wszystkich jego kolegach. Barbara, która ma córkę w wieku Sary, wyjaśnia, że sędzia przed chwilą zakończył sprawę i wyszedł do bufetu napić się kawy. Ma niedługo wrócić. Prowadzę Lydię do biura Sandry Denny, osobistej sekretarki sędziego, zajmującej się układaniem jego planu pracy. Kobiety rządzą w sądzie tak samo, jak w kancelariach adwokackich. Nadejdzie dzień, gdy upomną się o prawo do zajmowania posady woźnego sądowego i wtedy przejmą w swoje ręce cały wymiar sprawiedliwości. Już teraz połowa sędziów w wydziale spraw handlowych sądu w Blackwell to kobiety.

Sędzia Ryder ma oko do kobiet, więc kiedy Sandra wprowadza nas do jego gabinetu, wita mnie jak starego kumpla, z którym chodzi na ryby, a nie jednego z wielu znajomych adwokatów.

- Gideon, kiedy wreszcie coś zrobisz z tą pogodą? - pyta, obrzucając wzrokiem moją klientkę. Sędzia jest naprawdę przystojnym mężczyzną; przypomina świętej pamięci przewodniczącego Sądu Najwyższego Warrena Burgera - białe jak bawełna włosy sprawiały, że wyglądał niczym wizerunek sędziego doskonałego. Nie uważałem Burgera za głupca, ale lepiej wykształceni ode mnie prawnicy kpili sobie czasem, że bawełna znajduje się nie tylko na czaszce sędziego, ale i w środku.

Jak przystało na dżentelmena, sędzia wstaje, kiedy przedstawiam mu Lydię; pozwala mi opowiedzieć o sprawie, mimo że właściwie wszystko jest jasne i mógłby wydać nakaz, nie widząc mojej klientki. Poprosiłem ją wcześniej o zdjęcie okularów; w ciemnym gabinecie podbite oko nie mieni się kolorami tęczy - jest czarne.

- Dobrze przynajmniej, że nie zranił pani nożem - sędzia spoziera na Lydię sponad okularów. - Była tu wczoraj kobieta, której mąż przeciął policzek jej własną obrączką. Rana ni stąd, ni zowąd zaczęła krwawić podczas naszej rozmowy. Musiałem zadzwonić do Sandry, żeby przyniosła bandaż.

Lydia nie wie, jak zareagować na tę wiadomość, więc tylko patrzy na sędziego. Przerwywam milczenie, informując go, że mąż mojej klientki nosi broń.

- Jeśli przyjdzie na przesłuchanie, powinien pan poprosić Ralpa, żeby go przeszukał - mówię. - Chyba bez większego trudu można przemknąć się z pistoletem przez tę bramkę na dole. Parę dni temu czytałem o zastrzeleniu sędziego w Ohio.

Murry wzdyga się lekko, po czym otwiera szufladę i wyciąga pistolet kaliber czterdzieści pięć z rękojeścią wyłożoną macicą perłową.

- Też czytałem ten artykuł - mruczy sędzia, marszcząc czoło i mierzy starannie do drzwi. - Jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi tego użyć, pewnie chybię i zranię Ralpha albo Sandrę.

Odkłada broń do szuflady i zapisuje coś w notesie.

Spotkania poza salą sądową bywają czasami niekonwencjonalne, a trzeba przyznać, że Murry ma temperament. Nie można też wykluczyć, iż sędzia wyciągnął swój słynny pistolet, licząc na to, że wieść o nim dotrze do Ala Kennerly'ego i zrobi na nim wrażenie. Zerkam na Lydię. Ma oczy ukryte za ciemnymi okularami, więc Bóg jeden wie, co dzieje się w jej głowie.

- Byłem ostatnio w Conway - mówię. - Nie ma tam żadnych zabezpieczeń. Około wpół do piątej wszedłem prosto do gabinetu sędziego. Był zupełnie sam. Mogłem strzelić mu między oczy i wyjść.

- Co to za sędzia? - pyta Murry, zerkając na Lydię. Moja klientka siedzi tak prosto, że patrząc na nią zaczynam odczuwać ból pleców.

Murry parska śmiechem, słysząc nazwisko.

- Nie skazaliby cię za to, nawet gdybyś go sprzątnął w niedzielę przed kościołem.

Uśmiecham się z aprobatą. Murry ma pewnie w zanadrzu jakąś dykteryjkę, którą chce się z nami podzielić. Właśnie w tym momencie, niczym żona wpadająca niespodzianie na przyjęcie męża, do gabinetu wchodzi bez pukania Sandra ze swoim dużym notesem.

- Zajmie się pan tą sprawą? - pyta beznamiętnym tonem.

- Jasne. - Murry posyła mi sztubacki uśmieszek. - Mam wydać orzeczenie w sprawie, którą zakończyłem rok temu - wyjaśnia.

Składa zamaszty podpis na formularzu, jak gdyby podpisywał Deklarację Niepodległości, i podaje mi go.

Wstaję z niedbałym uśmiechem; mam wrażenie, że siedzimy w gabinecie z uczniem szkoły średniej, a nie sędzią.

- Dziękuję, panie sędzio.

Przechodzimy do biura Sandry. Z uśmiechem wręcza mi formularz z datą przesłuchania.

- Nie powinieneś opowiadać mu takich historii. Sędziowie się denerwują, a my i tak mamy dość kłopotów z ludźmi, którzy uważają, że sąd potraktował ich niesprawiedliwie.

- Ależ ja nie zmyślałem - protestuję. - Nie jest bezpiecznie być sędzią.

Sandra ruchem głowy wskazuje moją klientkę, przyglądającą się fotografii na ścianie.

- Być kobietą też jest niebezpiecznie.

Idziemy na najniższą kondygnację, skąd nakaz ma być przesłany do biura szeryfa. Potem wychodzimy z budynku.

- Co pani myśli o sędzi? - pytam.

- Mam wrażenie, że trochę się popisywał - mówi Lydia, nachylając się ku mnie lekko.

Czy rzeczywiście tak było? Jestem pewien, że moja córka tak właśnie by to odebrała. Lydia wyraźnie zaczyna odczuwać męczącą wilgotność powietrza, zwalням więc kroku.

- On jest całkiem dobrym sędzią - mówię, ujmując Lydię pod ramię, bo potknęła się przy zstępowaniu z krawężnika. Od budynku Laymana dzielą nas jeszcze cztery przecznice.

- Dobrze się pani czuje?

Cienka bluzka przylepia się do jej ciała; Lydia zatrzymuje się, aby oderwać materiał od skóry, jakby to mogło ją ochłodzić.

- To jest trudniejsze, niż przewidywałam. Wszystko dzieje się tak szybko, że aż kręci mi się w głowie.

Kiwam głową; jak zwykle zapomniałem o tym, że nawet najłatwiejsze etapy procesu bywają dla kobiet okropne. Dobrze, że z nią poszedłem. Jeśli nikt ci nie pomaga, kontakt z wymiarem sprawiedliwości może być udręką. A poza tym pogawędka z sędzią żadnemu adwokatowi jeszcze nie zaszkodziła.

- Nie ma się czego obawiać. Będę z panią od początku do końca.

Lydia bierze mnie pod rękę.

- Bardzo na to liczę, panie Page, proszę mi wierzyć.

Po południu wręczam zeznanie Lydii mojej córce, żeby sporządziła projekt pozwu. Sara rozpocznie po wakacjach naukę na ostatnim roku uniwersytetu w Fayetteville.

- To ja powinnam była z nią rozmawiać - zauważa, marszcząc brwi. - Jest z pewnością bardzo ładna. Chyba zauważyłeś już, że atrakcyjne klientki zagarniasz dla siebie.

Obracam się na krześle i opieram nogi na szufladzie biurka. A więc to też ma być przejaw mojego męskiego szowinizmu, konstatuuję, trochę zmęczony niekończącą się litanią Sary. Marzy mi się od dawna, że pewnego dnia zostaniemy współnikami w firmie adwokackiej Page & Page, ale początek nie jest zbyt obiecujący. Sara jako przedmiot specjalizacji wybrała historię; ciągle mnie ocenia i jak dotąd moje stopnie wyglądają fatalnie.

- Nie było cię.

Umówiliśmy się z Sarą, że raz w tygodniu rano będzie pracować społecznie w schronisku dla maltretowanych kobiet. Moja córka, kubek w kubek podobna do matki, przechodzi nieustającą ewolucję: od ukończenia podstawówki zdążyła już być chrześcijańską

fundamentalistką, cheerleaderką drużyny Brzytew, członkinią grupy feministycznej KPG (Kobiety Przeciw Gwałtom), wolontariuszką w walce z AIDS, a teraz najwyraźniej mianowała się moim osobistym sumieniem.

- Czy zaproponowałaś jej, żeby zgłosiła się do schroniska? - pyta, oglądając zdjęcie sińca Lydii. - Ona jest naprawdę ładna.

- To nie przestępstwo - przypominam córce, która odziedziczyła po matce ciemną karnację i gęste czarne włosy. - Spędzi parę dni w motelu do czasu, gdy dostarczymy mężowi nakaz opuszczenia domu. Poszedłem z nią do sędziego.

Sara przewraca oczami. To ona zazwyczaj się tym zajmuje.

- A więc Lydia ma pieniądze.

- To też nie jest przestępstwo.

Sara nie przyjęła jeszcze do wiadomości zasad systemu wolnorynkowego, uważa więc, że nie wolno odprawiać żadnego klienta, a zwłaszcza kobiety maltretowanej przez męża. Chwalebne to przekonanie, ale jak dotąd żaden z moich wierzycieli nie zechciał wziąć go zamiast czeku.

- À propos, ten facet może być niebezpieczny. Lydia twierdzi, że czasami nosi pistolet i naprawdę nie wiadomo, do czego jest zdolny.

Sara krzywi się.

- Tato, czy wiesz, że ponad czterdzieści procent zamordowanych kobiet ginie z rąk swoich partnerów?

- Nie wiedziałem - zerkam na torebkę cukierków w szufladzie. Udaje mi się odeprzeć pokusę. Zjadłem już dzisiaj sześć, a jeszcze nie minęła druga. Każdy zawiera dwadzieścia kalorii, które robią swoje. - Uważasz, że to zaskakujące?

Od czasu, gdy zaczęła pracować w schronisku, Sara bez ustanku przytacza dane statystyczne o przemocy w domu. Wczoraj dowiedziałem się, że w naszym kraju co dziewięć sekund jakaś kobieta zostaje pobita. Przedwczoraj córka poinformowała mnie, że dwadzieścia pięć procent maltretowanych kobiet jest w ciąży.

- Zastanów się nad znaczeniem tego faktu! Kobieta jest bezpieczniejsza na ulicy niż we własnym domu. Przemoc w rodzinie stanowi najczęstszą przyczynę zranień kobiet. Więcej kobiet pada ofiarą partnerów niż napadów na ulicy i wypadków samochodowych.

- Jako gatunek wykazujemy skłonność do przemocy - przyznaję, zastanawiając się na ile dokładne są informacje Sary. Moja córka powoli zamienia się w chodzący rocznik statystyczny. - Chyba przeczytałem gdzieś, że to kobiety zazwyczaj prowokują akty przemocy. Ktoś chyba przeprowadził nawet odpowiednie badania.

- To nonsens! - protestuje Sara, zgodnie z moimi przewidywaniami. - Jeśli przyniosę ci książki na ten temat, przeczytasz?

Moja córka, tak samo jak jej matka, angażuje się we wszystko bez reszty, i za to ją kocham. Sara ma jednak więcej poczucia humoru, choć może to tylko sarkazm. Wie dobrze, że szybko przekartkuję to, co mi przyniesie, powiem, że przeczytałem, a ona przyłapie mnie na pierwszym pytaniu. Dan powiada, że powinienem czuć się zaszczycony, iż Sara uważa mnie za wartego ratowania.

- Jasne. Wynajmij ciężarówkę i przywieź wszystko, co wpadnie ci w rękę.

- Nie ma tego aż tyle - śmieje się Sara. - Tobie i Danowi dobrze by zrobiło, gdybyście zapoznali się z zagadnieniem przemocy w domu. To ma bezpośredni związek z władzą i jej wykorzystywaniem.

Sięgam do biurka i wyjmuję akurat tego cukierka, którego najmniej lubię - różowego.

- Ann Landers twierdzi inaczej - rzucam przekornie. - Przeprowadziła ankietę, w której sześćdziesiąt procent kobiet przyznało się ponoć do tego, że to one uderzają pierwsze.

Moja córka przesuwając rękami po dżinsach w górę i w dół, co oznacza, że stara się opanować złość.

- Ann Landers jest czterysta lat do tyłu. Nie ma zielonego pojęcia o tym, jak powinna wyglądać rzetelna ankieta. Nie uda jej się ogłupić czytelniczek swoimi bzdurami. Według badań FBI z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, w dziewięćdziesięciu ośmiu przypadkach na sto aktów przemocy dopuszczają się mężczyźni.

Dzwonek telefonu daje mi wymówkę, żeby przerwać tę nikomu niepotrzebną dyskusję. Wątpię, czy schronisko to właściwe miejsce do prowadzenia obiektywnych badań problemu przemocy w rodzinie. Podczas rozmowy z klientem, który nie może się pogodzić z wyznaczeniem na jutro przez sąd przesłuchania w sprawie cofnięcia zwolnienia warunkowego, raz po raz wracam myślą do sporu z Sarą. Z mojego doświadczenia zawodowego wynika, że racja jest po jej stronie. To kobiety zwracają się do sądu o wydanie nakazu ochrony, to one przychodzą do adwokatów posiniaczone, to one dzwonią do nich do domu, żeby opowiedzieć o niewiarygodnych wręcz aktach przemocy i zastraszenia. Wolę bronić handlarza narkotykami niż faceta, który bije żonę. Ci ludzie - a są to często prawdziwe świry - zajmują ostatnie miejsce na mojej liście klientów.

- Jessie, siad! - komenderuję po raz dziesiąty, i znów na próżno. Moja suka, pięcioletnia charcica, popiskuje żałośnie. Tak jak mnie uczono na kursie tresury psów, próbuję podciąć jej nogi i przycisnąć jednocześnie tułów do ziemi, ale ona piszczy, jakbym

obdzierał ją ze skóry. Charty nie są stworzone do siedzenia, mówi mi pełnym wyrzutem spojrzeniem.

- Masz smykałkę do tresury - śmieje się Dan z altanki w ogrodzie. - Moglibyśmy nagrać kasetę z tobą i Jessie. Sukces rynkowy murowany.

Ocieram pot z czoła.

- Już dobrze, mała - mówię, podając jej psiego biszkopta. - Odpocznijmy sobie teraz.

Otwieram drzwi altanki i trzymając smycz w ręku, wpuszczam Jessie pierwszą. Jak zwykle zatrzymuje się na moment przed schodami. Geniuszem to ona nie jest.

- No, przecież to umiesz! - zachęcam.

Dan parska śmiechem i bierze chipsa z miseczki na stole.

- Ile wydałeś na te lekcje tresury? - pyta rozbawiony tym pokazem triumfu psa nad człowiekiem.

- Sto dolarów - mrużę gniewnie, rzucając mu biszkopta. - Zawołaj ją.

- No chodź tu, maleńka - wabi słodko Dan i nagle odgryza kęs biszkopta.

Widząc, jak jej smakołyk znika w ustach Dana, Jessie przeskakuje dwa stopnie wrywając mi smycz z dłoni. Uderza głową w plastikowy stół dość silnie, by zrzucić miseczkę z chipsami i piwo Dana. Po chwili chipsy znikają w potężnych szczękach Jessie, a my próbujemy je zbierać z podłogi, jakbyśmy rywalizowali z nią w łańcuchu pokarmowym.

- O, nie - sapie Dan, któremu udało się uratować większą część piwa. - Gorąco jak wszyscy diabli, ale tego przedstawienia nie przepuściłbym za nic w świecie: ja i Jessie, twoi najlepsi przyjaciele, oddajemy się temu, w czym jesteśmy najlepsi.

Opadam bezsilnie na krzesło. Dan ma na myśli jedzenie, rzecz jasna.

- Jak smakuje? - pytam.

Dan jest niesamowicie gruby. Sto dwadzieścia kilo żywej wagi, a to, jak się zdaje, nie koniec jego możliwości. Nie wiem, dlaczego tyle je. On sam też zresztą nie wie. Ludzkie postępowanie, jak powtarza w leniwe sobotnie popołudnia, to jedyna wielka tajemnica, jaka jeszcze pozostała. Mimo oszałamiających postępów nauki, zagadka relacji między ciałem i świadomością pozostaje nierozwiązana.

- Mógłbym je polubić - odpowiada mój przyjaciel, żując z namysłem biszkopta. Jessie zdążyła już pochłonąć chipsy, więc rozkłada teraz swoje długie, gładkie ciało na deskach, którym daleko do idealnej gładkości. Jessie jest bez wątpienia najatrakcyjniejsza z całej naszej trójki. Jej doskonale kształty stworzył geniusz natury. Podczas spaceru nikt nawet na mnie nie spojrzy, za to zawsze znajdzie się ktoś, kto zachwyci się urodą Jessie. Bo właściwie czemu nie? Przecież ona jest psem z klasą, niegdyś biegającym na wyścigach w Memphis, i

ja, jej właściciel, nie mogę się z nią równać.

- Nasz wielki błąd polega na tym - zauważa Dan, rozsiadając się wygodnie w fotelu i kładąc stopy na wewnętrznej belce altanki - że zakładamy istnienie jakiejś znaczącej różnicy między nami i Jessie. Gdybyśmy uznali, że takowej nie ma, rasa ludzka poczułaby się o niebo lepiej.

Wycieram ręce i biorę głęboki wdech. Mam chyba genetycznie zakodowane uwielbienie dla tego nieznośnie wilgotnego letniego powietrza w Arkansas.

- Tego cię nauczyli na filozofii? - pytam kpiącym tonem. Filozofia była głównym przedmiotem Dana w college'u. Przyszedłem na świat w rodzinie katolickiej i czasami wierzę, że życie musi mieć jakiś cel, ale to zdaje się wszystko, co zostało mi z religii. Dan mówi jak zatwardziały cynik, ale w środku jest miękki jak gąbka. Niedawno wziął rozwód; sprawa była długa i bardzo nieprzyjemna. Powinien być szczęśliwym mężem i ojcem pięciorga dzieci, a on męczył się przez dwadzieścia lat w małżeństwie bez miłości i nic z tego nie ma. Wydaje mi się, że tak chętnie bierze sprawy rozwodowe, bo po prostu lubi dzieci.

- Nauka wszystko zniszczyła, tylko nikt nie chce tego przyznać - konkluduje.

Z domu dobiega słaby dźwięk telefonu; nie bardzo chce mi się fatygować, ale to może być moja dziewczyna Angela, która mieszka w moim rodzinnym miasteczku Bear Creek we wschodniej części Arkansas. Po burzliwym lipcu próbuję załagodzić sytuację między nami. Pod naszym wspólnym mostem nagromadziło się tyle spienionej wody, że oboje lękamy się nań wejść. Jessie, zadowolona ze zdobycia altanki, nie idzie za mną.

- Przynieś mi jeszcze jedno piwo, mecenasie! - woła Dan.

Wchodzę do kuchni z myślą, że patrząc z kosmicznej perspektywy, mam bardzo mało problemów. Ogarnia mnie przyjemny, błogi nastrój wywołany przez ciepłą pogodę, rozmowę z przyjacielem i jedzenie. W sobotnie sierpniowe popołudnie świat nie jest taki zły. Po kilku piwach Dan zaczyna snuć rozważania nad problematycznością istnienia. Ja wprost przeciwnie - gotów jestem cieszyć się życiem, gdybym tylko zdołał zapanować nad związkiem z Angłą. Jeśli rozumiem, jak działa telefon, nie ma powodu niepokoić się o mój mózg.

- Halo - mówię do słuchawki, starannie kontrolując głos. Wypiłem drugie piwo, a w przeciwieństwie do Dana nie poszedłem na całość z chipsami. Angela nie powinna myśleć, że każdy weekend spędzam, siedząc sam w domu i upijając się. Znamy się od dawna, może od zbyt dawna.

- Panie Page, mówi Lydia Kennerly. Przepraszam, że niepokoję pana w weekend, ale naprawdę się boję. Czy ma pan chwilę czasu?

Coś w jej głosie sprawia, że włos jeży mi się na karku. Pewnie mężowi doręczono

pozew w sprawie rozwodowej. Uznałem, że wszystko idzie względnie dobrze po tym, jak w zeszłym tygodniu wyniósł się z domu zgodnie z nakazem sądu. Pieklił się i wrzeszczał, ale nic nie zrobił, a w środę Lydia zadzwoniła do mnie i podała adres motelu, w którym się zatrzymała. W czwartek Sara zaniósła wniosek do sądu, a potem dostarczyła szeryfowi wezwanie.

- Co się stało? - pytam.

- Al tu był, jestem tego pewna. Wiedziała, że prędzej czy później do tego dojdzie.

Spoglądam przez okno na Dana, tłumiąc westchnienie. On wziąłby tę sprawę bez wahania.

- Czy zmieniła pani zamki, tak jak ustaliliśmy?

- Jeszcze nie - mówi drżącym głosem. - żałuję, że tego nie zrobiłam.

Więc nie ma się czemu dziwić, myślę w ciszy zakłócanej tylko stukaniem wiatraka klimatyzacji. Na zewnątrz jest prawie czterdzieści stopni, ale ja nie odczuwam upału.

- Zabrał coś?

- Nie zauważyłam. Czy mógłby pan przyjechać na parę minut? Chcę się spakować.

Nie mogę tu zostać na noc.

Cierpliwie wyjaśniam, że to wykluczone, i proponuję, żeby wezwała policję.

- Proszę im powiedzieć, że ma pani nakaz ochrony.

- Tak właśnie zrobiłam - mówi łamiącym się głosem. - Stwierdzili, że nie mogą mi pomóc, jeśli nie mam dowodu, że to był on.

- Nie ma pani sąsiada, do którego mogłaby się zwrócić? - pytam, zerkając na Dana, który pochyła się i podsuwa Jessie garść chipsów.

- Nie - odpowiada, łkając. - Nikt nie chce się wtrącać w nie swoje sprawy. Al zadzwonił dwa razy i odłożył słuchawkę. Wydaje mi się, że obserwuje dom.

Wiedziała, że do tego dojdzie, wyjaśnia. Powinna była wyjechać do innego stanu, nie informując Ala.

- Zadzwonię do znajomego z policji - proponuję, walcząc z poczuciem winy, którego nie powinienem mieć. - Chociaż nie wiem, czy to coś da. Odezwę się później.

Dzwonię na posterunek i proszę do telefonu Wayne'a Huntera, detektywa, którego znam od lat, ale dowiaduję się, że ma wolne. Próbuję dzwonić do domu, lecz nikt nie odbiera, nawet automatyczna sekretarka. Dzwonię do kilku innych policjantów, ale wszystko na nic. Biorę piwo dla Dana, idę do altanki i opowiadam mu, co się dzieje.

- Myślisz, że powinienem tam pojechać i asystować przy pakowaniu? - pytam.

Dan, który ma do czynienia z takimi sprawami o wiele częściej niż ja, zdejmuję nogi z

belki i opiera ręce na grubych udach. W szortach do kolan i klapkach jest tak samo gotów na spotkanie z rozwścieczonym mężem, jak ja.

- Sądzisz, że grozi jej niebezpieczeństwo?

- Nie mam zielonego pojęcia. A co właściwie mogę zrobić? Ten sukinsyn mógłby wejść i po prostu mnie zastrzelić.

- Pomyśl, jak ona się czuje - mówi Dan, wstając. - Jeśli pojedziemy tam obaj, facet prawdopodobnie nie odważy się nic zrobić. Może ona kogoś ma, a on jest po prostu zazdrosny. Sam wiesz, jak mało prawdy dowiadujemy się od klientów.

Jessie usłyszała coś w naszych głosach, więc podnosi się. Szkoda, że nie jest psem bojowym. Dociera do mnie, że właściwie to jestem tchórzem i boję się walki wręcz. Nie biłem się z tym ostatnim menelem i jego kumplami dlatego, że chciałem. Po prostu nie miałem innego wyjścia. Zadzwoń do Lydii i powiem, że przyjedziemy, ale z zastrzeżeniem, że tylko ten jeden raz.

Pani Kennerly odbiera natychmiast i mówi, że nie musimy przyjeżdżać. Prosi, żebym został przy telefonie, podczas gdy ona będzie się pakować. Jasne, to nic trudnego. Na wieść o tym Dan kiwa z wdzięcznością głową. Po dziesięciu minutach Lydia mówi, że wychodzi z domu i zadzwoni, żeby poinformować mnie, czy ktoś jej nie śledził.

- Podałabym panu nazwisko tego człowieka, ale on prawdopodobnie podsłuchuje nas teraz - mówi głosem porzuconego dziecka.

Wydaje mi się, że facet zna numer jej pokoju, i po raz drugi proponuję schronisko, ale Lydia twierdzi, że w motelu nic jej nie grozi. Podejrzewam, że chce znaleźć się gdzieś, gdzie można się napić. Nie mogę jej za to winić. Też bym tego chciał, gdybym był na jej miejscu.

Odkładam słuchawkę. Jak dwaj szczęśliwi gliniarze, którzy właśnie się dowiedzieli, że nie muszą pacyfikować rozwydrzonego tłumu, wracamy z Danem do altanki i rozsiadamy się w fotelach. Opowiadam mu wszystko, co wiem o Lydii Kennerly, a nie jest tego wiele.

- Te urodziwe sprawiają najwięcej kłopotu - zauważa. Słyszę, jak deski trzeszczą pod jego ciężarem. - W takich sprawach bardzo często się okazuje, że oprócz kobiety nic się takiemu facetowi w życiu nie udało. W pracy mu nie idzie, nikt go nie lubi. Nie awansuje, nie może utrzymać się w robocie, i tylko to jest pewne, że może przespać się z żoną. Nie ma co się dziwić, że mu odbija, kiedy kobieta chce go zostawić. Jeśli ją straci, nie pozostanie mu już nic.

Spoglądam przez ogród na ulicę. Mąż pani Kennerly jak nie mógłby mnie stamtąd obserwować. Dan zna z doświadczenia to, o czym w kółko opowiada Sara. Łatwiej mi przyjąć tę wiedzę od niego. Z Danem gada się jakoś inaczej: nasza rozmowa kluczy, zbacza na inne

tematy; najczęściej zastanawiamy się, czy Kenneth Starr, prokurator badający aferę Whitewater, wyjedzie z Arkansas.

- W głębi duszy nienawidzimy go, bo kojarzy się nam z wojną secesyjną - mówi Dan. Pociągam łyk piwa; zaczynam odczuwać głód. Już po szóstej.

- Nikogo to już dzisiaj nie obchodzi.

Dan kręci głową.

- To tkwi w naszej podświadomości. Najpierw odbudowa, potem rok pięćdziesiąty siódmy, integracja rasowa, wojsko na ulicach przez cały rok. A teraz pojawił się Kenneth Starr. Aż dziw, że nikt go dotąd nie sprzątnął.

Biorę do ust chipsa i przesuwam po języku, smakując sól. Trzeba przyznać, że skojarzenia Dana trafiają prawie w sedno sprawy. Z tego, co wiem, pisze o tym książkę, na której ma zamiar zarobić milion dolarów. Pytam, czy ma ochotę wyskoczyć na pizzę, ale Dan zerka na zegarek i mówi, że musi iść do domu i przygotować się na randkę.

- Nadal próbujesz znaleźć dziewczynę za pośrednictwem komputerowego biura matrymonialnego? - pytam. Nie mogę zrozumieć, że chce mu się płacić za to grube pieniądze.

Szczerzy zęby w nieśmiałym uśmiechu.

- Mam jeszcze w zanadrzu parę kandydatek. Nigdy nie wiadomo, kiedy trafisz na tę właściwą.

Dosyć już się z nim podrażniłem, więc zamykam usta na kłódkę. Jakoś na początku lata z biura prokuratora generalnego przysłali do Dana prawniczkę, która prowadziła coś w rodzaju śledztwa dotyczącego tego rodzaju usług. Kobiety, z którymi umawiał się Dan, złożyły skargę, że podawał fałszywe informacje w swojej ankiecie osobowej. Rzecz jasna, Dan zakochał się w prawniczkę, dziewczynie o połowę młodziej od niego.

- Powodzenia - mówię, odprowadzając Dana do jego hondy prelude. Im jest starszy, tym młodszego udaje. Dan ma złote serce, ale wpada z jednego nieszczęścia w drugie: aresztowano go kiedyś za drobną kradzież w sklepie, a potem miał romans z prostytutką, którą reprezentował w sądzie.

Dan odjechał, a ja, zamiast pójść coś zjeść, kręcę się po domu z nadzieją, że Angela zadzwoni z Bear Creek. Daję Jessie kolację, a sam otwieram torebkę przyprawionego makaronu, która ma tylko sześćset kalorii. Czekać, aż warzywa się podgrzeją, myślę o Danie i dochodzę do wniosku, że jego życie uczuciowe wcale nie jest dziwniejsze od mojego. Przywiązanie do Angeli graniczy u mnie z obsesją, ale ilekroć się spotkamy, zawsze są kłopoty. Niedawno przyznała się do romansu z facetem, którego nie znoszę; myśl o tym nadal nie daje mi spokoju. Fakt, że mój rywal odsiaduje teraz w więzieniu dożywocie za

morderstwo, wcale nie ułatwia mi sprawy. Odcedzam bezmięśny obiad i zanoszę do altanki razem z lampką chablis. Czy mam prawo żalić się na romans Angeli? Dwa tygodnie po śmierci Rosy spędziłem kilka godzin w motelu z jedną z jej najlepszych przyjaciółek, która była wówczas mężatką. Pamiętam, że w to deszczowe popołudnie więcej było między nami żalu niż pożądania. Płakaliśmy oboje. Od tej pory miałem romanse z kilkoma innymi kobietami, czasem w nie najlepszych okolicznościach. Tych właściwych nie umiałem przy sobie zatrzymać, albo raczej one miały dość rozsądku, by odejść. Angela, która nadal próbuje sprzedać dom w Bear Creek po samobójczej śmierci męża, jeszcze się nie zdecydowała.

Dziesięć minut później wracam do domu po drugą lampkę wina i książkę, której główny bohater nie żyje. Niekonsekwentny za życia, teraz zredukowany do garści prochu w urnie, bierze w posiadanie życie przyjaciół, w każdym razie na dwadzieścia cztery godziny. Ciekaw jestem, ile kobiet, które znam, przyszłoby na mój pogrzeb... i co by powiedziały. Może lepiej nie wiedzieć. O ósmej dzwoni telefon, pędzę więc, żeby go odebrać; niechcący budzę Jessie, drzemiącą na swoim posłaniu w kuchni. Okazuje się, że to nie Angela, lecz Lydia Kennerly, która zaczyna od przeprosin za telefon w weekend.

- Niepotrzebnie wpadłam w histerię - oznajmia głosem znacznie spokojniejszym niż kilka godzin przedtem. - Wrócę do domu w poniedziałek i wymienię zamki. Idiotka ze mnie, że nie zrobiłam tego wcześniej.

- Proszę tak nie mówić. - Mam poczucie winy z powodu nieprzybycia na jej wezwanie. Lydia nie powinna sobie niczego wyrzucać, skoro starała się tylko uniknąć prowokowania męża. Zachowała się trochę nierozsądnie, ale w tych okolicznościach jest to całkowicie zrozumiałe. - Przeżywa pani koszmar. Podziwiam panią za to, że w ogóle może jeszcze myśleć.

Zamiast podnieść ją na duchu, moje słowa wywołują łzy.

- Nie wyobraża pan sobie, jakie to straszne! - szlocha do słuchawki. - Moi rodzice umarliby z rozpaczy, gdyby wiedzieli, jakiego mężczyznę poślubiłam. To byłoby dla nich okropne rozczarowanie.

Kiwam głową. Jakże łatwo nasi klienci przeistaczają się w sprawców denerwujących telefonów w weekend. Moja matka, która większość życia spędziła w okolicy, gdzie obowiązywała segregacja rasowa, była przerażona moim wyborem żony - Rosa, mimo że piękna, miała w żyłach murzyńską krew. Z przerażeniem uświadamiam sobie, jak długo trwało, nim przyznałem, że odrzucenie Rosy przez matkę bardzo mnie boli. Czego właściwie oczekiwałem? Rozpieszczony w dzieciństwie, pewnie wyobrażałem sobie, że nawet gdybym wysadził w powietrze całe miasto, matka powiedziałaby: „Cóż za wspaniałego syna

wychowałam!”

- Od jak dawna nie żyją? - pytam, spoglądając na altankę. Puszka po piwie leżąca na podłodze wygląda niechlujnie. Muszę ją sprzątnąć, zanim położę się spać. Gdyby tę kobietę ktoś wspierał na duchu, znacznie łatwiej byłoby jej zostawić męża.

- W tym miesiącu minie dziesięć lat od dnia, gdy zginęli w wypadku samochodowym - odpowiada drżącym głosem Lydia. - A pańscy jeszcze żyją?

Chyba mam jakiś dar mówienia tej kobiecie niewłaściwych rzeczy w niewłaściwym momencie; mimo woli zaczynam rozważać, czy jej decyzja o podjęciu działania ma coś wspólnego z rocznicą śmierci rodziców. Nie będę jednak o to pytał. Dociera wreszcie do mnie, że Lydia rozpaczliwie potrzebuje z kimś porozmawiać, a tyle mogę dla niej zrobić, więc opowiadam trochę o sobie; mówię o ojcu, który był chory psychicznie i zmarł w szpitalu stanowym.

- Miał schizofrenię i pił, ale i tak był kochanym facetem, proszę mi wierzyć.

- Wierzę - mówi z przekonaniem. Opowiada mi o swoim ojcu, inżynierze, który pracował w wydziale budownictwa drogowego w Ohio. - Po śmierci ojca jeden z jego współpracowników powiedział mi, że tato przez wiele lat zażywał kokainę. To był największy wstrząs, jaki przeżyłam.

Obserwując Jessie wyslizgującą się przez specjalny otwór w drzwiach uświadamiam sobie, że nasz gatunek cechuje skłonność do niepotrzebnego okrucieństwa. Mogłem jej otworzyć drzwi, ale wolę patrzeć, jak przykuca, bo wygląda wtedy bardzo zabawnie.

- Ludzie nie wiedzą, co powiedzieć tym, którzy zostali.

- Ten facet akurat wiedział bardzo dobrze - prostuje Lydia. - Później dowiedziałam się, że ojciec dostał awans, a on nie.

Jessie sika na podwórku, przykucnięta w dobrze mi znany, zabawny sposób. Wydaje się, że tylko w takich sytuacjach traci swoją wrodzoną godność. Świadoma, że nie powinna narzekać na życie, w którym tylko od czasu do czasu zdarzają się jej upokarzające sytuacje, wraca po chwili do domu.

- Nie ma pani chyba zbyt dobrego zdania o mężczyznach, prawda? - pytam zastanawiając się, dlaczego niektóre kobiety w ogóle wychodzą za mąż.

- Można to tak ująć - mówi Lydia, a potem opowiada o swoim pierwszym, udanym małżeństwie. Mąż zmarł w wieku trzydziestu lat na zator krwi w nodze.

Zauważam uderzające podobieństwo naszych losów. Mówię jej o śmierci Rosy. Lydia wzruszonym głosem pyta, czy mamy dzieci. Wybucha płaczem, kiedy zaczynam się chwalić Sarą.

- Kiedyś na drzwiach mojego biura zawisnie napis Page & Page. Rzecz jasna, o ile się wcześniej nie pozabijamy.

Lydia śmieje się po raz pierwszy od chwili, gdy się poznaliśmy.

- Nie ożenił się pan po raz drugi?

- Może - odpowiadam, zerkając na Jessie, przypominającą mi o wieczornym spacerze

- rzeczywiście tylko raz w życiu spotyka się tę właściwą osobę.

Wypowiadając te słowa uświadamiam sobie, że zaczynam w nie wierzyć.

- Wydaje mi się, że jestem na to żywym dowodem - mówi Lydia ochryplym głosem. - Nie miałyby pan ochoty posiedzieć ze mną koło basenu i pogadać? Jestem w „Delta Inn” przy drodze do Benton. Zaczynam już wariować, siedząc sama w tym pokoju.

W tle słyszę muzykę klasyczną, pewnie z publicznej stacji radiowej. Wiem, że Lydia czuje się samotna, ale spotkanie to nie jest dobry pomysł.

- Nie dam rady dziś wieczorem, ale dziękuję za zaproszenie.

- Rozumiem - odpowiada szybko.

Z tonu głosu odgaduję, że moja odmowa ją zraniła.

- W przyszłym tygodniu musimy być w sądzie - przypominam, próbując sprowadzić rozmowę na grunt zawodowy. - Trzeba postarać się dla pani o stały nakaz ochrony. Jest pani pewna, że mąż się stawi?

- Raczej tak - odpowiada, jakby nie przywiązywała do tego wagi. Chyba zmienia stacje, bo słyszę teraz głos Buddy Holly'ego. Lydia jest za młoda, żeby go pamiętać.

- Proszę dzwonić, gdyby coś się działo, dobrze? A jeśli nic się stanie, proszę zadzwonić w poniedziałek. Musimy się spotkać i przygotować zeznanie.

Odpowiada, że zadzwoni. Odkładam słuchawkę, zastanawiając się, w co Lydia Kennerly jest dzisiaj ubrana.

Jest jeszcze widno, kiedy spacerujemy z Jessie po parku. Napotykamy co najmniej trzy zakochane pary; na widok każdej z nich myśl o naszym burzliwym związku z Angelą staje się coraz bardziej frustrująca.

Powinna się odezwać w tym tygodniu. Niech mnie szlag trafi, jeśli ja do niej zadzwonię. Mimo naszego wieku (pięćdziesiąt jeden lat) zachowujemy się jak nastolatki. Zabawa w kotka i myszkę. Nie wiem tylko, czy jestem kotem, czy myszą. Angela czasem wyzwala we mnie coś, czego nie sposób wytłumaczyć. Jest pierwszą dziewczyną, z którą się kochałem (zgodnie z duchem czasu, stało się to w samochodzie mamy, fordzie fairlane rocznik pięćdziesiąt osiem, latem po skończeniu szkoły średniej) i być może ostatnią, choć ta kolejność niekoniecznie pokrywa się z hierarchią ważności. Jessie - którą trzymam na

smyczy, bo wczoraj natknęliśmy się na kilka psów bez właścicieli - co chwila nurkuje w gęste krzaki.

- Chodź tutaj! - rzucam niecierpliwie i pociągam za smycz, gdy Jessie zapiera się łapami w trawie. Cierpliwość nie zalicza się do moich cnót.

Ciągnę Jessie do domu; czuję się samotny i smutny. Napętniam wodą miseczkę suki, wdzięczny jej za towarzystwo. Zdawało mi się, że po skończeniu pięćdziesięciu lat nie będę tego odczuwał tak gwałtownie. Może padłem ofiarą reklam telewizyjnych z nostalgicznymi scenami beztrudnie starzejących się dorosłych, którzy stroją bożonarodzeniowe choinki, gdy nagle zdarza się coś cudownego, co rozczula widza do łez. Podnoszę słuchawkę i wybieram numer Angeli, choć wiem, że nikt nie odpowie. Próbuję czytać książkę, ale odkładam ją po chwili, bo myślą mi się postacie. Jessie kładzie mi głowę na kolanach, a ja przeskakuję z programu na program; w końcu oglądam film o zmarłym piosenkarzu Marvinie Gaye'u. Wykończyły go narkotyki. Może są ludzie, którzy starzeją się z godnością, ale ja do nich nie należę. Kładę się do łóżka; śni mi się nie Angela, jak się spodziewałem, lecz mąż Lydii Kennerly. Po obudzeniu pamiętam tylko tyle, że jest ogromny jak zapaśnik sumo.

Al Kennerly nie ma adwokata; broni się sam. Rozsądnie postanawia nie zadawać pytań żonie, bo podczas mojego przesłuchania przez cały czas płakała. Nie jest aż tak wysoki, jak się spodziewałem, ale pod jego koszulą przeją się mocne ramiona. Idąc za moją radą, Murry kazał go przeszukać przed wejściem na salę rozpraw. Prawdę mówiąc, facet nie wygląda na takiego, który maltretuje żonę, ale wiem z doświadczenia, że to wrażenie może być mylne. Lydia ostrzegła, że jej mąż potrafi być zwodniczo ujmujący, mnie jednak zaskakuje co innego: jego niezachwiana pewność siebie. Facet beznamyślnie zaprzecza wszelkim zarzutom.

- Czyżby nie wiedział pan nic o podbitym oku żony? - pytam sarkastycznie. Podchodzę do ławy, a Murry bez słowa podaje mi zdjęcia, jak gdyby był moim asystentem, a nie sędzią.

- To nie ja jestem sprawcą pobicia - mówi Al. - Ona sama to sobie zrobiła.

Wprawdzie pokazałem mu już zdjęcia podczas zeznania Lydii, ale pytam sędziego, czy mogę zbliżyć się do świadka i podać mu je raz jeszcze.

- Twierdzi pan, że żona zrobiła to sama?

- Twierdzą, panie Page - mówi cicho Kennerly, zwracając się wprost do sędziego - że moja żona notorycznie kłamie. Wydaje mi się, że ona tego nie kontroluje.

- A więc trzeba przyznać, że nieźle jej to wychodzi. - Odbieram zdjęcia, na które Al

ledwie rzucił okiem.

- Lydia uderzyła głową w drzwi łazienki dwa dni przed tym, jak powiedziała mi, że chce rozwodu. Stało się to wieczorem, a ona była pijana.

Niezły tupet ma ten facet. Podchodzę do Lydii, która nie patrzy na męża.

- Czy pani łyzy są fałszywe, pani Kennerly?

Kennerly zwraca się znów wprost do sędziego.

- Ona potrafi ronić łyzy na zawołanie, wysoki sędzie. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie uderzyłem mojej żony. Nadal ją kocham.

Czuję, jak włosy jeżą mi się na karku. Osobliwy spokój pana Kennerly'ego oznacza, że z tych dwojga to on jest notorycznym kłamcą. Gdyby Lydia mnie nie uprzedziła o jego przebiegłości, gotów byłbym mu uwierzyć.

- A więc chciałby pan, żeby padła na kolana i błagała o przebaczenie za to, że zmyśliła tę okropną historyjkę? A pan łaskawie by jej wybaczył i zabrał do domu? - pytam prowokacyjnie, kładąc rękę na ramieniu Lydii. Zagrywam trochę ryzykownie, ale ponieważ Kennerly nie jest prawnikiem, uchodzi mi to na sucho. Murry widział już wielu oskarżonych kłamiących równie dobrze, jak ten.

- Jeśli Lydia chce rozwodu, nie będę jej przeszkadzał - mówi Kennerly. - ślubowałem przed Bogiem i zrobiłbym wszystko, żeby dotrzymać ślubu, ale jeśli ona nalega, nic na to nie poradzę.

Zerkam na Lydię, która potrzęsa pochyloną głową. Z pozy, jaką przyjął Murry, wnioskuję, że chce, abym to zakończył. Zeznania świadków, takich jak Kennerly, bywają czasem zabawne, ale tym razem tak nie jest. Z twarzy przypomina trochę Franka Gifforda. Oboje małżonkowie są atrakcyjni. Oko Lydii już się zagoiło i dopóki nie zaczęła płakać, wyglądała olśniewająco w prostej błękitnej sukience z niewielkim dekoltem. Ciekawe, co się zdarzyło naprawdę. Prawda zawsze leży gdzieś pośrodku. Znajac odpowiedź, pytam faceta, czy ma pozwolenie na noszenie broni. Zaprzecza. Nie chce też przyznać, że korzystał z klucza nie tylko po to, żeby zabrać ubrania i swoje rzeczy osobiste. Wzruszam ramionami i siadam, wiedząc dobrze, jak postąpi sędzia.

Murry kiwa głową.

- Wysłuchałem pańskiego zeznania, panie Kennerly. Nie wierzę w to, co pan powiedział. Uważam, że powinien pan trzymać się z dala od żony. Nie chcę, żeby pan do niej dzwonił, zbliżał się do domu i śledził ją. Jeśli pan to zrobi, dopilnuję, aby pan tego pożałował. Radzę znaleźć sobie adwokata. Zrozumiał mnie pan?

Kennerly ani trochę nie przypomina rozjuszonego męża.

- Nie mam najmniejszego zamiaru lekceważyć nakazu sądu - mówi potulnie.

- Widzę - rzuca surowo sędzia. Spogląda na mnie, jak gdyby pytając, o co to całe zamieszanie. Może i facet przyłożył żonie, ale każdego dnia bywają w sądzie gorsi. Ja też takich widuję.

Odprowadzając Lydię do samochodu, zauważam, że jej mąż zrobił nie najgorsze wrażenie.

- Wyobrażałem sobie, że jest mocniej zbudowany.

Dopiero teraz dociera do mnie, że spodziewałem się ujrzeć w sądzie drugiego Mike'a Tysona.

Lydia klepie się po udach; tak samo robiła moja matka, kiedy miała mnie już dość.

- Wiedziałam, że wyjdzie na męczennika - mówi z goryczą. - On ma niewiarygodną umiejętność zjednywania sobie sympatii.

- Być może nawet nie będzie bronił się przed rozwodem. Zostało mu jeszcze tylko kilka dni na stawienie się w sądzie. Ubrania już odebrał. Chyba nie będziecie mieli problemów z podziałem mebli?

- Raczej nie - odpowiada Lydia, a potem dodaje szybko: - Tak się cieszę, że już po wszystkim! Trudno mi wyrazić, jak bardzo się bałam. Dziękuję.

Ściska lekko moje ramię. Czuję ucisk jej dłoni przez rękaw marynarki.

Mógłbym jej powiedzieć, że osiągnęłaby dokładnie to samo bez mojej pomocy, ale tego nie robię. Murry uwierzyłby jej, nawet gdyby nie było żadnych dowodów oprócz podbitego oka. Kobiety rzadko uderzają się głową o drzwi.

- Czasami coś wychodzi lepiej, niż się spodziewamy.

- Możliwe - wzdycha. - Jestem gotowa żyć dalej.

Nie chcę jej mówić, że reagowała trochę przesadnie na to, co się dzieje, bo może nawet tak nie było. Myślami jestem już w Saline, gdzie jutro mam bronić klienta posądzonego o gwałt. Kluczową kwestią będzie wiarygodność zeznań oskarżonego. Szkoda, że mój klient nie mógł tu być i obserwować Ala Kennerly'ego.

Wyjaśniam Lydii, że w stanie Arkansas może dostać rozwód - jeśli nie będzie sprzeciwu drugiej strony - w trzydzieści dni po wniesieniu pozwu.

- Za kilka tygodni może pani być wolną kobietą. Jeśli mąż nie wniesie sprzeciwu, załatwię to od razu.

Po raz pierwszy widzę uśmiech Lydii Kennerly i muszę przyznać, że to przyjemny widok. Ma śliczne białe zęby, a jej oczy wyraźnie rozbłyskują na myśl o rychłym rozwodzie.

- Niech pan to zrobi, bardzo proszę.

Rozstajemy się na parkingu oddalonym od sądu o jedną przecznicę. Zastanawiam się, jak długo wytrzyma bez mężczyzny. Podejrzewam, że niezbyt długo.

Po lunchu Sara wpada do biura spytać, jak toczy się sprawa Lydii Kennerly.

- Bułka z masłem. Facet był potulny jak baranek. Prawdziwy dżentelmen. Zeznał, że Lydia po pijanemu uderzyła głową w drzwi. Jeśli żona chce rozwodu, nie będzie stawiał przeszkód.

- Tak się cieszę. Martwiłam się o ciebie - wzdycha z ulgą moja córka.

Nie powinienem był jej mówić, że Al Kennerly nosi czasem broń. Ona za bardzo się przejmuje, bierze wszystko zbyt poważnie. Mimo to jestem z niej tak dumny, że niekiedy łyzy zbierają mi się pod powiekami. Gdyby wiedziała, ile dla mnie znaczy, mogłoby to ją przerazić. Oddaję jej akta i mówię, że sprawa być może skończy się szybko.

- To przystojny mężczyzna. Pewnie będzie chciał szybko wrócić na giełdę facetów do wzięcia.

- O ile jeszcze tego nie zrobił - prychna moja córka, która szybko uczy się zasad gry.

Środowa rozprawa kończy się sukcesem (mojemu klientowi udowodniono tylko napaść i wyjdzie po kilku miesiącach), więc postanawiam to uczcić, wpadając na drinka do „Kings & Queens” - giełdy dla samotnych kobiet i mężczyzn nie pierwszej młodości, gdzie i ja czasami zaglądam. Wmawiam sobie, że przyszedłem tu cieszyć się z sukcesu, a nie po to, żeby kogoś poderwać, ale mimo woli się rozglądam. W sądzie, podczas oczekiwania na werdykt przysięgłych, napisałem list do Angeli, w którym powiedziałem jej, że nie mogę czekać w nieskończoność. Stojąc przy barze i obserwując parę, która wygląda tak, jakby dzień i noc spędzała na parkiecie (facet wykonuje wszystkie ewolucje oprócz przerzucania partnerki nad głową), wyciągam z kieszeni list i czytam ponownie. Napisałem, iż szaleństwem jest oczekiwać, że zejdziemy się po trzydziestu latach i wszystko ułoży się jak trzeba. Porównuję się do mężczyzny, który wybrał się na zabawę klasową po latach i spotkał dawną miłość. Takie związki opierają się na pobożnych życzeniach i wspomnieniach młodzieńczej burzy hormonów. Nic z tego nie wyszło wtedy, więc czemu miałyby wyjść teraz, myślę z goryczą, wychylając drugiego bourbona z colą.

Z głośników dobiegają dźwięki Kodachrome Paula Simona, który to kawałek doskonale pasuje do klimatu moich rozmyślań. Rzeczywistość nigdy nie dorówna wspomnieniom. Angela pochodziła z New Jersey i miała liberalne poglądy; jej ojciec przeprowadził się do Bear Creek, by zostać dyrektorem naszej jedynej fabryki, kiedy byliśmy

w ostatniej klasie szkoły średniej (ja wyjechałem potem do szkoły z internatem w zachodniej części stanu Arkansas). To właśnie Angela udowodniła nam, jak bardzo jesteśmy przesiąknięci rasizmem. Wkurzała nas jak diabli, a co gorsza, z łatwością pokonywała wszystkich w każdej dyskusji, jaką prowadziliśmy na ten temat owego lata.

Najlepszy kumpel ze szkoły, John Upton, kilka lat później na pogrzebie mojej matki w Bear Creek szturchnął mnie w bok i stwierdził z podziwem, że Angela, która właśnie rozmawiała z moją siostrą, ma dokładnie taki sam okrągły tyłeczek jak w ostatniej klasie. Udałem wtedy, że jestem zbulwersowany typową dlań, nie w porę wypowiedzianą uwagą, ale gdy kilka miesięcy później, przy okazji procesu, w który - jak się potem okazało - zamieszany był jej dawny kochanek, stanąłem na progu jej domu, właśnie ta myśl przyszła mi natychmiast do głowy.

Zgniatam list i wciskam z powrotem do kieszeni marynarki, wiedząc dobrze, że i tak go nie wyślę. Podnoszę wzrok i przez chwilę zdaje mi się, że blondynka, którą widzę, to Lydia Kennerly, ale to jednak nie Lydia i wiele jej do niej brakuje. Bourbon zaczyna grać w żołądka, a mimo to nagle czuję się okropnie zmęczony. Facet, którego broniłem, prawdopodobnie zgwałcił swoją dziewczynę, ale był dobrym kłamcą, równie dobrym jak Al Kennerly wczoraj. Uświadomiwszy sobie, że nie mam czego świętować i przyszedłem do knajpy tylko po to, aby użalać się nad sobą, płacę i jadę do domu z myślą o pójściu do łóżka i wyspaniu się. Jessie pamięta o spacerze, więc rzuca się na mnie jak wściekła żona; naciągając szorty uprzedzam ją, że spacer będzie tym razem krótki.

Na widok migającego światełka automatycznej sekretarki budzi się we mnie nadzieja, matka głupich. Okazuje się jednak, że to Lydia Kennerly; informuje, że jest z powrotem w motelu „Delta Inn” i prosi, abym jak najszybciej do niej zadzwonił. Zainteresowany, co się stało, dzwonię; odbiera od razu.

- Al śledził mnie wczoraj, gdy jechałam do domu - wyrzuca z siebie jednym tchem. - Kiedy wychodziłam dziś rano, siedział w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Nie zniosę tego dłużej.

- Czy zaatakował panią lub próbował rozmawiać? - pytam. Murry mógłby go wtedy zamknąć, ale jeśli nic się nie stało, to pewnie skończyłoby się na pouczeniu. Niecierpliwie zsuwam z szyi krawat, marząc o zmianie ubrania. To był długi dzień.

- Próbuje wyprowadzić mnie z równowagi. Wyjadę do innego stanu, jak tylko dostanę rozwód. I na pewno nie powiem mu, dokąd.

Czuję, że krawat przesiąknięty jest dymem papierosowym. Dlaczego chodzę do takich lokali jak „Kings & Queens”? Ostatnim razem jakaś nauczycielka powiedziała mi, oczywiście

ujmując to bardziej oględnie, że robię wrażenie kompletnego ponuraka, więc nie warto skorzystać z zaproszenia do mojego domu.

- To chyba dobry pomysł - odpowiadam, czując poszturchiwania Jessie z tyłu. Cholera, że też psy mają taką niezawodną pamięć. Drugi bourbon nadal szumi w mojej głowie. Muszę coś zjeść.

- Czy pojechał za panią również tam, gdzie się pani obecnie znajduje?

- Nie. Wyszłam tylnym wyjściem około czwartej i rozejrzałam się po okolicy. Nigdzie nie było jego samochodu. Czy mógłby pan przyjechać tutaj na chwilę i porozmawiać ze mną? A może jest już za późno?

Poklepując Jessie prawą ręką, spoglądam na zegarek. Nie ma jeszcze dziesiątej. Jestem zbyt wściekły na Angelę, żeby tak od razu iść spać.

- Jeśli zamówi mi pani kanapkę i colę, przyjadę. Spotkamy się koło basenu - odpowiadam szybko, żeby nie dać sobie czasu na zastanowienie, czy powinienem tam jechać. W „Delta Inn” jest restauracja, ale nie ma baru. O tej porze nie powinno tam być nikogo znajomego. - Jest pani pewna, że za panią nie pojechał?

- Na pewno nie - mówi zdecydowanie Lydia. - Przejechałam na czerwonym świetle, a potem szybko zaparkowałam, i nigdzie go nie było. Nie widziałam jego samochodu od południa.

Wiedząc, że Jessie mi wybaczy, obiecuję Lydii, że będę u niej za kwadras.

Skręcając na parking motelu „Delta Inn”, uważnie rozglądam się za chryslerem Ala; nigdzie go nie widać. Motel „Delta Inn” w powiecie Blackwell, stojący przy drodze do Benton, zaprojektowany jest tak, że każdy, kto chce tu przenocować, musi przejechać przed oknem. Jeśli Al Kennerly rzeczywiście kręci się koło Lydii, pewnie jest w barze „7-Eleven” kilkaset metrów stąd. Jedną z moich klientek też zatrzymała się kiedyś w „Delta Inn”. Podejrzana o morderstwo, była równie atrakcyjna jak Lydia, którą dostrzegam za ogrodzeniem niewielkiego basenu. Jej nissan zaparkowany jest przed wejściem do numeru siódmego, jakieś dwadzieścia metrów dalej. Wsiadam, obiecując sobie, że zostanę tylko tak długo, aby zjeść kanapkę i upewnić się, że nic jej nie grozi. Teraz, kiedy trochę przestało mi szumieć w głowie, czuję się niezbyt pewnie. Jednak na parkingu jest przyjemnie. Temperatura spadła chyba do dwudziestu stopni i wieje lekki wiaterek, którego nie czułem w mieście.

- Cześć! - wita mnie Lydia z uśmiechem, gdy wchodzę przez metalową bramę. Z papierowej torebki wyjmuje kanapkę i piwo. Prosiłem o colę, ale nie będę wybrzydzał.

Dwoje dzieci pluszcze się po drugiej stronie basenu; ciekawe, gdzie się podziewają ich

rodzice. Siadam naprzeciwko Lydii na chybottliwym krzesle, których pełno stoi wokół, i rozglądam się.

- Te dzieci są zbyt małe, żeby bawić się tutaj bez opieki - zauważam. Pamiętam, jak kiedyś zabrałem Sarę, która ledwo umiała pływać pieskiem, nad jezioro i spuściłem ją z oczu. Czytałem gazetę, a kiedy podniosłem wzrok, nie mogłem jej znaleźć. Gdyby utonęła, zabiłbym się.

- Obserwuję je - mówi Lydia, podając mi kanapkę. - świetnie sobie radzą. Ja nie nauczyłam się pływać w dzieciństwie. Brałam lekcje, gdy byłam już dorosła.

Dociera do mnie, że ta głęboko zestresowana kobieta łaknie zwyczajnej rozmowy jak kania dżdzu. Siedzimy więc i gadamy przez godzinę. Sączę piwo z nadzieją, że jutro nie będzie mnie boleć głowa. Lydia popija czerwone wino z małej buteleczki. Dzieci, przez nikogo nieponaglone, znikają po półgodzinie w drzwiach motelu, mamy więc teren tylko dla siebie. Po raz pierwszy tego dnia naprawdę się odprężam.

- Byłam jedną z tych dziewczynek, które rodzice zgłaszają do każdego konkursu piękności, jak tylko skończą trzy lata - mówi, gdy pytam o jej dzieciństwo. - Od chwili, gdy się urodziłam, najważniejsza była moja uroda. Stopniowo docierało do mnie, jak płytkie jest moje życie, ale to był doskonały sposób przyciągania uwagi. Trwało to wiele lat. Jestem dalej ładna, ale proszę zobaczyć, jak skończyłam: jako worek treningowy - dodaje beztróskim tonem.

Na ciele Lydii nie widać jednak śladów maltretowania. Wygląda doskonale w szortach i bawełnianej bluzce, tak cienkiej, że nawet w tym bladym świetle dostrzegam zarys jej stanika. ślady pozostały w jej mózgu.

- Proszę tak nawet nie myśleć. Ten związek ma pani już za sobą raz na zawsze.

Z chłodziarki stojącej obok krzesła Lydia wyjmuje drugie piwo. Prawie się o mnie ociera włosami.

- Mimo to - odpowiada łamiącym się głosem - całe moje życie było uzależnione od opinii innych ludzi na temat mojej aparycji. Pan jest pierwszym mężczyzną, który potraktował mnie inaczej.

Wyciąga rękę i ściska mnie za ramię.

Otwieram budweisera; to dobrze, że Lydia nie może czytać w moich myślach. Powinienem wstać i pójść do domu, ale jakoś nie mogę się zebrać.

- Niektórzy z nas się starają. - Opowiadam o skierowanych na mnie wysiłkach edukacyjnych Sary. - Gdyby jej się udało, stałbym się eunuchem.

Śmiech Lydii rozbrzmiewa nad basenem. Czuję zapach jej perfum.

- Musi pan być z niej bardzo dumny - zauważa Lydia, poprawiając kosmyk włosów. Jej pierś unosi się przy tym ruchu.

- A jakże. - Po raz drugi opowiadam Lydii o planie przyjęcia Sary na współpracowniczkę. - Jest równie piękna jak pani - dodaję, jakby nie pamiętając jej wcześniejszych zwierzeń.

- Ma pan jej zdjęcie? - pyta Lydia, odkładając buteleczkę.

- Chyba mam jakąś starą fotografię ze szkoły średniej. - Wyciągam portfel ze spodni. - W tym świetle niewiele będzie widać.

Pochyla się ku mnie, i tym razem nie mogę się oprzeć pokusie: całuję ją. To niewiarygodne, jak miękkie są jej usta. Oddaje pocałunek, a ja omal nie spadam z krzesła, próbując utrzymać równowagę. To jest bez sensu, myślę, ale myśl ta znika, gdy czuję jej rękę na moim udzie.

- Wejźmy do środka - szepcze mi do ucha. - Trochę mi chłodno.

Mnie nie, ale robię, co każe kobieta. Lydia z chłodziarką w ręku prowadzi mnie do drzwi z numerem siódmym. Mimo że nieco podchmielony, rozglądam się i z przyjemnością zauważam, że w „Delta Inn” jest dziś bardzo niewielu gości. Pokoik jest śmiesznie mały, a na dywaniku obok łóżka widać pełno śladów po gaszeniu papierosów. Ja jednak nie przyszedłem tu po to, by oceniać porządek. Rozbieramy się szybko; chciałem się wykapać, lecz delikatna dłoń Lydii sprawia, że szybko o tym zapominam.

- Jesteś w dobrej formie - mówi, przyciągając mnie do siebie. Nawet nie ściąga kołdry z łóżka.

- Mam nadzieję - mruczę, rad, że nie zgasła światła. Po alkoholu i zmęczony, będę potrzebował jak najwięcej bodźców. Nagie ciało Lydii jest tak wspaniałe, że podniecenie przychodzi bez trudu.

- Powoli - szepcze Lydia. Przemyka mi myśl o zabezpieczeniu, ale ona, jakby czytała mi w myślach, mówi, że bierze pigułki. Mimo to żałuję, że nie mam prezerwatywy. Nie wiadomo, co się działo z Alem Kennerlym, jeśli był tak szalony, żeby bić tę kobietę. Lydia nie spieszy się; wchodzi na mnie i chwyta mnie za ręce, jakbyśmy byli chłopcami splecionymi w zapasach. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, drzwi otwierają się i staje w nich Al Kennerly z aparatem fotograficznym. Flesz błyska raz po raz. Lydia odwraca się i krzyczy: - All! - Chyba jest w szoku, bo nie rusza się i muszę ją zepchnąć z siebie.

Chwytam brzeg kołdry, ale nie mogę się przykryć, bo leżymy na niej. Nie mogę uwierzyć, że byłem aż tak głupi.

- Wynoś się stąd! - krzyczę. Ze ściśniętego przerażeniem gardła wydobywa się obcy, szorstki głos. Nie wiem, czy ma broń, bo oślepia mnie błysk flesza. W końcu zeskakuję z

łóżka i łapię spodnie, ale on wybiega, trzaskając drzwiami. Biegnę do okna i widzę, jak wyjeżdża tyłem z parkingu. Spoglądam na Lydię, która wciąga majtki i płacze, zwiesiwszy głowę. Odwracam się; ubieramy się w milczeniu, jak dwoje ludzi po kłótni. Kiedy spoglądam na nią znów, wsuwa nogi w sandały.

- Powinam była wiedzieć, że on mnie obserwuje. Przykro mi - szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszę.

Bezradnie spuszczam głowę, wiedząc, że uczyniłem najgorszą rzecz, jaką adwokat może zrobić klientce (oprócz wyciągnięcia od niej pieniędzy). To nie jest pierwszy raz, kiedy życie osobiste wmieszało się w moją praktykę zawodową. Poszedłem do łóżka z dwiema kobietami, potencjalnymi świadkami w sprawach o morderstwo, ale na szczęście żadna nie zjawiała się na procesie. Jedną z nich była Angela.

- To mnie jest przykro. - Czuję się jakbym miał sto lat. - Nie powinienem był tu przyjeżdżać. Zastanawiam się, skąd wziął klucz.

Lydia szybko czesze włosy przed lustrem na toaletce.

- Al potrafi wszystko zdobyć, jeśli się uprze - mówi zrezygnowanym głosem.

- Wyprowadzasz się stąd? - pytam.

- Tak. On już dostał to, czego chciał.

Wkładam koszulę w spodnie.

- Nie możesz do niego wrócić. Znów cię pobije.

Wzrusza bezradnie ramionami.

- Zostaw mnie, proszę.

W jej łagodnym głosie słyszę ostrzeżenie. Nabroilem dość jak na jedną noc i Lydia chce, żebym się wyniósł. Wychodzę mówiąc, żeby zadzwoniła rano. Jadę do domu, a wściekłość na samego siebie przepływa przeze mnie falami. W głowie mi łomocze i mam ochotę zwymiotować. Droga jest prawie pusta, więc muszę się powstrzymać, aby nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Tylko tego brakuje, żeby aresztowali mnie za szybką jazdę. Gdzie ja miałem rozum? Walę rękami w kierownicę. Bóg jeden wie, co się stanie jutro. Jeśli nie zdobędę tych zdjęć, Al Kennerly zaciśnie nam na szyi pętlę, której nie pozbedziemy się do końca życia. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie pojechać do domu Lydii, ale dociera do mnie, że byłoby to samobójstwo. Dziesięć minut później wjeżdżam do domu ze świadomością, iż nie dość, że złamałem zasady etyki zawodowej, to jeszcze okazałem się tchórzem. Wlokę się do kuchni i wymiotuję do zlewozmywaka. Jessie popiskuje koło mojej nogi, a potem idzie spać do spiżarni. Zwalam się na łóżko z myślą, że nawet mój pies patrzy na mnie z odrazą.

- Wyglądasz, jakby przejechał cię walec drogowy - rzuca wesoło Dan, kiedy wchodzi do jego biura następnego ranka. - Burzliwa noc, co?

Zamykam drzwi i opadam na krzesło. O tak, burzliwa noc. Na ścianach biura Dana wiszą plakaty z postaciami z kreskówek: sędzia Parker, Mary Worth. Mam ochotę odwrócić je do ściany, żeby nie słyszały.

- Wpakowałem się w błoto po same uszy - zaczynam, a potem opowiadam Danowi całą historię. Słucha ze zrozumieniem, tak jak się spodziewałem. Zawsze uważałem Dana za większego niezdarę od siebie, ale teraz nie jestem już tego pewien.

- Czy ona chociaż była tego warta? - pyta Dan. - Musiało ci kompletnie odbić.

Myśl o Lydii, zamiast sprawić mi przyjemność, wywołuje dreszcze.

- Nawet tego nie zrobiliśmy.

Tak, nie udało nam się wyjść poza grę wstępną. Twarze na ścianie nad głową Dana wykrzywają się. Miewałem już gorszego kaca, ale nigdy nie czułem się tak podle.

Dan zmienia pozycję; krzesło, które bardziej przypomina tron niż zwykły mebel biurowy, trzeszczy pod jego ciężarem.

- Możliwe, że zastawili na ciebie pułapkę. Pomyślałeś o tym?

Pocieram skroń.

- Około trzeciej nad ranem przyszła mi taka myśl do głowy.

- Jakby wszedł do pokoju, gdyby nie dała mu klucza? - pyta retorycznie Dan. - Miałem klientów, którzy otworzyliby zamek kluczem do konserw, ale czy on umiałby to zrobić?

Wbijam wzrok w podłogę.

- Czemu wybrała mnie? Przecież nie mam pieniędzy.

Dan rozkłada ręce jak prestidigitator po wykonaniu sztuczki ze znikającym gołębiem.

- Ale miałeś ostatnio kilka dużych spraw. W zeszłym roku wygrywałeś procesy w różnych zakątkach stanu, a miesiąc temu napisali o tobie w „Arkansas Times”.

Miałem być na okładce, ale zmienili zdanie i umieścili artykuł w środku. Wydawcy uznali widać, że nie jestem aż tak ważny. Ale wystarczyłoby przecież rzucić okiem na domy moich klientów, żeby uzmysłowić sobie, jak mało zarobiłem. Sara będzie przynajmniej miała ładną pamiątkę.

- Nie sądzę, żeby Lydia maczała w tym palce. - Próbuję sobie przypomnieć, czy w jej zachowaniu nie było czegoś podejrzanego. - Ona sprawia na mnie wrażenie typowej kobiety, która próbuje przerwać nieudany związek.

Dan zakłada ręce za głowę, jakby moje słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- No cóż, wkrótce się o tym przekonasz.

O jedenastej Julia dzwoni do mnie z wiadomością, że pani Kennerly chce się ze mną widzieć. Schodzę na dół; w holu stoi Lydia i błądzi wzrokiem po ścianie. Ma na sobie luźną turkusową sukienkę, która dokładnie ukrywa jej kształty. Tak jakby wydarzenia wczorajszej nocy można było unieważnić kąpielą lub zmianą ubrania. Chciałbym, żeby tak było. Wygląda na to, że nie spała tej nocy, ale nie widać na jej twarzy siniaków.

- Jak się czujesz? - pytam, patrząc jej w oczy.

- Musimy porozmawiać na osobności - szepcze, unikając mojego wzroku.

- Chodźmy. - Mam nadzieję, że Julia, która kocha plotki, jest zajęta telefonem i nie zainteresuje się zbytnio tym najściem. Zazwyczaj Julia spełnia rolę systemu wczesnego ostrzegania: potrafi wyczuć kłopoty na milę, ale tym razem mnie zawiodła. Jest siostrzenicą właściciela tego budynku i niezmiennie ubiera się jak tania dziewczyna na telefon, a na dodatek za swoje zawodowe frustracje odgrywa się na prawnikach, dla których pracuje. Dzisiaj założyła równie bezpłciową sukienkę jak Lydia. W drodze do biura uświadamiam sobie, że jestem gotów winić każdego za to, co stało się w nocy.

Siadamy. Tym razem Lydia patrzy mi w oczy.

- Chce dziesięć tysięcy za zdjęcia i negatywy - wyrzuca z siebie. - Jeśli nie dostanie pieniędzy do piątej po południu, stawia się na sprawie rozwodowej i oskarży cię o złamanie zasad etyki zawodowej. Mam ci przekazać, że jeśli mu nie zapłacisz, będzie cię ścigał tak długo, aż doprowadzi do pozbawienia prawa wykonywania zawodu.

Sprawdzają się moje najgorsze obawy. Czuję, jak pot występuje mi na czoło.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale szantaż jest przestępstwem - odpowiadam, starannie kontrolując głos. Nadal nie mam pojęcia, czy Lydia bierze w tym udział, czy tylko jest posłańcem. - Nie mogę wziąć udziału w czymś takim.

- Jak możesz siedzieć tu i myśleć wyłącznie o sobie? - Głos Lydii nabrzmiewa gniewem. - Al mówi, że pokaże zdjęcia każdemu, kto zechce je zobaczyć, a jeśli nie dam mu znać dziś po południu, wyśle je mojej ciotce. To ją zabije! To ty wykorzystałeś mnie wczorajszej nocy, Gideonie.

Spoglądam na kalendarz, starając się policzyć, ile zostało mi pieniędzy. Mam trzy tysiące na koncie, które przeznaczałem na zapłacenie miesięcznego podatku, i może pięć za pracę, którą wykonałem dla okręgu, ale nie mogę ich wyciągnąć przed piątą. Na osobnym rachunku odłożyłem trochę na szkołę Sary i wynajęcie mieszkania, ale tego nie ruszę.

- Skąd ten pośpiech? - pytam niedbałym tonem. - Czy twój mąż wykupił bilet na samolot?

- On nie żartuje! - krzyczy Lydia z brzydkim grymasem na twarzy. - Zrobi to! Al nie myśli racjonalnie. Wiem, że tak ci się wydaje, ale mylisz się.

Widzę w jej oczach prawdziwe przerażenie, ale może tylko mi się zdaje. Czuję, że zaczynam się pocić pod koszulą.

- Nie wiem, czy zdobędę tyle pieniędzy do piątej.

- On nie będzie się z tobą targował, a ja nie mam ani centa! - wyrzuca z siebie Lydia.

Tego się właśnie obawiałem. Żeby zyskać na czasie, wyjmuję kalkulator i udaję, że liczę. Kredyt w banku wykorzystałem już do granic możliwości. Co powiedziałbym Sarze, gdybym wziął jej pieniądze? „Twój ojciec jest gorszy, niż myślałaś. Nie tylko przygląda się klientkom, ale”...

Zaczyna mi się zbierać na wymioty, tak jak wczoraj.

- No dobrze, zdobędę pieniądze.

Twarz Lydii, tak łagodna wczorajszej nocy, jest teraz jak wykuta z kamienia.

- Przynieś pieniądze do mnie dzisiaj po południu. Al podpisze każde zobowiązanie, jakie będziesz chciał, i odda nam zdjęcia i negatywy.

Lydia wstaje.

- Widziałaś je? - pytam chrapliwym głosem.

- Tak, jesteście na nich - wzdycha Lydia. - Myślę, że nie pokazałbyś ich Sarze.

Słyszac o mojej córce, zaciskam mimowolnie pięści; jednak Lydia ma rację. Odprowadzam ją do drzwi. To jest jak wizyta lekarza, który przyszedł powiedzieć pacjentowi, że zostało mu tylko kilka dni życia. Lydia wchodzi do windy, drzwi zamykają się. Nie mówimy ani słowa. Staram się kontrolować twarz, ale Julia nie da się tak łatwo zwieść.

- Wyglądasz, jakbyś się dowiedział, że za kilka miesięcy obdarzę cię małym Gideonem - zauważa złośliwie.

Nie odważam się odezwać; mijam ją szybko i ładuję się do biura Dana. Rozmawia przez telefon. Siadam i zwieszam nisko głowę. Danowi brakuje pieniędzy nawet na zapłacenie podatku, więc nie ma sensu prosić go o pożyczkę. Gorączkowo zastanawiam się, od kogo mógłbym pożyczyć trochę na pokrycie wydatków Sary. Na tym pięttrze wszyscy cienko przędą, konstatuje z goryczą. Ludzie uważają, że prawnicy mają pieniądze w bród, a tymczasem wszyscy moi znajomi ostatnio ledwo wiążą koniec z końcem. Przypominam sobie o Johnie Uptonie, podrywam się więc i pędzę do siebie. John ma firmę ubezpieczeniową. Telefon odbiera sekretarka, która informuje mnie, że pan Upton wyjechał z żoną na spływ

rzeką Kolorado. Odkładam słuchawkę i zaczynam przeglądać elektroniczny notes. Wchodzi Dan.

- Co się stało, do cholery?

Wbijam wzrok w podłogę. Słyszę swój głos, jakby dobiegał ze studni.

- Mam mu zapłacić dziesięć tysięcy dolarów do piątej po południu. Jeśli nie, zacznie się zabawa.

Dan gwizdże cicho i opada ciężko na krzesło, które omal nie pęka.

- Masz tyle pieniędzy?

- Razem z sumą, którą przeznaczyłem na szkołę Sary.

- Próbuje wziąć cię przez zaskoczenie - zauważa Dan po chwili milczenia.

Ocieram oczy. Przeżyliśmy razem niejedno, ale nigdy nie płakałem w obecności Dana. Pewnie wyglądam teraz jak idiota, którym zresztą jestem. Wyglądam przez okno.

- I nieźle mu to wychodzi - mówię drżącym głosem.

Dan ściska oparcie krzesła, aż trzeszczy.

- Kim są ci ludzie? Trzeba to sprawdzić. Może ten facet jest poszukiwany w dziesięciu stanach? Ona pewnie też. Zadzwoń do Renny'ego. Daj mi akta. On prześwietli tę parkę.

Renny O'Connor to policjant, któremu ufamy i który, w przeciwieństwie do innych, umie trzymać język za zębami.

- Do piątej niczego nie znajdzie - mówię, podając Danowi teczkę.

Dan wstaje i w tej samej chwili ktoś puka do drzwi.

- Kto tam? - pytam, starając się kontrolować głos. Oprócz tego dzisiejszego horroru mam jutro krótką sprawę w sądzie apelacyjnym, nad którą jeszcze nie zacząłem pracować.

- Tato, zapomniałeś o naszym spotkaniu? - pyta Sara, stając w drzwiach.

Zerkam na zegarek. Obiecałem Sarze, że zabiorę ją na dobry lunch, zanim wyjedzie do Fayetteville, żeby zapisać się na zajęcia.

- Nie, nie zapomniałem - odpowiadam z wymuszonym uśmiechem. - Chodźmy.

Udaję, że zapraszam Dana, a on znajduje jakąś wymówkę. Ukrywając teczkę Lydii za plecami, wychodzi nie wzbudzając podejrzeń Sary. Ja jednak, zamiast wstać, opadam na fotel i proszę Sarę, żeby zamknęła drzwi.

- Co się stało? Wyglądasz okropnie. Julia powiedziała mi, że masz jakiś kłopot ze sprawą pani Kennerly, ale nie wie, jaki.

- Usiądź - proszę łamiącym się głosem. Mam zbyt mało czasu, aby ukrywać tę katastrofę. - Zrobiłem coś strasznego.

- Co mianowicie? - pyta Sara, siadając na krześle. Zaczyna skręcać w palcach swoje

długie, gęste włosy; zawsze to robi, kiedy jest zdenerwowana. Jest tak bardzo podobna do matki.

Nie potrafię patrzeć jej w oczy. Biorę długopis i zaczynam mazać po kartce w notesie.

- Tato, o co chodzi? Co zrobiłeś?

Kreślę zarys aparatu. Jak jej to wytłumaczyć? Mam jej powiedzieć, że chciałem się odegrać na Angeli? Albo że byłem wstawiony i czułem się samotny? Że jestem nędzną kreaturą, która nie zasługuje na miano prawnika?

- Wczoraj wieczorem pojechałem do motelu, gdzie mieszkała Lydia Kennerly. Wylądowaliśmy w łóżku, i wtedy jej mąż wpadł nagle do środka i zaczął robić zdjęcia.

- Nie! - krzyczy Sara.

- Jadąc tam, nie miałem takiego zamiaru. - Wbrew własnej woli zaczynam się tłumaczyć. - Była przerażona i chciała porozmawiać.

Oczy Sary napelniają się łzami.

- Jak mogłeś, tato?

Zaczynam płakać po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

- Nie wiem. Tak mi przykro.

Sara opada na krzesło i zwiesza głowę. Już nigdy nie będzie między nami tak jak przedtem.

- Co się stało później? - pyta. - Możesz odzyskać te zdjęcia?

Rysuję nad aparatem banknot jednodolarowy.

- Jeśli do piątej po południu zapłacę dziesięć tysięcy dolarów.

- Przecież nie masz tyle pieniędzy! Poza tym, to jest szantaż! - Twarz Sary spurpurowiała. - Nie wolno do tego dopuścić!

- Wiem, że to straszne. - Nie czułem się tak załamany od dnia, kiedy umarła jej matka.

- Mąż pani Kennerly grozi, że jeśli nie spełnię jego żądania, zrobi wszystko, żeby pozbawić mnie prawa wykonywania zawodu. To nie wszystko. Lydia Kennerly ma ciężko chorą ciotkę, której on też pokaże zdjęcia. Postara się, żeby zobaczyło je całe miasto.

Sara zakrywa twarz rękami. Pomalowała sobie paznokcie na wiśniowo; to był ulubiony kolor jej matki. Kiedy wychodziliśmy wieczorem się zabawić, Rosa, jako typowa Latynoska, zakładała szpilki, kolczyki, biżuterię i z przemęczonej pielęgniarki przeobrażała się w supermodelkę. Zabiłaby mnie za mój wczorajszy wyczyn.

- Czy ona do ciebie zadzwoniła? - pyta Sara, sięgając po chusteczkę z pudełka na biurku.

- Tak, ale powinienem był wiedzieć, że nie wolno mi do niej iść. Raz jej odmówiłem.

Sara wyciera nos; w innych okolicznościach odgłos ten rozśmieszyłby nas oboje.

- Tato, czy tego nie widzisz? Ona cię wystawiła!

- Dan też tak uważa, ale ja nie jestem tego pewien.

Czy to moje ego nie pozwala mi przyznać im racji? Oni nie znają wcale tej kobiety, ale czy ja ją znam? Dlaczego nie potrafię sobie powiedzieć, że jestem największym głupcem na świecie? Bo zachowałem się, jak przystało na głupca. Moje ego chyba mnie przeżyje. Słyszę głos grabarza: „Proszę pani, coś tutaj wystaje. Trzeba będzie pochować go na raty.”

- To jasne! - nie ustępuje Sara. - Pewnie już wrobili niejednego biednego frajera.

- Nie możesz tego wiedzieć. - Przypominają mi się słowa Dana. Cynizm Sary zaskakuje mnie. Do tej pory była zawsze nieznośną idealistką. Może nie znam jej tak dobrze, jak mi się zdawało.

- Nie zaproponowała, że zapłaci część tej sumy, prawda?

Potrząsam głową.

- Twierdzi, że nie ma pieniędzy.

Sara spuszcza głowę.

- Czemu nie weźmiesz moich pieniędzy na studia? - pyta po chwili. - Nie umrę, nawet gdybym musiała zrobić sobie rok przerwy. Poza tym mam pracę i prawdopodobnie dostanę pożyczkę studencką.

Nie potrafię powstrzymać łez. Wstaję i obchodzę biurko. Spotykamy się na środku, Sara obejmuje mnie i poklepuje jak małe dziecko. Czym zasłużyłem sobie na taką córkę? Niczym.

- Dziękuję, kochanie. - Czuję się lepiej z każdą chwilą. - Jeśli to wszystko przetrzymam, to nigdy nie zapomnę tej lekcji.

Sara kiwa głową bez przekonania, jak gdyby nie spodziewała się, że dotrzymam tej obietnicy.

Zamiast na lunch z córką, idę do banku i wyciągam z rachunków dziesięć tysięcy w banknotach studolarowych. Zmierzając do windy z walizką gotówki, czuję się jak handlarz narkotykami. Dan czeka na mnie w drzwiach swojego biura.

- Renny nie mógł nic na nich znaleźć, ale uważa, że wszystko to wygląda bardzo podejrzanie. Powiedział, że takich jak oni jest wielu. Znasz ten stary dowcip? Kiedy Bóg zrobił sobie odpoczynek siódmego dnia, nie wiadomo skąd zjawił się Szatan i próbował Go zaszantażować. To drugie przestępstwo w historii świata.

Parskam śmiechem, mimo że w podtekście słów Dana kryje się założenie, iż

pozwoliłem zrobić z siebie durnia.

- Renny stwierdził, że chciałby zająć się tym oficjalnie. Chętnie przyskrzyniłby tę parkę.

Wojna na Aparaty Fotograficzne. Wolałbym nie zobaczyć tego filmu. Sprawdzam pieniądze, choć robiłem to pięć minut temu. Kosztują mnie dużo nerwów.

- Lepiej nie próbować. Zadzwoń do niego później i opowiem o wszystkim.

Dan zerka do swojego notatnika.

- Dzwoniłem do urzędu stanu cywilnego w Północnej Karolinie. Rzeczywiście wzięli tam ślub.

Mam ochotę powiedzieć, że nie można wykluczyć, iż spodobałem się tej kobiecie, ale już widzę spojrzenie Dana. Opowiadam mu o rozmowie z Sarą.

- Szczęściar z ciebie. Nie każde dziecko wykazałoby tyle zrozumienia dla ojca.

- Masz rację. - Zagryzam język, żeby nie przypomnieć Danowi, ile razy on dał się podejść. - Dzięki za pomoc.

Nie tak dawno temu stałem obok niego w sądzie, gdy przyznawał się do winy po epizodzie z prostytutką Twinkie. Zakładając, że przeżyję dzisiejsze popołudnie, czeka mnie długa rehabilitacja.

Zatrzymuję się przed domem Lydii w robotniczej, południowo-zachodniej części miasta, pozbawionej drzew, gdzie prawie w ogóle nie ma ruchu samochodowego. Jest wpół do czwartej; nie mogłem czekać dłużej. Trawa domaga się ścięcia, a i drewnianemu domkowi nie zaszkodziłoby malowanie. Mimo to mam wrażenie, że dziesięć tysięcy dolarów z mojej walizki nie przyczyni się do poprawy stanu tego domostwa. Al Kennerly pewnie zaraz nadjedzie, bo nie widzę nigdzie jego samochodu. Dan zaproponował, że przyjedzie ze mną, ale Lydia od razu uprzedziła mnie, że Al - czemu nie należy się dziwić - nie życzy sobie gości. Zabrałem ze sobą przygotowaną naprędce ugodę rozwodową i umowę o podziale majątku. Jak na parę, która tak niewiele posiada, to dość drogi rozwód.

Lydia ma na sobie tę samą beżową sukienkę, w której zjawiła się u mnie rano. Stojąc w drzwiach, spogląda nad moim ramieniem na ulicę, jakby spodziewała się, że sprowadziłem ze sobą ekipę filmową do nagrania tego szczęśliwego wydarzenia.

- Masz pieniądze? - pyta. Jej twarz ledwie majaczy za siatkowymi drzwiami.

Podnoszę walizkę. Lydia wpuszcza mnie do środka.

- Muszę przeliczyć - mówi rzeczowym tonem.

Wchodzę dalej. Od razu zaskakuje mnie wygląd tego wnętrza, które sprawia wrażenie,

jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Umeblowanie składa się z monstrualnie wielkiego zielonego tapczanu, małego stolika i lampy. W oknie wiszą zasłony, ale nie widać żadnych obrazów, książek ani jakichkolwiek innych przedmiotów. Tak wygląda dom, którego właściciele przygotowują się do przeprowadzki. Wątpię, czy Lydia Kennerly w ogóle tu mieszkała.

- Kiedy on przyjdzie?

- Niedługo - odpowiada Lydia, siadając z walizką na tapczanie.

- Gdzie reszta mebli? - pytam, obserwując jej twarz, gdy zaczyna liczyć pieniądze.

- Zabrał część dzisiaj rano - informuje, nie podnosząc głowy.

Nagle czuję, że jej mąż jest cały czas w domu i myśl ta przyprawia mnie o dreszcz. Wczoraj wieczorem najwyraźniej nie miał broni i uciekał, jak gdyby to on bał się mnie, a nie odwrotnie, przestałem się więc lękać o swoje bezpieczeństwo. Teraz jednak strach powraca. Podchodzę do okna i wyglądam; odwracam się, by zapytać, gdzie jest Al... i wtedy dostrzegam go w drzwiach drugiego pokoju. Wpatruje się we mnie. Ma na sobie dzinsy i czarną koszulkę, ręce trzyma w tylnych kieszeniach. Przychodzi mi do głowy, że nie opłaciłoby mu się zabijać mnie teraz, ale, sądząc z moich ostatnich wyczynów, nie powinienem zbyt ufać swojej inteligencji.

- Jest wszystko, Lydia? - pyta, podchodząc do tapczanu. Ani przez chwilę nie spuszcza ze mnie oka.

- Jeszcze nie policzyłam - odpowiada Lydia drżącym głosem. - Nie denerwuj się.

- Jeśli mnie oszukasz, wiesz, co zrobię.

Ten drań przyprawia mnie o mdłości; chciałbym, żeby już było po wszystkim. Podsuwam mu papiery o rozwodzie i podziale majątku, które trzymałem cały czas w ręku.

- Musicie to oboje podpisać.

Nie zadaje sobie trudu, żeby dokładnie przeczytać umowę - ledwie rzuca na nią okiem. To jasne jak słońce, że wszystko było ukartowane. Przypominam sobie moje pierwsze spotkanie z Lydią. To była gra. Jestem największym durniem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.

Coraz bardziej wściekły, patrzę, jak Al wyciąga długopis z kieszeni i niedbale podpisuje umowę na ostatniej stronie, gdzie Julia wydrukowała słowa „Wyrażam zgodę”. Pewnie podpisał już takich z dziesięć. Skończywszy liczyć, Lydia wygłasza swoją kolejną kwestię:

- A teraz oddaj nam aparat, zdjęcia i negatywy.

Podchodzę do Lydii i wyrywam jej walizkę. Pakuję pieniądze do środka.

- Idźcie do diabła. Mam was dość, naciągacze. Nie obchodzi mnie, co zrobicie z tymi zdjęciami.

Lydia łapie walizkę, potwierdzając moje podejrzenia.

- Chyba zwariowałeś! On nie rzuca słów na wiatr.

- Nie mylisz się - warczy Al, zaciskając dłoń w pięść. Wątpię, czy odważy się mnie uderzyć, ale stoję twardo, gotów przyjąć cios lub go zadać. Nie chodzi o to, że Al się mnie boi: po prostu nie przewidzieli takiej reakcji w swoim scenariuszu.

Jak dzieciak, który w złości pozbiierał zabawki i wychodzi z piaskownicy, odwracam się i kieruję do drzwi, nie mówiąc ani słowa więcej. Tak jak przypuszczałem, Al nie próbuje mnie zatrzymać. Ci ludzie wolą unikać zatargów z prawem. Zatraskując drzwi, słyszę wrzask Ala:

- Jeszcze dzisiaj wszyscy zobaczą twój tyłek, mecenasie!

Na ulicy, chwilowo oszołomiony szczęściem, szepczę do siebie: „Wystawiałem go codziennie przez ostatni tydzień, ty sukinsynu, więc chętnie zobaczę twoje najlepsze ujęcie!”

Powoli przeciskam się zatłoczonymi o tej porze ulicami; jadę do biura. Stojąc na czerwonym świetle spoglądam w bok. W samochodzie obok siedzi mężczyzna w moim wieku. Sądząc z napięcia widocznego na twarzy, wraca do domu po ciężkim dniu pracy. Spoglądam w lusterko i widzę to samo. Wystawiam Los na próbę. Dlaczego nie dałem im pieniędzy? Dlaczego nie zabrałem podpisów i zdjęć, żeby to skończyć? Czy to moje ego? Pęd do samozniszczenia? Wściekłość? A może skłonność do efekciarstwa? Trudno powiedzieć. Powoli się odprężam, nabierając pewności, że postąpiłem słusznie. Jeśli niewiedza jest błogosławieństwem, powinienem być najszczęśliwszym człowiekiem we wszechświecie. Zastanawiam się, w jakim nastroju Bill Clinton wstaje rano z łóżka.

Posłowie

Pierwszą osobą, która przeczytała *Rozwód*, była znana adwokatka pracująca ze mną w kancelarii w Arkansas. Powiedziała, że zdumiała ją zakończenie opowiadania. Stwierdziła, że nieoczekiwane rozwiązanie tej historii zepchnie na drugi plan problem przemocy w rodzinie. Nie było to z pewnością moim zamiarem. Po dwudziestu pięciu latach reprezentowania w sądzie kobiet maltretowanych fizycznie i psychicznie przez partnerów, doświadczywszy na własnej skórze takiej samej edukacji, jakiej poddawała Sara swego ojca, jestem przekonany, że większość z nas nie chce przyjąć do wiadomości rozmiaru krzywd zadawanych na całym świecie kobietom i dzieciom. Przyznać muszę, że jako mężczyzna wychowany na Południu w czasach segregacji rasowej, gdy najważniejszym wzorcem obyczajowym była dominacja białych mężczyzn, musiałem odbyć długą drogę.

Grif Stockley

STEVE MARTINI

Poetycka sprawiedliwość

- Rodzice powtarzali nam: „na oszustwie daleko nie zajedziesz”, a my nie chcieliśmy im wierzyć. W tym opowiadaniu, na przykładzie oszusta Harveya, Steve Martini wyjaśnia, dlaczego tak mówili. Czy obdarzony wyjątkowym talentem do kłamstwa Harvey napotka równego sobie przeciwnika?

Harvey był leniwym adwokatem,
cynikiem, zasad etycznych katem.
Już od dzieciństwa grzeszył,
i z diabłem się cieszył.
Pracy domowej sam nie odrabiał,
a na egzaminach zapuszczał żurawia.

Dziwił się, czemu brak mu skrupułów,
bo nie należał wszak do niezgułów.
Wśród swoich genetycznych cech
Harvey otrzymał wspaniałą rzecz.
Oszustwa był to dar,
fenomenalny czar.
Gdzieś w genealogicznym drzewie
zatliło się złego zarzewie.
Nie przyszło od ojca czy matki,
ciotki, wujka ani babki.
Wszyscy jego krewni ciężko harowali,
jak urzędnicy przy okienkach trwali.
Ledwo wiązali koniec z końcem,
zarabiali niewiele.
Harvey widział w nich losu ofiary.
On był inny. Mądrzejszy.
Wiedział, jak kręci się ten świat.
Nauczył się,
jak być z fortuną za pan brat.

Wspinaczka

W wieku dwunastu lat Harvey miał urodę młodego myśliwego - wysoki, przystojny, o regularnych, jakby rzeźbionych rysach - więc dziewczęta w szkole średniej nie dawały mu spokoju. Jeśli chodzi o płć piękną, Harvey najbardziej cenił intelekt. Zgrabne ciało i śliczną buzię uważał za przyjemne dodatki. Jeśli dziewczyna była inteligentna, Harvey mógł spisać od niej pracę domową i zerkać do jej kartki na egzaminie, a ona nie protestowała. Niczym żeglarz, który ma kochankę w każdym porcie, tak Harvey miał dziewczynę w każdej klasie.

Postępował wedle tej samej sprawdzonej zasady w college'u, a potem na studiach, gdzie było już trochę trudniej. Tam egzaminy nie polegały już na wybraniu właściwej odpowiedzi: trzeba było błysnąć oryginalnością, napisać własnymi słowami esej, na tyle różniący się od innych, żeby nie zostać zdemaskowanym.

Harvey nie wpadł jednak w panikę. Nigdy nie wpadał w panikę. Polegał na swoim wrodzonym geniuszu - talencie do kłamstwa, które przychodziło mu z taką naturalną łatwością; płynęło z głębi jego istoty.

Zaprzyjaźnił się z sekretarką dziekana. Dziewczyna była w wieku Harveya, lecz nie studiowała prawa. Polubiła Harveya, a on ją. Wszak знаła kombinację cyfr sejfu dziekana, a sejf zawierał pytania na wszystkie egzaminy wraz z odpowiedziami przygotowanymi przez profesorów. Harvey zaliczał kolejne testy, nie zaglądając do książek. Po co tracić czas? W ciągu trzech lat skończył uczelnię z wyróżnieniem, pożegnał się z sekretarką i ruszył w swoją drogę.

Teraz trzeba było przebrnąć przez egzamin adwokacki. To nie przelewki dla kogoś, kto nigdy się nie uczył i nie zapracował sobie na stopień naukowy. Harvey zaczął rozważać ten problem na długo przed opuszczeniem uczelni. Jaki pożytek z tytułu, skoro nie można go wykorzystać do robienia pieniędzy? Tylko pięćdziesiąt procent kandydatów zdaje egzamin za pierwszym podejściem, a Harvey nie miał zamiaru tracić czasu na zdawanie egzaminu więcej niż jeden raz. Zresztą kursy przygotowawcze są takie długie i męczące. Trzeba za nie płacić, a nie dostaje się żadnej gwarancji zaliczenia egzaminu. A Harvey chciał mieć pewność.

Aby osiągnąć ten cel, Harvey wynajął prywatnego detektywa, niejakiego Jerseyego Joe Janisa. Jersey Joe miał chude nogi, brzuch, który wylewał się ze spodni i obwisłą skórę na szczękach. Przypominał Harveyowi pewną postać ze starej kreskówki, z tą różnicą, że Jersey wyglądał jeszcze zabawniej, ponieważ nosił krawat w kropki.

Jersey Joe specjalizował się w śledzeniu mężów odwiedzających podejrzane motele i

w robieniu zdjęć, które wręczał potem zazdrosnym żonom. Jego usługi kosztowały Harveya ułamek ceny kursu przygotowawczego, a za to gwarantowały pożądaný rezultat.

Janis przebrał się za pracownika gazowni. Udał się do niewielkiej drukarni w centrum miasta i oznajmił właścicielowi, że ktoś zawiadomił o groźnym przecieku gazu. Wszyscy muszą opuścić budynek na kilka minut. Gaz ulatnia się pewnie gdzieś na ulicy, ale na wszelki wypadek...

W ciągu tych kilku minut Jersey Joe znalazł zestaw egzaminacyjny wraz z przykładowymi odpowiedziami. Harvey dobrał się do miękkiego podbrzusza adwokatury - zarząd od lat korzystał z usług tego samego drukarza, który był krewnym jednego z członków. Cóż w tym złego, przecież to nie przestępstwo korzystać ze znajomości.

Harvey zaliczył egzamin za pierwszym razem z maksymalną liczbą punktów. Otworzył praktykę w centrum miasta i postanowił specjalizować się w dziedzinie, do której miał naturalne skłonności: w sprawach karnych. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale odczuwał jakąś dziwną sympatię, po prostu pociąg do ludzi oskarżonych o popełnienie przestępstwa. Doskonale rozumiał ich pokrętną motywację i perwersyjną logikę, choć pogardzał nieudolnością, która umożliwiła policji ich schwytanie. Oni zaś właśnie z tych powodów go wynajmowali.

Jersey Joe dobrze przysłużył się Harveyowi, więc ten znalazł inne pole dla jego nieocenionych talentów: biuro prokuratora okręgowego.

Prawo zapewniało Harveyowi dostęp do dokumentacji procesowej. Według przepisów, prokurator miał obowiązek ujawnić mu wszystkie dowody i dokumenty, jakie zamierzał wykorzystać przeciwko klientom Harveya. Jednak Harveyowi to nie wystarczało. Chciał mieć w ręku ostrzejszą broń, coś, czego inni adwokaci nie mieli: plany prokuratora, efekty pracy koncepcyjnej przeciwnika. Chciał mieć kopie notatek i prywatnej korespondencji, a także nazwiska świadków, zanim ich zeznania przybiorą konkretne kształty, zanim prokuratura otoczy ich ochroną.

Jersey Joe zaczął pracę jako nocny stróż. Umieścił urządzenia podsłuchowe w biurach zastępców prokuratorów i namówił paru młodych, przystojnych mężczyzn, aby uwiedli sekretarki w biurze prokuratora okręgowego. Na kanapach i dywanach, wśród miłosnych szeptów chłopcy ci wyciągali od sekretarek tajemnice zawodowe ich szefów. Później nie mogły już odmawiać udzielania poufnych informacji.

Harvey znał zamiary prokuratorów, zanim oni sami zdążyli je obmyślić. Szybko zdobył sławę dzięki niezwyklej liczbie zwycięstw w sali sądowej; zawdzięczał to doskonałej umiejętności wykorzystania dowodów i podważania wiarygodności świadków oskarżenia.

Prokuratorzy, nie mogąc pokonać Harveya, musieli się z nim układać; tańczyli, jak im zagrał. Harvey zaczął brylować w sprawach karnych i wkrótce rozszerzył zakres specjalizacji. Zabrał się za doskonale płatne sprawy cywilne. Wszystko to nie uszło uwagi innych prawników. Niektórzy domyślali się, czemu zawdzięcza swoje sukcesy, ale bali się podejmować ryzyko pójścia w jego ślady. Przy pomocy Joego Harvey penetrował akta swoich przeciwników i podsłuchiwał ich rozmowy telefoniczne.

Sędziowie zauważyli niezwykłą intuicję Harveya podczas rozpraw i zaczęli go traktować w sposób wyjątkowy. Harvey rozumiał, że w świecie prawa sława zwycięzcy to potężny oręż. Wykorzystując to wszystko bez skrupułów, Harvey rzucał przeciwników na kolana z coraz większą łatwością. Zdobył sobie reputację faceta, który dobrze odrabia pracę domową. Nikt jednak nie wiedział, że wykonuje ją Jersey Joe.

Harvey znalazł się na szczycie. Przyjęty do wielkiej firmy prawniczej w centrum miasta, poznał nowych zamożnych klientów, którzy czekali nań w ekskluzywnym wieżowcu przy ulicy K. Zaczął się obracać wśród znanych lobbistów i biznesmenów.

*Z Jerseyem Joe spotkał się po cichu
Z dala od biura - ni widu, ni słyhu.
Bo Joe nie pasował do Harveya szlaków
Wspólników, klientów z wyższych sfer
Nadętych sztywniaków.
Nie rozumiał Janis, dlaczego Harvey
Tak się odsunął od niego.
Choć zraniony w uczuciach
Nie dochodził swego
Bo Jersey Joe umiał czekać i siedzieć cicho.
Przebiegły jak lis, chociaż wyglądał lichy.*

Przez siedem lat Harvey wiódł cudowne życie, wyjeżdżając na wakacje tylko do najlepszych kurortów, bywając w rezydencjach ludzi ze śmietanki towarzyskiej. Do jego przyjaciół należeli ludzie potężni, bogaci i sławni, a także coraz więcej wpływowych polityków. Zapraszano go do programów telewizyjnych, w których zachwalał swoje książki, opiewające wyczyny Harveya w sądzie, ani słowem nie zająknawszy się o tym, że napisali je wynajęci przezeń zawodowi pisarze.

Harvey został członkiem licznych rad zawodowych i ekskluzywnych klubów.

Uczelnia, którą Harvey skończył tak chwalebnie (i bez wysiłku), chciała go mianować profesorem. Harvey podziękował gorąco i odrzucił tę propozycję. Jaki pożytek miałby tam z Jersey Joe?

W każdym miejscu, w którym Harvey się znalazł, poprzedzała go sława niezwyciężonego adwokata. Pewnego wieczora wspiął się na najwyższy ze szczytów.

Rozstawszy się z paroma zbędnymi dolarami przy okazji kolejnych wyborów prezydenckich, Harvey poznał pierwszą parę Ameryki i pewnej nocy znalazł się w apartamencie Lincolna, przyjmowany jak przyjaciel rodziny.

Teraz Harvey mógł powiedzieć, że jednym z jego patronów jest najbardziej wpływowego człowiek w kraju. Został członkiem kilku wysokich komisji, doradcą wielkich ludzi. Stał się tak sławny, że zaproszono go do jeszcze większej firmy prawniczej, gdzie byli ministrowie zdejmowali rządowe ostrogi, by zająć się robieniem grubych pieniędzy w zawodzie adwokata. Kiedy wszedł do środka, na drzwiach znalazł kartkę takiej treści:

Mecenas Harvey

Brał tylko takie sprawy, mówiąc między nami

Gdzie stawki szły w miliony, a klienci - tuzami.

Krółami życia z wysokich finansowych sfer,

Których chronił dyskretny banknotów szmer.

A wszystkie laury, co Harveya zdobyły skronie

Nie spadłyby nań

Gdyby nie Jersey zręczna głowa i dłonie.

Zbrodnia

Świat zawalił się z powodu brakującego kwitu z chińskiej pralni.

Wczesnym popołudniem w niedzielę Harvey odebrał telefon. Dzwonili z Białego Domu. Wszystko wskazywało na to, że prezydent potrzebuje pomocy Harveya.

Spotkali się za czarnym żelaznym ogrodzeniem o ostrych jak czubki włóczni szpicach, w pobliżu równo ostrzyżonego trawnika, od dawna martwego pod płaszczem śniegu. W olbrzymim białym domu stanęli naprzeciw siebie Harvey i wielki człowiek. Wprowadzono gościa do wewnętrznego sanktuarium i poproszono, by usiadł na kanapie obok trzaskającego ognia w kominku owalnego gabinetu.

- Kawa czy herbata?

Harvey grzecznie odmówił.

- Może coś mocniejszego? - zaproponował prezydent.

Harvey potrząsnął głową. Chciał przejść do sedna sprawy.

Kłopoty prezydenta nie były tajemnicą dla nikogo, kto obserwował scenę polityczną. Zaczęły się nie od pojedynczego epizodu, lecz całej serii. Żadne z tych wydarzeń z osobna nie byłoby godne uwagi, ale razem nadszarpnęły wiarygodność prezydenta, na podobieństwo rzeki żłobiącej kanion w twardej skale.

W Kongresie byli już tacy, którzy głośno mówili o „przestępstwach i nadużyciach”, a od tych słów tylko krok do wszczęcia procedury odsunięcia od władzy.

Niektórzy twierdzili, że używa służb

Do politycznych celów.

Że nawet się waży śledzić z ich pomocą swoich adwersarzy.

Inni zaś twierdzili, że zagląda w ich osobiste teczki - aż pomyśleć strach.

I dziwili się

Jak ich akta trafiają pod Białego Domu dach.

Pojawiły się plotki o nadużyciach w kampanii

O brudnych pieniądzy praniu.

Całą tę listę skandali

Wykpił Prezydent w jednym zdaniu.

Płynęły miesiące i lata

I stało się rzeczą jawną

że prezydent najwyraźniej

Rozmija się z prawdą.

A teraz nowy skandal

Gruba sprawa, ciężka jak głaz.

Prezydent szuka adwokata

Co uciszy wszystko wraz.

Było jasne, że prezydent znalazł się w poważnych tarapatach. A sprawował wszak władzę w najpotężniejszym państwie świata. Nie najgorszy sprzymierzeniec, pomyślał Harvey. Nie ulega wątpliwości, że do tej pory siedziałby już w więzieniu, gdyby nie umiejętność poruszania wszystkimi dźwigniami władzy.

Miał swojego prokuratora generalnego, który dzień i noc roztaczał nad nim parasol ochronny. Kiedy skandal wisiał w powietrzu i groził katastrofą, zawsze znalazł się pod ręką jakiś usłużny prawnik, który rozejrzał się za odpowiednim kozłem ofiarnym.

Rzucali na pożarcie rekiny finansowe

I wielkich bonzów, jak leci.

A wyborcom wciskali kit

że ratują w ten sposób ich dzieci.

Mnożyli recepty uzdrowienia kraju

Sprzedawali prasie coraz nowe smęty.

Zrobiliby wszystko, żeby tylko ludzie

Zapomnieli ich przekręty.

Harvey wiedział, że jeśli nie wystarczy umiejętność łamania prawa, prezydent ma jeszcze w zanadru arsenał wyjątkowych cech osobistych. Był wcieleniem uroku, jak stary kumpel o rozbajającym uśmiechu, a przy tym miał doświadczenie starego wygi, otraskanego w niejednej politycznej burzy. Harvey zawsze podziwiał jego niesamowitą zdolność wywinięcia się z każdego skandalu, przeważnie po trupach innych, a w dodatku z wdziękiem godnym arabskiej tancerki.

O, tak, Harry darzył prezydenta niekłamanym podziwem! Byli podobni do siebie, nawet z wyglądu, obaj tego samego wzrostu i budowy ciała. To pokrewieństwo dało się odczuć już przy pierwszym spotkaniu: w tłumie ludzi na przyjęciu prezydent zwrócił uwagę tylko na Harveya, jakby nie było tam nikogo innego.

Harvey uznał, że sprawił to magnetyzm jego osobowości.

Prezydent był wysoki i przystojny, z każdego jego gestu emanowała hojność i majestat. Roztaczał wokół siebie urok duchowej żywotności - jak papież, z tą różnicą, że za popełniane przez siebie grzechy udzielał odpustu innym.

Wbrew wszelkim oskarżeniom, mierzone w sondażach poparcie społeczne dla prezydenta ciągle rosło. Sympatia ludzi spływała nań niekończącym się strumieniem.

Rozglądając się po wielkim domu, Harvey oceniał sytuację prezydenta.

Lata na urzędzie to szkoła-cud

Gdzie uczą klamać gładko jak z nut.

Skandale, afery, oskarżenia -

*On tłumaczy wszystko bez zająknięcia.
Przyparty do muru, ten cwaniak
Zawsze uderzy w odpowiedni ton:
„Tak, zdarzyły się błędy
Lecz w granicach prawa, wierście mi”.
Może to i kłamstwo, ale jak dobrze brzmi.
„Wszystko sprawdzili nasi prawnicy
A to spece, których otacza sława
Może nawet je naginaliśmy
Ale nie złamaliśmy prawa”.*

Lawirowanie wśród meandrów prawa, tak skuteczne dzięki poświęceniu prezydenckich prawników, stało się mottem prezydentury, tak jak E Pluribus Unum i In God We Trust*. Najbardziej zdumiewał Harveya fakt, że publiczność to kupiła. Patrząc teraz na szefa państwa, z którego ust gładkie wymówki płynęły jak miód, Harvey zrozumiał, dlaczego ludzie jedli mu z ręki, niczym gołębnie w parku.

Twarz prezydenta jaśniała humorem, nawet kiedy słuchał najcięższych oskarżeń, jak gdyby opowiadano mu dobry kawał. Jeśli sprawy nabrzmiały i wymagała tego konieczność, zakładał maskę słusznego oburzenia, którego motywem przewodnim było niezmiennie:

*„Nie złamano prawa
Choć zdarzyło się wiele rzeczy złych
Możecie mi wierzyć, ukarzymy winnych”.
Prawnicy, doradcy popiołem głowy sypali
Przed kamerami telewizji
W programie „Na politycznej fali”.
Harveyowi wątpliwość
Niejedna została.
Lecz Prezydent powtarzał
„To prawda - choć może nie cała”*

*[E Pluribus Unum - Z wielości jedność; maksyma umieszczona na amerykańskim godle; In God We Trust - W Bogu pokładamy wiarę; maksyma umieszczona na amerykańskich banknotach i monetach (przyp. tłum.).]

- Cygaro? - zaproponował prezydent. - Kubańskie. Prosto z Guantanamo. Spod lady, jak to mówią.

- Czemu nie - odparł Harvey.

- Weź więcej. Są małe.

Harvey skorzystał z zaproszenia. Prezydent już palił; Harvey poszedł za jego przykładem i z przyjemnością wydmuchiwał dym. I to mówi człowiek, który niedawno zdusił przemysł tytoniowy jak niedopałek papierosa. Prezydent spojrzał na Harveya, jakby czytał w jego myślach.

- Cygara się nie liczą.

Roześmiali się razem, jak czynią to wielcy ludzie. Ludzie władzy.

Dwa pierścienie dymu zawisły nad głową prezydenta niczym aureole, a potem z wolna się rozproszyły. Mogła to być zapowiedź przyszłych wydarzeń, lecz Harvey nie zwrócił na nie uwagi.

Zabrali się do rzeczy. Prezydent dmuchnął dymem.

- Mam dużo kłopotów i nie potrzeba mi więcej. Czy możemy traktować to spotkanie jako rozmowę adwokata z klientem? - spytał prezydent, jak gdyby przygotowywał się do oczyszczającego duszę wyznania.

Harvey odpowiedział twierdząco.

- Świetnie. Doskonale. Chciałem się tylko upewnić. Wolałem nie korzystać tym razem z usług rządowych prawników, bo nie byłem pewien, komu mogę zaufać. To poważna sprawa, chodzi o bezpieczeństwo narodowe i takie rzeczy.

Harvey uniósł brwi, zapalając drugie cygaro.

- Całe przedsięwzięcie wymaga wielkiej dyskrecji. Absolutnej dyskrecji - dodał prezydent.

- Rozumiem - odparł Harvey.

Po dłuższej pauzie i pełnym powagi wydmuchnięciu kłębu gęstego dymu, prezydent przemówił.

- Podejrzewam, że jeden z moich ministrów sprzedaje tajemnice państwowe. Nie potrafię powiedzieć, który. Potrzebuję kogoś z zewnątrz, kto będzie moimi oczami i uszami. Kogoś, komu mogę zaufać i kto szybko dotrze do sedna sprawy. Nie wiem, czy wiesz, ale FBI to burdel.

- Wiem. - Gdyby FBI działało jak należy, człowiek, z którym rozmawiał Harvey, pewnie siedziałby już za kratkami.

- Dlaczego ja? - spytał Harvey.

- Masz jakiś dar docierania do odpowiednich dowodów procesowych, który pozwala ci zawsze wygrywać. Tego mi właśnie potrzeba. Rozumiesz, szukam kogoś, kto potrafi wypełnić luki właściwymi informacjami.

Harvey nie był pewien, ale zdawało mu się, że prezydent mrugnął do niego okiem. Może to jakiś legendarny, tajny znak wykorzystywany przez ludzi władzy, taki jak masoński uścisk dłoni czy język rapperów. A może po prostu nerwowy tik. Tak czy owak, Harvey nie chciał uchodzić za prostaka, uczynił więc to, co wydawało się naturalne. Odmrugnął, a potem szybko potarł oko, jak gdyby go swędziało.

Prezydent uśmiechnął się. To jednak był znak. Harvey został przyjęty do grona wtajemniczonych.

- A więc pomożesz mi.

Harvey całe życie pracował na swoją sławę wielkiego adwokata. Jak mógł odmówić, nie narażając jej na szwank?

- Cieszę się, że znalazłem człowieka, który rozumie znaczenie słowa obowiązek.

Prezydent wstał i położył lewą dłoń na ramieniu Harveya, a prawą kilka razy potrzęsął energicznie jego ręką, jak gdyby pompował wodę ze studni.

- Razem, ty i ja, wytropimy tego szpiega. A jeśli ci się uda, sam wypiszesz rachunek.

To ostatnie słowo jak gdyby sprowadziło wielkiego człowieka z powrotem na ziemię, gdzie czaiło się zagrożenie. Bo właśnie brakujący rachunek z chińskiej pralni doprowadził do tego niebezpiecznego kryzysu.

Wszystko zaczęło się w pewien letni dzień, jeden z tych gorących, parnych dni, z których słynie stolica. Zaczęło się w pralni Too Fu Wauna.

W jakiś niepojęty sposób kwit oddzielił się od wełnianego, prążkowanego garnituru za tysiąc dolarów. Mężczyzna prasujący ubrania podniósł go z podłogi i przyczepił do leżącego obok płaszcza.

Garnitur zaś posłano właścicielowi wyszczególnionemu na kwicie; odebrał go strażnik na Kapitolu i niezwłocznie powiesił na haku w szatni senatu. Pod koniec dnia, niczemu się nie dziwiąc, zabrał go senator nazwiskiem Smooch. Zaniósł garnitur do domu i powiesił w szafie. Dopiero dwa tygodnie później przymierzył go i spostrzegł, że nie pasuje. Spodnie okazały się za szczupłe, a rękawy za długie. Najbardziej zaniepokoiło jednak senatora to, co znalazł w kieszeni: podpisany czek na dwa miliony dolarów, wystawiony na rachunek banku w Hongkongu. Do czeku przyczepiona była kartka:

WPISZ NAZWISKO
I BIERZ PIENIĄDZE Z BANKU
ŻBYŚ ZOSTAŁ CZYSTY
WYSTAWIŁEM CZEK IN BLANCO

Senator Smooch przymierzył jeszcze raz garnitur, ale mimo jego szczerých wysiłków ubranie nie pasowało.

*Wciągał na siebie płaszcz ile sił
Zapiął spodnie
I omal się nie udusił.
Ciągnął, sapał i pianę toczył
A guzik w dziurkę nie wskoczył.
I nagle pod klapą - cóż to znów?
Złota spinka - Uff!
Zerka na czek, szuka bilonu
I w te pędy do telefonu.*

Uniósł się pan Smooch godnością, nie będzie pionkiem w grze.

Zapłonął ojczyzny gorącą miłością.

Szpiegowskie gniazdo w chińskiej pralni - oj, dzieje się źle.

Na spince prezydencka pieczęć lśni

Ktoś sprzedaje kraj - albo sobie kpi.

Na szczęście dla prezydenta okazało się, że Smooch należy do jego przyjaciół.
Zadzwoił do Białego Domu.

Uzyskawszy zgodę prezydenta na zatwierdzenie drogiej sercu Smoocha ustawy o budowie portu w jego rodzinnym stanie Nebraska, senator wysłał spodnie, marynarkę, spinkę i czek do Białego Domu.

Teraz prezydent i jego ludzie chcieli się poważnie zabrać do rozwiązania tej sprawy. Prezydent zapewnił Harveya, że może liczyć na wszelką pomoc.

- Nie rozumiem jednej rzeczy - rzekł Harvey. - Jak znalazła się tam spinka?

- Prezydenckie spinki rozdawane są przyjaciołom i współpracownikom. Ale takie jak tamta rozdano tylko członkom mojego rządu.

- Aha - powiedział ze zrozumieniem Harvey.

- Too Fu Waun jest agentem obcego państwa - stwierdził prezydent.
- Skąd pan o tym wie?
- Zaufaj mi - powiedział szef i ponownie mrugnął okiem.

Tym razem Harvey pojął od razu. Chodzi o bezpieczeństwo państwa. Szczegóły ujawnia się tylko tym, którzy powinni je znać. Widać prezydent uznał, że Harvey do nich nie należy. Powiedział nawet, że sam ich nie zna. Tak jest lepiej. Gdyby wezwano go do stawienia się przed wielką federalną ławą przysięgłych, wyjaśnił prezydent, mógłby zgodnie z prawdą powiedzieć, że nic nie wie o tej sprawie. Wszystko to wydawało się Harveyowi bardzo niejasne, ale to nie miało znaczenia.

*Harvey planował manewr wypróbowany
Przez J. Edgar Hoovera, co zawsze
Wiedział gdzie leży pies pogrzebany.
Ktoś powie, że to chwyt niedozwolony
Nieważne - jeśli się uda
Harvey będzie niezastąpiony.*

- Wiadomo, że garnitur należy do jednego z moich ministrów. Nie wiemy tylko, do którego. Rozumiesz, na czym polega mój kłopot - powiedział prezydent. - Nie mogę podchodzić do każdego po kolei i pytać, czy popełnił zdradę.

- Od czegoś trzeba zacząć.
- Nie powiedzieliby prawdy.
- Wszyscy?

Prezydent zignorował pytanie i rzucił na stół swojego asa atutowego.

- Jeśli dziennikarze się dowiedzą, będą mieli bogate żniwo.
- Tu ma pan rację - przyznał Harvey.
- Liczę na to, że wykorzystasz swoje umiejętności i dyskrecję i dowiesz się, czyj to garnitur.

Prezydent wskazał krzesło w rogu. Na wieszaku wisiał tam feralny garnitur, okryty pokrowcem z ciemnej folii.

Prezydent jeszcze raz uściśnął dłoń Harveya i odprowadził go do drzwi.

- Prawnikowi twojego kalibru ta sprawa nie powinna sprawić kłopotu. To jak spacer po parku. Robota na jeden dzień.

Spryciarz, pomyślał Harvey. Potrafi wykorzystać czyjąś ambicję jak wytrych.

Wyszedł więc Harvey z Białego Domu

Ale że spotkał się z Szefem -

Nie udowodni nikomu.

Prędzej, nie czas na zabawę

Do Jersey Joe,

Ten załatwi sprawę.

Bagno

Rozwiązanie, myślał Harvey, jest proste jak drut

Oddam sprawę Jerseyowi, nie brudząc rąk ni ciut, ciut.

A Joe to spryciarz, cwaniak jak się patrzy

Załatwi wszystko raz, dwa, trzy.

Jersey uwijał się tak, że zdumiał nawet samego Harveya. Przygotował plan działania w ciągu kilku godzin i od razu zabrał się do realizacji. Wyglądało to tak, jak gdyby wszystkiego się spodziewał i tylko czekał, aż Harvey doń się zwróci. Ale nie było w tym nic dziwnego. Jersey miał przebiegły umysł, który nigdy nie przestawał pracować.

Plan był doskonały w swej prostocie, bezbłędnie przemyślany i podstępny. Jednym słowem, prawdziwy klejnot.

Jersey podał się za fotografa pracującego dla kwartalnika „Gentlemen’s Quarterly”. Powiedział, że przygotowuje materiał do artykułu „Sławni ludzie”; takiej okazji polityk nie może przepuścić. Jersey rzucił na przynętę nazwiska kilku gwiazd ekranu, z którymi także miał przeprowadzić wywiady do artykułu. Podziałało doskonale i przed Jerseyem otwały się drzwi do gabinetów, domów i biur. Korzystał ze swych przywilejów w pełni, wszędzie zjawiając się z nieodłącznym aparatem na szyi.

Rzecz jasna, przychodził z garniturem. Wszyscy przywódcy wielkich państw takie noszą. Czyżby pan nie słyszał? Odpruty rękaw to najnowszy krzyk mody, prosto z Italii.

Nawet jeśli garnitur nie pasował, Joe chciał sprawdzić, czy dobrze im w tym kolorze. Kiedy okazywało się, że facet nie może wciągnąć marynarki, Joe wychodził, tłumacząc się, że zapomniał filmu albo że światło jest nieodpowiednie. Wpadnie jutro z ekipą.

Upłynęły dwa tygodnie, a Harvey nie miał wieści od Jerseya. Trochę zaczął się denerwować, więc sam do niego zadzwonił. Nikt nie odebrał, więc zostawił wiadomość na sekretarce. Jak dotąd, Jersey nigdy go nie zawiódł. Czemu miałyby się to zdarzyć właśnie teraz?

Mijały dni, a Joe nie dzwonił. Harvey zaczął się poważnie martwić. Wydzwaniał doń codziennie, zostawiał wiadomości i odwiedzał ulubione knajpy Jerseya. To zaczynało wyglądać groźnie. Prezydent oczekiwał wyników. Lepiej nie trzymać go w niepewności.

Wreszcie w piątek wieczorem

Znajduje faceta w domu.

*Jersey bardzo zajęty,
Nie otwiera nikomu
Milczy jak zaklęty.
Harvey wszystkiego ciekaw
O nowinach chce gadać
Jersey mamrocze, że nie ma czasu
Kilku ministrów musi jeszcze wybadać.
A wśród nich dwie atrakcyjne kobiety
Co czasem lubią wkładać garnitury*

Uważając, że to działa na męskie podniety.

Harvey nauczył się nie kwestionować taktyki Joego. Ten człowiek był mistrzem podstępu, biegłym w rozmaitych sposobach łamania etyki. Poza tym jego argumentacja brzmiała logicznie. Może rzeczywiście zdrajcą była kobieta. Wszak szpiegostwo to jedna z tych zbrodni, które pasują do umysłowości kobiety; mężczyźni wolą przestępstwa bardziej otwarte, bezpośrednie - na przykład wyłudzenie.

Harvey ufał Jerseyowi, lecz coś kazało mu powęszyć trochę na własną rękę. Później często zastanawiał się, co pchnęło go do pralni Too Fu Wauna. Może jakiś przebłysk telepatii. Harvey nie potrafił powiedzieć tego na pewno. Może był to ten niepokojący głos, który mówi, że coś się psuje (nie w sensie etycznym), że jakiś szczegół znalazł się nie na swoim miejscu.

W pralni Wauna było ciemno i parno. Zupełnie jak podczas ostatniej szkolnej randki Harveya w kinie pod gołym niebem. Nie widział wtedy twarzy dziewczyny, tak jak teraz nie mógł rozróżnić rysów twarzy osoby za ladą. Zasłaniała ją mgła.

Harvey przedstawił się i wyjaśnił, że szuka pewnej części garderoby, która zaginęła w pralni. Szczegółowo opisał prążkowany garnitur. Dokładniej nie można było tego zrobić.

- Zawołam szefa - usłyszał w odpowiedzi. Człowiek za ladą najwyraźniej nie był właścicielem.

Chwilę później ktoś hałaśliwie przesunął dźwignię na zapleczu i mgła ulotniła się. Harvey ze zdumieniem patrzył na mężczyznę, który stanął w drzwiach. To nie był Azjata, a Harvey chciał rozmawiać osobiście z panem Waunem. Mężczyzna był wysoki i miał skórę równie jasną jak Harvey. Oparł ręce o ladę, popatrzył na Harveya, i uśmiechnął się.

- Witam. Jestem Harry Tool. Co mogę dla pana zrobić?

Harvey zmierzył go wzrokiem od góry do dołu; nie pozwolił robić się w konia.

- Szukam garnituru, który zaginęł. Chcę rozmawiać z panem Waunem.

Mężczyzna uśmiechnął się ponownie.

- Pana Wauna nie ma.

- Jeśli wyszedł, mogę wrócić później.

Oczy mężczyzny lekko się zwęziły.

- Powiedziałem właśnie, że pan Waun nie istnieje.

- Akurat. To dlaczego jego nazwisko wypisane jest na witrynie? I na workach na ubrania?

Harvey podniósł jeden, jak gdyby chciał udowodnić swoją rację.

- Powtarzam panu, że pan Waun nie istnieje. Jeśli przyniósł pan coś do prania, jestem do usług. Jeśli nie, tam są drzwi.

Harvey spędził w sądzie całe życie. Potrafił rozróżnić, czy ktoś kłamie, czy nie.

- Proszę posłuchać. Chodzi mi o informację. Niech pan odeśle pracownika, a zobaczy pan, że się to panu opłaci.

Ruchem głowy Harvey wskazał Azjatę stojącego za Toolem.

Tool zerknął na pomocnika, ale nie poprosił go o wyjście.

Harvey wyjął portfel i na dowód swoich szczerych zamiarów położył na kontuarze trzy banknoty dwudziestodolarowe.

Tool popatrzył na to ze zdziwieniem, ale nadal nie odprawiał Azjaty.

- Nie wiem, czego pan chce. O jaką informację chodzi?

- Chcę porozmawiać chwilę z panem Waunem.

Tool wziął banknoty i wsunął do kieszeni koszuli. Uczynił to bez żenady, na oczach pomocnika.

- A więc o co chodzi?

Harvey nie chciał mówić w obecności pracownika. Tool mógłby sprzedać swojego szefa, ale Harvey nie był pewien tego Azjaty.

Tool nie pozostawił jednak Harveyowi wyboru.

- Ma pan dwie minuty.

- A więc mówi pan, że to pan jest Waunem?

- Nie. Ale za sześćdziesiąt baksów mogę go udawać.

- Zapłacę więcej, jeśli zobaczę pana Wauna.

- A ja powiedziałem już, że pan Waun nie istnieje.

- Więc co robi jego nazwisko na...?

- To slogan reklamowy. Nie rozumie pan? Too Fu Waun.

Harvey rzeczywiście nie rozumiał.

- Dwa za jedno* - wyjaśnił Tool. - Czyścimy i prasujemy dwa garnitury, a klient płaci za jeden.

Harvey zmusił się do uśmiechu, ale jednocześnie doznał nieprzyjemnego uczucia, jak gdyby coś ciężkiego zaległo mu na żołądku. Przemknęło mu przez myśl, że Tool łże. Dwa za jeden? Nie, raczej nie wymyśliłby tego na poczekaniu. Harvey przełknął ślinę i skrzywił się niedbale. Potem zrobił jedyną rzecz, jak mu przyszła do głowy: opisał prążkowany garnitur jeszcze raz, licząc na to, że Tool go zapamiętał.

- Mamy tu mnóstwo prążkowanych garniturów - powiedział Tool. - Musi pan opisać go dokładniej.

Nagle twarz pomocnika rozjaśniła się.

A, to garnitur Prezydenta, my go prac

Szukać go Tajna Służba

Ale my go już wydać.

*[Gra słów: Too Fu Waun brzmi podobnie do two for one - dwa za jeden (przyp. tłum.).]

Oczy Harveya rozszerzyły się, a w gardle poczuł suchość. Przez jego ciało przemknęła błyskawica. Podobnie musi czuć się jelen zaskoczony światłem reflektorów, nim poczuje uderzenie zderzaka.

Harvey wyszedł bez słowa z pralni Too Fu Wauna i w panice pobiegł ulicą do samochodu. Musiał znaleźć Jersey Joego.

Nie zdążył jednak wsiąść, bo dwóch mężczyzn zastąpiło mu drogę. Jeden z nich mignął Harveyowi znaczkami w portfelu.

- FBI. Jest pan aresztowany. Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan odtąd powie, może być wykorzystane przeciwko panu...

Jeden z mężczyzn odczytywał Harveyowi jego prawa, a drugi skubał mu z tyłu ręce kajdankami. Przy krawężniku zatrzymał się ciemny wóz i agenci wepchnęli Harveya na tylne siedzenie.

Harvey próbował ogarnąć myślą to, co się dzieje. Wyjrzał przez okno na zbiegowisko ludzi, przyglądających się z zaciekawieniem przestępcy aresztowanemu przez FBI.

Było to jak obserwacja własnego ciała z zewnątrz w stanie śmierci klinicznej, z tą różnicą, że Harvey unosił się ponad ciemnym nieoznaczonym samochodem. Nie mógł

uwierzyć, że to naprawdę się dzieje.

W sprawie Harveya sprawiedliwość zadziałała błyskawicznie. Proces odbył się natychmiast. A ponieważ oskarżenie dotyczyło szpiegostwa i bezpieczeństwa narodowego, o wszystkim wiedziała prasa i opinia publiczna.

Ze względu na obowiązki głowy państwa, przesłuchanie odbyło się za pośrednictwem specjalnego łącza telewizyjnego. Prezydent jest wszak bardzo zajęтым człowiekiem. W jego rękach spoczywa los całego narodu.

Przesłuchanie prezydenta w Camp David trwało tylko dwadzieścia pięć minut. Harvey patrzył, jak pan prezydent wyjaśnia, że nie ma wiele czasu, bo czeka go pilne spotkanie.

Harveyowi zdawało się, że wypowiadając słowo „pilne” prezydent uśmiechnął się drwiąco. Spotkanie z premierem Chin i kilkoma azjatyckimi biznesmenami miało się zacząć od partyjki golfa. Głównym punktem dyskusji były ważne kwestie dotyczące handlu zagranicznego.

Harvey wiedział, o jaki „handel” idzie. Miał wszystko oprócz dowodów.

Oskarżenie przeciwko Harveyowi było nadzwyczaj jasne. Agenci FBI zeznali, że ujęli go po wyjściu z chińskiej pralni, w której prano osławiony garnitur z czekiem w kieszeni. Zdaniem oskarżenia, Harvey próbował zatrzeć ślady, gdyż był przywódcą siatki szpiegowskiej.

Prezydent dołożył brakujący fragment układanki: wyjaśnił obecność w kieszeni spinki z prezydencką pieczęcią. Tak, przypomina sobie. To prawdziwy rarytas dla kolekcjonera. Wykonano tylko cztery egzemplarze tego wzoru. Rzecz jasna, na koszt prezydenta.

Trafiły w ręce ludzi, którzy wpłacili najwięcej na kampanię prezydencką, dzięki czemu dostąpili przywileju spędzenia nocy w sypialni Lincolna. Wiadomo, u kogo znajdują się trzy pozostałe. Brakowało tylko tej, którą dostał Harvey.

Prezydent kłamał. Harvey wiedział o tym, ale jak miał to udowodnić? Prezydent starannie zastawił pułapkę i zatarł wszystkie ślady. To właśnie dlatego zauważył Harveya na przyjęciu. Nie chodziło o hojność ani o pokrewieństwo ducha. Po prostu Harvey był tego samego wzrostu i budowy ciała. Prezydent zrozumiał, że jego garnitur - który lokaj przez głupotę zaniósł do pralni z czekiem w kieszeni, a który później trafił do szatni senatu - będzie leżał idealnie na Harveyu.

Prezydent znalazł swojego gołębia, a Harvey, podobnie jak wszyscy inni, jadł mu z ręki. Teraz przyjdzie za to zapłacić.

Czara goryczy przelała się, gdy obrona przystąpiła do działania. Harvey wezwał na

świadka Jersey Joego. To była jego jedyna szansa. W końcu Jersey jako jedyny człowiek znał prawdę: wiedział, że prezydent zrobił Harveya.

Jersey zajął miejsce, położył rękę na Biblii i przysiągł, że będzie mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

- Czy kiedykolwiek wcześniej widział pan ten garnitur? - spytał adwokat.

- Nie - odparł bez wahania Joe.

Adwokat zdębiał. Harvey też.

- Ale zna pan tego człowieka? - Adwokat wskazał oskarżonego.

Jersey zmrużył oczy, podniósł okulary i przyjrzał się Harveyowi.

- Przypomina jednego faceta, który zaprosił mnie dawno temu do swojego biura, ale pewności nie mam. - Zawahał się. - Nie, jednak nie. Chyba nie widziałem nigdy tego człowieka. Na pewno nie.

Harvey złożył głowę na rękach. Był stracony.

Dopiero kilka miesięcy później, długo po wydaniu wyroku, Harvey dowiedział się, co się stało. Jersey otrzymał nominację na komisarza izby skarbowej.

To było nieoczekiwane zakończenie starej historii o nowych szatach cesarza. Tylko że tym razem to Harveyowi przypadła rola nagiego cesarza.

Za szpiegostwo wyrok długi jak życie

Dla Harveya czas na żal wycie.

Cela zimna jak lód, więźniowie to dranie

Nie jest przyjemne to odsiadanie.

Do Jersey Joe zawiódł Prezydenta nos

Harveya zdradzono, to podstępny cios.

Miał wiele lat, by zgłębiać meandry etyki -

Wina warunków społecznych czy też genetyki?

Harvey i Prezydent - obaj tego samego wzrostu

Ten sam kolor oczu, a nawet zarostu.

Gdyby Harvey znał prawdę, nie ronilby łez

Mięczakiem nie był - twardy był zeń pies.

Prezydent i Harvey - obaj adoptowani

To nie złe towarzystwo zrobiło z nich drani.

Jeszcze jedno mieli wspólne, o czym nie wiedzieli:

Moralność, którą każdy z nich wziął

Od ojca.

A był nim Jersey Joe.

Posłowie

Trochę się wahałem, czy napisać jakiegokolwiek posłowie: bałem się, że niektórzy Czytelnicy zaczną dociekać, czy ta historia jest wyłącznie fikcją. Przyszedł mi nawet do głowy niedorzeczny pomysł, żeby przedstawić w opowiadaniu sytuację, w której FBI dysponuje informacjami o nielegalnych działaniach polityków i nie przekazuje jej Ministerstwu Sprawiedliwości. Ale pomyślałem: „Nie, nikt w to nie uwierzy”. Postać Harveya to odbicie ciemnej strony charakteru pewnego mitycznego królika, o którym kiedyś słyszałem. Zawsze się tak dzieje, kiedy twory wyobraźni przybierają nadnaturalne rozmiary. Oczywiście, że moje opowiadanie jest od początku do końca fikcją. Wszak Harveya spotyka na koniec poetycka sprawiedliwość. Kiedy ostatnio słyszeliście, żeby coś takiego zdarzyło się w rzeczywistości?

Steve Martini

JAY BRANDON

Adwokat z klatki schodowej

Opowiadanie Jaya Brandona ma niezwykley początek, poza tym, że chyba najwierniej pokazuje działanie prawa w sądach karnych, w których ponad dziewięćdziesiąt siedem procent olbrzymiej liczby spraw kończy się porozumieniem stron. Innymi słowy, znacznie więcej spraw rozstrzyga się na klatce schodowej niż w sądzie.

Wnoszę o zabicie wszystkich przysięgłych, Wysoki Sądzie.

- Ależ, pani mecenas - powiedział łagodnie sędzia Burr, pochylając się nad stołem. - To chyba nieco zbyt radykalne rozwiązanie, nie uważa pani?

Helen uspokoiła się.

- No dobrze, wnoszę o zabicie tej grubej krowy w drugim rzędzie, która opowiedziała się za wyrokiem w zawieszeniu.

- To już brzmi rozsądniej. Zgadzam się.

Podczas gdy obrońca zgłaszał sprzeciw, prokurator Helen Myers odwróciła się i z uśmiechem popłynęła w stronę ławy przysięgłych. Na widok tego uśmiechu adwokatom, którzy ją znali, przechodził dreszcz po plecach.

Przysięgli nie słyszeli wymiany zdań przy stole sędziowskim. Na ich szarych twarzach wyraźnie odbijało się zmęczenie trwających od tygodnia posiedzeń. Nie odwzajemnili uśmiechu pani prokurator.

- O ile wiem - odezwała się miękkiem głosem Helen - tylko jedna osoba spośród państwa nadal opowiada się za wyrokiem w zawieszeniu. Kto to jest?

Przysięgli wbili spojrzenia w kobietę siedzącą pośrodku drugiego rzędu, która wyglądała na nieco podenerwowaną, lecz mimo to podniosła głowę.

- Dziękuję. Fran?

Woźny zbliżył się do pani prokurator. Helen wyciągnęła mu pistolet z kabury i podniosła ciężką broń, mierząc w sufit. Przysięgli jęknęli i odruchowo cofnęli się, gdy zniżyła lufę. Kobieta w drugim rzędzie otworzyła szeroko usta, lecz Helen nie pozwoliła jej dojść do słowa.

- Ma pani prawo umrzeć - rzekła, naciskając spust. Huk wystrzału usatysfakcjonował Helen. Przysięgli wyskoczyli z ław i rozpierzchli się jak cząstki pękniętego balonu. Kobieta nadal miała ten nieprzyjemny wyraz twarzy, więc Helen wypaliła jeszcze raz. Przysięgli obserwowali to uważnie; zaczęli głośno bić brawo, kiedy pani prokurator podała broń woźnemu, który sprawdził ją fachowo i spokojnie schował do kabury.

Helen odwróciła się do sędziego.

- Mam nadzieję, Wysoki Sądzie, że teraz będziemy mogli bez przeszkód kontynuować

posiedzenie.

Helen powiedziała to głośno przez sen. Budziła się powoli, z uśmiechem. To był jej ulubiony sen. Zawsze z radością wstawała po nim z łóżka, choć szansa jego spełnienia była żadna. Helen nie chciała się żegnać z nocą, budząc się powoli i przeciągając w puszystej jamie kołdry.

Zaczęła smakować wszystkie szczegóły sennego obrazu, gdy nagle przypomniała sobie, że ma rozprawę przed południem, a szanse dotarcia do fazy wyroku są równie małe, jak szanse spełnienia ulubionego snu.

Niektórzy prawnicy doskonale sobie radzą na sali sądowej. Inni świetnie znają przepisy. Inni z kolei umieją negocjować, znajdować dobrych klientów i zbierać wynagrodzenia. Elmer Shemway zaś był najlepszym specjalistą od klatki schodowej w historii sądu okręgowego w Bexar.

Trzeba zaznaczyć, że od czasu do czasu każdy prawnik musi pracować na klatce schodowej. „Czy mógłby pan pozwolić tutaj na chwilę?” - powie adwokat do swego klienta lub do prokuratora. Paru prokuratorów o wątpliwych zasadach etycznych zapraszało w ten sposób nawet sędziów na chwilę rozmowy w zaciszu klatki schodowej. Nikt jednak nie czynił tego tak często i skutecznie jak Elmer. Z pięćdziesiątką na karku, wysoki i lekko zgarbiony od tych ściszonych rozmów, Elmer nosił okulary w czarnych oprawkach, za którymi błyszczały oczy zdradzające bystry, aktywny umysł. Najstarsi prawnicy w San Antonio mówili, że w młodości Elmer był pierwszorzędnym adwokatem, ale od dziesięciu lat nikt nie słyszał, aby doprowadził proces do końca. Wielki talent Elmera polegał na tym, że potrafił rozwiązywać sprawy bez procesu. Jak wszyscy prawnicy, Elmer bał się przysięgłych i nie ufał im. Bez względu na to, jak korzystnie przedstawia się materiał dowodowy, w czasie rozprawy zawsze może się zdarzyć coś nieprzewidzianego, a wynegocjowane porozumienie daje pewność. Co gorsza, proces to zawsze ryzyko dla portfela: czasem okazuje się stratą czasu, który lepiej można by wykorzystać, przyjmując nowych klientów lub zawierając ugody. Innymi słowy, zarabiając pieniądze.

Dlatego Elmer Shemway stał się mistrzem błyskawicznej perswazji. Znikał na klatce schodowej z oskarżonym twardo odmawiającym wszelkich rozmów o ugodzie, by po chwili wrócić z odmienionym człowiekiem, potulnym jak baranek i gotowym do negocjacji. W sprawach rozwodowych dochodzi często do sytuacji, gdy obie strony zaklinają się na wszystkie świętości, że prędzej zrezygnują z rozwodu, niż ustąpią choćby na krok. Właśnie wtedy można zobaczyć taki oto obrazek: klientka Elmera stoi na korytarzu z wyprostowaną

szyją i podniesioną brodą, dumna i nieugięta. Nagle z klatki schodowej wynurza się długie ramię i klientka znika z cichutkim piskiem, a po chwili wraca i oświadcza, że właściwie to i tak nigdy jej się nie podobała ta chińska zastawa po babci.

Kilku prokuratorom zdarzyło się udać na klatkę schodową za Elmerem, w wyniku czego zmieniali później warunki ugody na bardziej korzystne dla oskarżonego lub wręcz wycofywali zarzuty. Co Elmer miał na tych ludzi? Tego nie wiedział nikt. Ci, którzy przeżyli taką sesję w słynnym „biurze Elmera”, odmawiali rozmowy o szczegółach. Członkowie owego wstydliwego stowarzyszenia, których można by liczyć na tuziny, często wymieniali spojrzenia i krzywe uśmiešky, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali.

Tym razem Elmer stanął wobec największego wyzwania: jego klientem był niejaki John Willow, niegroźny, lecz dziwnie uparty oszust, który nieugięcie twierdził, że jest niewinny, mimo licznych rozmów zarówno w prawdziwym, jak i zaimprovizowanym biurze Elmera; w roli oskarżyciela zaś wystąpiła Helen Myers, która nie cierpiała takich gagatków i była gotowa walczyć do upadłego, z pomocą dowodów lub wbrew nim, jakby pracowała na prowizję. Rozprawa trwała już trzy dni od zacieklego boju przy doborze przysięgłych, i choć Elmer zdołał zachować przyjemny, lekko tajemniczy wyraz twarzy, zaczynał już nienawidzić wszystkich obecnych, łącznie ze swym klientem. Nie inaczej czuła się Helen Myers.

- Kiedy po raz pierwszy zauważył pan niezgodności w rachunkach, panie Garza? - spytała Helen.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - przerwał Elmer. - Jakie to ma znaczenie?

- Wykażę związek z oskarżonym, panie sędzio.

Helen stała prosto, z jedną nogą lekko wysuniętą. Jasno-kasztanowe włosy opadały jej na ramiona; niebieskie oczy zwróciła na sędziego Burra. Helen potrafiła eksponować kobiecą, delikatną stronę swej natury, lecz w jednej chwili umiała też zmrozić wzrokiem każdego, kto się jej sprzeciwił. Jej spojrzenie nie budziło jednak przerażenia sędziego Burra: sędzia lubił Helen i chyba dlatego czasem pozwalał jej na więcej niż powinien.

- Ciągłe pani to obiecuje - zauważył sędzia. - Oddalam sprzeciw.

- To było chyba w kwietniu zeszłego roku - stwierdził dyrektor firmy.

- Ilu ludzi miało dostęp do rachunków?

- Sprzeciw - powiedział Elmer, wstając szybko. - Nie ma żadnych dowodów, że ten człowiek zna wszystkich, którzy mogli dotrzeć do rachunków, każdego hakera...

- Ja też protestuję, bo obrona próbuje zeznawać - odcięła się Helen.

- Proszę inaczej sformułować pytanie - odpowiedział sędzia. Elmer usiadł,

usatysfakcjonowany. Jednym ze sposobów uniknięcia procesu jest maksymalne utrudnianie działań przeciwnika. Prawie każde pytanie oskarżycielki wywoływało natychmiastowy sprzeciw Elmera. Jeśli Helen chce go trzymać w tej przeklętej sali rozpraw, da jej się we znaki tak, że popamięta.

- Według pana wiedzy - zaczęła Helen - ile osób mogło dokonać przelewu pieniędzy z tych kont, panie Garza?

- Najwyżej cztery - odparł elegancko ubrany dyrektor.

- Czy jedną z tych osób była Jeannine Powers, doradca finansowy odpowiedzialny za...

- Sprzeciw. Oskarżenie sugeruje świadkowi odpowiedź.

- Podtrzymuję.

- A więc kto miał dostęp do kont, panie Garza?

- Przede wszystkim Jeannine, która była doradcą odpowiedzialnym za kilka kont.

- Czy wobec tego podejrzewał pan panią Powers o jakieś nadużycia?

- Nie. Uważam Jeannine za jedną z najskrupulatniejszych i najuczciwszych osób, jakie znam. Bez wahania skreśliłem ją z listy podejrzanych. Przynajmniej na początku.

- Sprzeciw. To spekulacje - rzucił od niechcienia Elmer.

- To nie są żadne spekulacje, to są moje dowody! - krzyknęła Helen, ciskając o stół ołówkiem, który odbił się i potoczył. - Pan Shemway ze wszystkich sił stara się utrudnić mi przedstawienie dowodów, a ja mam prawo...

- Zróbmy sobie krótką przerwę - zaproponował sędzia tonem nauczyciela. Helen wzięła głęboki oddech i zerknęła na przysięgłych, by ocenić reakcję na swój wybuch. Sześcioro sędziów w pierwszym rzędzie patrzyło na nią nerwowo lub ze współczuciem, lecz pulchna, zadowolona z siebie matrona pośrodku drugiego rzędu skrzywiła drwiąco usta. Helen była pewna, że nigdy nie zdoła przekonać tej kobiety, która właśnie teraz spoglądała z uśmiechem na oskarżonego.

Niech ją diabli wezmą.

Stojący przy ławie woźnego prawnicy wyglądali raczej na zmęczonych żołnierzy tej samej armii niż na przeciwników.

- Zaproponuj coś - zaczął Elmer. - Nie martw się, on i tak się nie zgodzi. Po prostu daj mi cokolwiek, o czym mógłbym z nim pogadać.

- Dwadzieścia lat.

- He-elen - skrzywił się z dezaprobatą obrońca.

- El-mer - odcięła się prokuratorka. - Doprowadźmy to do końca, dobrze?

- Słuchaj, nie wiem, co cię ugryzło, ale czy mogłabyś przerwać na chwilę bieg i spojrzeć na to z dystansu? W tej sprawie jest coś niezrozumiałego, ale jeśli wszyscy...

- Tylko mi nie mów, że twój klient jest niewinny - sarknęła Helen.

- A ty udowodnij, że jest winny. Znalazłaś dowody na księgową, nie wystarczy ci to?

- Nie, ponieważ nie zrobiła tego sama. Twój klient ją wciągnął w oszustwo. Przecież okazało się, że to on miał więcej pieniędzy na koncie, niż wpłacił.

- Helen, czy nie po to wpłaca się pieniądze do funduszu inwestycyjnego? Czy zadowoliliby cię, gdyby każdego miesiąca miał mniej?

Zapadła ponura cisza. Sekretarka sądowa Belinda, która zachowywała niezmacony spokój nawet wówczas, gdy w sali rozpraw panował kompletny chaos, spojrzała na nich i rzekła:

- Powinniście wybrać się razem na spokojne wakacje.

Helen i Elmer przewrócili oczami, po czym skierowali wzrok na oskarżonego, który siedział nieruchomo przy stoliku, tak jak podczas całej rozprawy.

- Popatrz na niego - powiedział Elmer. - Czy on wygląda na wielkiego uwodziciela?

Oskarżony John Willow - jeśli naprawdę się tak nazywał - był w średnim wieku i średniego wzrostu. Jego uroda nie rzucała się w oczy, ale miał ładny podbródek i czoło, a w jego spokojnym zachowaniu było coś ujmującego. Trzymał zawsze oczy spuszczone lub starannie unikał wzroku Helen, utrudniając jej przeniknięcie swojej osobowości.

- Jestem pewna, że ma ukryte rezerwy - odparła Helen. - Naprawdę przystojni mężczyźni nie muszą zabiegać o powodzenie. Właśnie tacy jak on potrafią oczarować kobietę.

- Naprawdę? Czy zdarzyło ci się coś takiego?

- Wypchaj się. Spójrz na tę... kobietę - Helen zagryzła wargi, wymawiając to słowo - w drugim rzędzie. Ona na pewno coś w nim widzi.

- A więc i ty to zauważyłaś? Wiesz dobrze, że u niej nic nie wskórasz, nawet jeśli przekonasz pozostałych.

- Zobaczymy.

Belinda miała szerokie biodra i mądre oczy, i często sprawiała wrażenie, że myśli o czymś ważniejszym niż temat rozmowy. Wydawało się, że w prywatnym życiu ma łatwy dostęp do seksu, narkotyków lub bezgranicznej miłości; że kryzys w sądzie nie mąci jej spokoju, bo gdzieś indziej ma prawdziwe życie. Bez wahania polecała innym swoje

lekarstwo. Po odejściu Elmera powiedziała do Helen:

- Ty chyba cienko przędziesz, dziewczyno. Kiedy ostatnio miałaś randkę?

- Randkę?

- Tak właśnie myślałam. Po prostu zapomniałaś, co to takiego.

Helen spróbowała zmienić temat.

- Co sądzisz o tym facecie? - spytała, wskazując głową oskarżonego.

- Nie myślę o nim aż tyle, co twoja ulubienica w drugim rzędzie. Albo twój koronny świadek. Ale to pewnie dlatego, że nie poznałam go tak dobrze jak ona.

Belinda nie pozwalała się łatwo zbić z tropu, Helen poszła więc zawołać wspomnianego świadka: księgową, która sama była oskarżona o sprzeniewierzenie pieniędzy inwestorów.

W trakcie popołudniowego posiedzenia sądu Helen dokładniej przyjrzała się oskarżonemu. John Willow sprawiał wrażenie substancji bezpostaciowej; chwilami wydawało się, że zmienia kształt w mgnieniu oka. Przeważnie wyglądał jak uosobienie poczciwego urzędnika lub aptekarza z filmu, lecz od czasu do czasu w ruchu jego głowy lub ręki dało się zauważyć twarde zdecydowanie.

Jeszcze dokładniej przyglądała mu się kobieta w drugim rzędzie ławy przysięgłych, najwyraźniej zauroczona oskarżonym, ta, którą Helen mordowała we śnie. Helen zaczęła się bacznie przypatrywać także jej; w głowie pani prokurator zakiełkował pewien pomysł. Czy John Willow jest wielkim uwodzicielem? - spytał adwokat. Oto odpowiedź. Zachowanie przysięgłej może być dowodem świadczącym o sile uroku oskarżonego. Gdyby tylko inni to zauważyli... Jak zwrócić na to uwagę pozostałych przysięgłych?

Helen wyobraziła sobie zaaranżowane spotkanie oskarżonego z przysięgłą. Rzecz jasna, pod ścisłą obserwacją. Może udałoby się go oskarżyć o próbę wpływania na przysięgłych? Tylko gdzie mogliby się spotkać?

Podczas przerwy Helen obserwowała, dokąd udają się przysięgli. Niektórzy trzymali się razem, dwoje czy troje wyszło na balkon zapalić, kilkoro pospieszyło do baru w podziemiu. Helen nigdzie nie widziała kobiety z drugiego rzędu.

Oskarżony naradzał się z obrońcą na korytarzu. Helen zjechała windą do podziemia, przez co minęła się ze swoim najważniejszym świadkiem, Jeannine Powers, która wchodziła na górę schodami. Właśnie tam przeciął jej drogę Elmer Shemway.

Po przerwie w zachowaniu obrońcy dała się zauważyć niezwykła swoboda, niewidziana u niego na sali rozpraw od lat. Elmer nawet nie zadawał sobie trudu przerywania

Helen protestami. Gdyby miała do czynienia z innym adwokatem, Helen zaczęłaby podejrzewać, że przeciwnik zauważył jakiś błąd proceduralny. Z Elmerem było inaczej: rozstrzygnięcie w sądzie będzie ostateczne. Ani Helen, ani Elmer nie mieli zamiaru korzystać z apelacji. Sprzeciwy Elmera nie miały na celu wymuszenie błędu: chodziło mu o zniechęcenie przeciwniczki. A teraz najwyraźniej z tego zrezygnował.

Czyżby zauważył słabość jej dowodów? Co zepsuła? A może... Helen zerknęła szybko na wstrętą przysięgłą, która niewinnie spuściła wzrok. W czasie przerwy nie było jej także w barze. Kiedy Helen wracała po przerwie na salę, zobaczyła, że oskarżony wychodzi z klatki schodowej.

Wielkie nieba, czyżby przegapiła ich spotkanie?

Sędzia Burr znany był z tego, że punktualnie o piątej ogłaszał przerwę w rozprawie. Helen natychmiast zjawiała się przy stoliku obrony.

- Mam zamiar odebrać ci licencję.

- Helen, myślałem, że masz swoją.

- Będziesz się śmiał, jak zaczniesz szukać innej pracy w twoim wieku! - Helen kipiała gniewem. obrońca widział, że nie żartuje, ale milczał. Helen musiała to powiedzieć sama. - Skojarzyłeś ze sobą tych dwoje, uknuleś...

- Kogo skojarzyłem?

Helen opanowała się.

- Twojego klienta i przysięgłą. Teraz jesteś już pewny swego, tak? On z nią rozmawiał. Widziałam, jak wychodził z klatki schodowej...

Elmer odwrócił się do klienta.

- John?

Oskarżony rozłożył ręce z beczelnie niewinnym wyrazem twarzy. Nawet kiedy patrzył na Helen, jego oczy pozostały jakby zakryte.

- Ale przecież zabronił mi pan rozmawiać z przysięgłymi. Przysięgam, że z nikim nie rozmawiałem. Nawet nie wiem, o kim ta pani mówi.

Helen wysunęła rękę, prawie dotykając palcem jego nosa.

- Przysięgnij przed protokolantką. Oskarżę cię o wtedy o krzywoprzysięstwo!

- Helen... - Elmer ujął ją za ramię i delikatnie odprowadził na bok. - To czysta fantazja - powiedział cicho.

- Czyżby? - Helen stanęła naprzeciw niego. Błysk zrozumienia w oczach Elmera Shemwaya wydał jej się podejrzany. Uwolniła ramię. - Więc dlaczego zachowywałeś się tak

spokojnie w ciągu ostatnich kilku godzin? Czemu siedziałeś, jakbyś miał już sprawę w kieszeni?

Obrońca zawahał się, ale po chwili odpowiedział.

- Ponieważ masz gorszy problem niż to, że jedna z przysięgłych spogląda na mojego klienta maślanymi oczami. Straciłaś swój największy atut, moja droga. Może porozmawiasz ze swoim głównym świadkiem, tą panią, którą zachowałeś na sam koniec?

Helen poczuła zimny dreszcz, który przeszedł jej po plecach i ogarnął ramiona.

- Masz na myśli jego kochankę? - Podbródkiem wskazała oskarżonego.

Elmer potwierdził skinieniem głowy.

- Drugą oskarżoną. Tylko ty jedna uważasz, że coś między nimi było.

Ponad ramieniem Elmera Helen zobaczyła Jeaninne Powers, wchodzącą do sali rozpraw. Kobieta miała nieco ponad trzydzieści lat, tyle samo co Helen, i emanowała od niej ta sama aura profesjonalizmu, nieco tylko przyćmiona z powodu stanu oskarżenia. Miała na sobie kostium i okulary, a na jej twarzy malował się wyraz zdecydowania, który wcale się Helen nie podobał.

Elmer postanowił okazać wspaniałomyślność.

- Możecie skorzystać z mojego biura.

Helen wolała jednak załatwić sprawę w pustej sali sądowej.

- Będzie pani zeznawać jutro z samego rana. Pamięta pani, co ustaliłyśmy?

- Tak, pani Myers. Ale niestety moje zeznanie będzie inne. Bardzo mi przykro.

Helen poczuła jakby pustkę w środku, ale zamaskowała to surowym tonem:

- A to dlaczego?

Usta pani Powers skrzywiły się lekko.

- Bo to nieprawda. John nigdy nie namawiał mnie do przelewania pieniędzy z jednego konta na drugie. Wszystko robiłam z własnej woli.

- A nadwyżka tylko przez przypadek znalazła się na jego rachunku.

Pani Myers odpowiedziała z namysłem:

- Ktokolwiek to był, zrobił to dlatego, że John nie sprawiał wrażenia człowieka, który akceptuje oszustwa w rachunkach. On nie chciał nikogo zawiadamiać, po prostu... wolał trochę poczekać.

- A może to miał być dla niego prezent? Zalecała się pani do niego?

Powers spuściła wilgotne oczy i nie odpowiedziała.

Helen zacisnęła pięści, a twarz jej lekko poczerwieniała. Nadal miała jednak swoją najsilniejszą broń.

- Wie pani, co oznacza wycofanie się z naszej umowy. Wyrok w zawieszeniu miała pani dostać pod warunkiem, że zezna prawdę w tym procesie. Może pani o tym zapomnieć. Jeśli on jest niewinny, to pani jest winna jak wszyscy diabli. Zrujnuję panią. Jestem pewna, że w więzieniu pani się nie spodoba.

Helen wyciągnęła najcięższe armaty, mimo to pani Powers się nie załamała. Co gorsza, podniosła wzrok i spojrzała na prokuratorkę z satysfakcją.

- Nie sądzę, żeby do tego doszło. W naszej umowie był warunek o zwrocie pieniędzy. Sędzia może mi nakazać zwrot tych pieniędzy tylko wówczas, gdy dostanę wyrok w zawieszeniu. Jeśli pośle mnie pani do więzienia, nikt ich nie dostanie i wszyscy będą bardzo niezadowoleni. Pani też.

Helen zamarła na chwilę z otwartymi ustami. Jeaninne Powers uśmiechnęła się leciutko. Wahanie prokuratorki znaczyło, że to, co przed chwilą powiedziała, jest prawdą.

Milczenie Helen nie trwało długo.

- A więc konsultowała się pani z prawnikiem.

Akurat w tym momencie drzwi się uchyliły i ukazała się w nich głowa Elmera Shemwaya.

- Czy panie skończyły? - spytał wesoło.

Twarz Jeaninne Powers złagodniała.

- Bardzo przepraszam, pani Myers. Za wszystko. Nabroiliam, ale mogę wszystko naprawić. Nie chcę wciągnąć za sobą Johna.

- To pani spotkała się z nim na klatce schodowej, nie przysięgła - zawołała Helen w olśnieniu.

Pani Powers zarumieniła się. Odwróciła głowę, mamrocząc kolejne przeprosiny. obrońca zdążył tymczasem wrócić na miejsce. Wzruszył przepaszająco ramionami, ale nie potrafił ukryć zadowolenia.

- No to co, kończymy? Czy muszę tu przychodzić jutro jeszcze raz, czy może okażesz wspaniałomyślność i od razu napiszesz wniosek o umorzenie sprawy?

- To ty doprowadziłeś do ich spotkania - warknęła Helen, gotując się ze złości. Na dźwięk słów „umorzenie sprawy” jej ręce zadrżały.

Elmer nie musiał zaprzeczać.

- Prawo nie zabrania im ze sobą rozmawiać. Znają się przecież.

- Są po przeciwnych stronach w toczącym się procesie. Ona...

- Już nie - przerwał Elmer. Po chwili łagodniejszym głosem dodał: - Nadal nie chcesz tego zrozumieć. Miałś słabe dowody od samego początku. Wszystko opierało się na

zeznaniu osoby, która przyznała się do przestępstwa. Przysięgli prawdopodobnie i tak by jej nie uwierzyli. Nie rozumiem, dlaczego ty uwierzyłaś.

Helen uwierzyła, ponieważ zrozumiała to, czego Elmer nie mógł wiedzieć: że kobieta taka jak Jeaninne Powers łatwo może ulec czarowi oszusta; kobieta wykształcona, o silnej osobowości, lecz skazana na długie noce wypełnione pustką samotności. Helen przejrzała Johna Willowa. Od pierwszej chwili w jego łagodnej twarzy wyczytała nieodparty czar uwodziciela.

Budynek sądu powoli pustoszał. Sędziowie, urzędnicy i prawnicy sunęli w dół schodami i windami; tylko Helen parla pod prąd do swojego biura na górze. Nadal czuła bolesną pustkę; miała ochotę usiąść i w geście rezygnacji złożyć głowę na dłoniach. Zwalczyła to pragnienie. Sprawa jeszcze się nie skończyła. Nie pozwoli na to.

Helen zebrała wiadomości dla siebie z biurka sekretarki i przeniosła do swego maleńkiego biura, którego jedyną dekorację stanowiły pudła z teczkami i stosy papierów. Najjaśniejszym punktem na przylepnej tablicy była pocztówka z Karaibów, którą przysłali rodzice dwa lata temu.

Helen opadła na krzesło. Dowody. Potrzebuje więcej dowodów. Może rano uda się przekonać Jeanine Powers, ale jeśli nie, to musi znaleźć coś zamiast jej zeznania. Dowody Helen były nader wątpliwe: mogła wykazać, że skradzione pieniądze znajdowały się na koncie inwestycyjnym Johna Willowa. Potrzebowała czegoś, co poświadczyłoby, że maczał ręce w tym procederze; śladów jego działania albo choćby wiedzy o dokonanym przestępstwie. Helen zdążyła już jednak przesłuchać wszystkich pracowników funduszu i wszystkich poszkodowanych (i żaden z nich nie mógł stwierdzić, że w sprawie skradzionych pieniędzy znajdują się dowody przeciw Johnowi Willowowi).

Helen bezwiednie przeglądała pocztę. Urzędowe listy i zawiadomienia, żadnej osobistej korespondencji. Odłożyła kopertę ze znaczkiem z Seattle, bo nie miała tam żadnych znajomych. Po chwili zauważyła jednak, że wiadomość pochodzi od prokuratora okręgowego w Seattle.

W komputerowej bazie danych nie znaleziono żadnej wzmianki o karalności Johna Willowa. To wszakże nie zadowoliło Helen, która rozesłała jego zdjęcia i odciski palców do większych miast w całym kraju, zwłaszcza takich z rozwiniętym przemysłem komputerowym, gdyż oskarżony był z zawodu informatykiem.

Drżącymi palcami Helen otworzyła kopertę z Seattle. Dokumenty wysypały się jej na kolana. Podniosła zdjęcie przedstawiające mężczyznę zasłaniającego twarz przed latarkami policjantów. Serce Helen zabiło mocniej. Podniosła odbitkę i złożyła na niej głośny

pocałunek.

W domu naląła sobie z radości kieliszek wina. Zauważyła, że na dworze jest już całkiem ciemno, więc zamiast zająć się przygotowaniem kolacji, naląła sobie jeszcze jeden kieliszek i włączyła płytę. Aksamitny głos piosenkarki, głos kobiety zakochanej, otulił Helen. Pustka w żołądku zmieniała się w ciepło. A może to tylko wino tak podziało. Helen poczuła lekki dreszcz chłodu na skórze, więc objęła się ramionami.

Oparła zdjęcie o świecę na stoliku. Przyjrzała mu się jeszcze raz, wzniosła w jego stronę toast i uśmiechnęła się szeroko. Pogłodziła się po bokach. Po raz pierwszy od miesiący zapragnęła papierosa, ale nie uległa pokusie. Zasnęła w wygodnym fotelu, powoli odpływając w sen o wspaniałym poranku w sądzie.

- O - powiedział Elmer Shemway do klienta na widok uśmiechniętej Helen.

Pół godziny wcześniej, gdy sala była jeszcze pusta, uśmiech pani prokurator dostrzegła także Belinda.

- Dziewczyno, wczoraj ledwo się stąd wywlokłaś, a dzisiaj przyfrunęłaś jak na skrzydłach. Co się stało?

- Spędziłam przyjemną noc - odparła Helen, oblewając się rumieńcem.

- Poznałaś kogoś? - spytała rozpromieniona Belinda.

- Nie. Zdobyłam nowe dowody.

Belinda prychnęła.

- Chcesz mi powiedzieć, że dlatego się zaczerwieniłaś? To niemożliwe, chyba że jesteś zupełnie pokręcona.

- Później wieczór też był całkiem miły.

Belinda ściszyła głos.

- Naprawdę? Coś... zmysłowego?

Helen roześmiała się nerwowo jak uczennica.

- Nic szczególnego, właściwie to sama...

Belinda uśmiechnęła się z dumą.

- Jak na ciebie, to i tak duży krok do przodu. Powiedz, myślałaś... o nim?

- O kim?

Belinda roześmiała się, jak gdyby Helen skrywała coś za swoją nieśmiałością.

- Dzień dobry, Helen. Czyżby pani Powers znów zmieniła zdanie? Mam sposoby, żeby ją przekonać...

Helen spojrzała na adwokata z uśmiechem.

- Nie o to chodzi, Elmer. Przygotuj się na szok. Czy twój klient powiedział ci, że ma wyrok w zawieszeniu?

Elmer jęknął, jak gdyby dostał kuksańca w bok. Helen przyjęła ten dźwięk z satysfakcją. Oboje odwrócili się, by spojrzeć na stojącego w drzwiach Johna Willowa. Wyrz niewinności nawet teraz nie zniknął z jego twarzy - prawdopodobnie nie zniknął nigdy.

- Za kradzież - ciągnęła Helen. - Okradł firmę, w której pracował w Seattle.

John Willow tymczasem przyglądał się jej badawczo. Nagle w jego wzroku pojawił się wyrzut. Chyba domyślił się, o czym mówią prawnicy.

Elmer myślał szybko.

- Wyrok w zawieszeniu to nie to samo, co więzienie. Nie możesz tego wykorzystać. A jeśli nie wezwę go na świadka...

- To nie ma znaczenia, Elmer. W Seattle twój klient dopuścił się kradzieży i mam na to dowód. Wystarczy, że pokażę sposób jego postępowania, motyw, jakimi się kieruje...

Elmer westchnął.

- Porozmawiajmy z nim.

Helen nie miała nic przeciwko temu. Triumfalnie ruszyła w stronę oskarżonego. Bez wahania podążyła za mężczyznami do „biura” Elmera na schodach. Kiedy zostali sami, Willow złożył silne dłonie i palcami przesunął po wargach.

- John, dlaczego mi nie powiedziałeś?

Oskarżony odpowiedział głosem człowieka skruszonego. Można było tylko podziwiać jego mistrzostwo.

- Zdawało mi się, że mam to już za sobą. To był straszny błąd. Przyznałem się do winy, żeby kogoś ochronić.

- Pewnie kobietę - sarknęła Helen. - Słynie pan z rycerskości.

- Więc jak, Helen? - przerwał Elmer. - Proponujesz ugodę? Jestem pewien, że teraz John okaże większą gotowość na przyjęcie twoich warunków.

Helen nadal czuła ostry dreszcz triumfu, który ogrzewał ją jak wino wczoraj wieczorem.

- Nic nie rozumiesz. Zamierzam wsadzić go do więzienia, a potem wysłać wniosek do Seattle o rewizję wyroku w zawieszeniu. Będzie miał okazję porównać warunki odbywania kary w Teksasie i w Waszyngtonie.

- Wątpię, czy uda ci się dokonać choćby jednej z tych rzeczy. Nadal nie masz dowodu, że dokonał przestępstwa tutaj, a jeśli tak, to nie możesz doprowadzić do rewizji w Seattle.

Bądźmy rozsądni. Wyrok w zawieszeniu...

Helen przyglądała się uważnie oskarżonemu. To prawda, że nie miała wystarczających dowodów. Nawet jeśli sędzia pozwoli przedstawić jako dowód orzeczenie sądu w Seattle, to i tak może być za mało, aby przekonać ławę przysięgłych. Zwłaszcza tę sukę w drugim rzędzie.

Elmer widział, że jego argumenty trafiły Helen do przekonania. Wąska klatka schodowa w jakiś szczególny sposób oddziałuje na ludzi stojących blisko siebie. Elmer wykorzystywał ten efekt od wielu lat, ale dopiero teraz doświadczył go na sobie. Patrzył na strapioną twarz swojego klienta; kątem oka widział, jak Willow przebiera palcami.

Elmer odwrócił się do Helen, której wyraz twarzy nie wróżył nic dobrego.

- O co chodzi, Helen? - spytał cicho. - Czemu wydaje ci się, że znasz go lepiej niż wszyscy inni?

Helen nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę rozważała, jakie motywy nią kierują. Jeszcze raz uważnie przyjrzała się oskarżonemu. Co sprawia, że ma takie niewzruszone przekonanie o jego winie? Zauważyła, że jest niewysoki, ale proporcjonalnie zbudowany. Garnitur maskował ramiona mężczyzny, lecz Helen wiedziała, że są szerokie.

- John? - Łagodny głos Elmera dobiegał jakby z oddali. Był to głos rozsądku. - Czy chcesz coś powiedzieć pani Myers?

Willow poczuł na sobie spojrzenie prokuratora. Skierował na nią wzrok, zaczynając od stóp. Helen poczuła to na sobie. Nieznacznie się wyprostowała. Po raz pierwszy patrzyła prosto w jego oczy.

Elmer Shemway wrócił z klatki schodowej sam. Sędzia zajął miejsce, przysięgli także; tylko dwa miejsca przy stolikach prawników pozostały puste.

- Rozmawialiśmy na klatce schodowej, Wysoki Sądzie, gdy nagle pan Willow i pani Myers wyszli - powiedział Elmer.

- Razem? - spytał zdziwiony sędzia. - Dokąd?

- Nie powiedzieli mi, ale... coś dziwnego wisiało w powietrzu. Wydaje mi się, że uciekli.

- Panie Shemway, jestem emerytowanym sędzią pracującym na pół etatu, ale nadal mam prawo karać za obrazę sądu. Jeśli nie wyjaśni pan wszystkim...

Elmer starał się, ale nikogo nie przekonał. Sędzia ogłosił przerwę i wysłał woźnych, żeby przeszukali korytarze i klatki schodowe. Potem zadzwonił do biura prokuratora okręgowego; prawnicy i sekretarki zaczęli szukać wszędzie i telefonować, lecz wszystko na

próżno. Przed południem sędzia zarządził poszukiwania w całym mieście i wydał nakaz aresztowania oskarżonego, ale to też nie pomogło. Prokuratorka i Willow zniknęli.

Ale nie zapomniano o nich. Sędzia odroczył rozprawę, lecz poszukiwania trwały nadal. Elmer Shemway został na krótko aresztowany, gdyż ktoś wysunął teorię, że - rozwścieczony niechęcią prokuratorki i klienta do negocjacji - zabił oboje. Policja dokładnie obejrzała klatkę schodową w poszukiwaniu śladów krwi. Przebadano garnitur Elmera, podczas gdy on sam czekał, piniąc się ze złości, w płaszczu przeciwdeszczowym. Wreszcie uwolniono go z braku dowodów.

Shemway niejako wchłonął w siebie Helen i Johna, połączył ich sprzeczne charaktery. Było to triumfalne uwieńczenie wszystkich jego dokonań na klatce schodowej.

Prokuratorkę skierowano do wydziału dla nieletnich w innym mieście, lecz wszyscy nadal zerkali podejrzliwie na Elmera Shemwaya radośnie kroczącego po salach sądowych. Przez wiele tygodni żaden prawnik nie chciał się z nim udać na klatkę schodową.

Plaża Isla de las Mujeres. Helen dowiedziała się od ludzi, że tam właśnie jest. Nie miała powodu, by im nie wierzyć. Wąska plaża, ale z białym piaskiem, prawie pusta. W blasku słońca wchodziła powoli do morza, czując, jak woda sięga coraz wyżej. Zanurzyła się w czystym błękitcie, niemal roztapiając się w nim, zatracając kształt własnego ciała. Kiedy znów stanęła na nogach, na jej skórze perliły się kropelki wody, od razu pożerane chciwie przez słońce. Jasnoniebieskie bikini coraz wyraźniej odcinało się od złotobrazowej skóry.

Helen opadła na leżak i westchnęła. Czuła się jak bohaterka filmu, która uciekła z sali rozpraw na cudowną plażę gdzieś na końcu świata.

Ale to nie działo się naprawdę. Helen nadal była w sądzie.

Odwróciła się i spojrzała na Johna Willowa. Nie myliła się w ocenie jego sylwetki: nie był wysoki, niewiele wyższy od Helen, ale dobrze zbudowany. Jasne kędziory włosów na klatce piersiowej, piegi na ramionach. Widziała jego oczy, szmaragdowe jak fale Morza Karaibskiego.

Miała go teraz w ręku. Próba ucieczki to dowód winy, a nikt nie mógł zaprzeczyć, że John Willow próbował uciec przed wymiarem sprawiedliwości. Helen nie mogła już występować w roli prokuratora, lecz będzie głównym świadkiem oskarżenia po wznowieniu rozprawy - nieważne, kiedy to nastąpi. Będzie mogła świadczyć o jego ucieczce.

Będzie też mogła świadczyć o jego uwodzicielskiej mocy. Taki przynajmniej miała zamiar. Wiedziała o jej istnieniu wtedy, na klatce schodowej w San Antonio, ale on nie chciał

się zdradzić. Nawet nie dotknął Helen. Szukała na jego twarzy znaków tego czaru, który z pewnością wykorzystywał w kontaktach ze współniczkami w przestępstwie. Helen miała nadzieję, że niebawem będzie mogła powiedzieć o tym więcej - jeśli tylko John przestanie się tak dobrze kontrolować.

Położyła się wygodnie, opuszczając okulary słoneczne na oczy. Odpędziła myśli. Zbyt wiele czasu straciła na myśleniu. Teraz nie ma nic, tylko ona i słońce.

Tak powoli, jakby to działo się w wyobraźni, Helen uświadomiła sobie dotknięcie ciepłej dłoni na nodze. Na sali zwróciła uwagę na oczy Johna i jego ręce: z długimi palcami o łagodnie zaokrąglonych opuszkach. Teraz te palce gładziły jej udo, powoli wędrując w górę.

Spod przymkniętych powiek widziała przybliżającą się twarz Johna. Jej wargi rozchyliły się w uśmiechu.

- Mmm... - mruknęła. - Tak, dobrze.

Więcej takich dowodów.

Posłowie

Opowiadanie to dedykuję urzędnikom sądowym okręgu Bexar... z których większość zna procedury prawne lepiej niż prawnicy przewijający się codziennie przez sale rozpraw.

Kiedy byłem studentem prawa, mój przyjaciel Robert Morrow - wówczas już prawnik z dyplomem - wskazał mi człowieka, słynącego ponoć jako doskonały prawnik korytarzowy. Od tamtej chwili nie opuszczało mnie pragnienie napisania utworu pokazującego różnorodność prawniczych umiejętności, z których niewielka tylko część ma bezpośredni związek z salą sądową.

Prawnicy z kart książek zawsze wydają się dążyć do procesu, do sali sądowej, by tam zabłysnąć. Wszyscy prawnicy z krwi i kości - w przeciwieństwie do fikcyjnych - wiedzą zaś dobrze, że ogromna większość z nich nigdy nie przekracza progu sali sądowej - nawet tak zwani „prawnicy sądowi” starają się unikać rozwiązania sprawy w sali rozpraw, albowiem jest ono najmniej korzystne. Pragnąłem więc napisać historię o świetnym prawniku, który nie cierpi procesów - wiercie mi, że w rzeczywistości postaci takie spotyka się nader często.

Chciałbym też wspomnieć (niektórzy spośród Czytelników z pewnością zauważą to sami), że akcja opowiadania toczy się w liczącym sobie sto lat budynku sądu Bexar County, a nie w znajdującym się nieopodal, znacznie nowszym sądzie Justice Center. Ten ostatni jest bowiem przestronny i estetyczny, lecz jego korytarze i klatki schodowe ani rusz nie nadają się na sale konferencyjne.

Tytuł mojego opowiadania, rzecz jasna, wybrałem na cześć naszego czcigodnego wydawcy. Nie jedyny to zresztą dowód szacunku dla niego, jaki można spotkać w tym utworze. Dziękuję za spełnienie obywatelskiego obowiązku, panie i panowie. Obserwowałem państwa i mogę stwierdzić, że śledziliście przedstawione dowody z należytą uwagą...

Jay Brandon

RICHARD NORTH PATTERSON

Klient

Pierwsza przygoda młodego człowieka w „prawdziwym” świecie to ulubiony temat wielu pisarzy. Richard North Patterson przedstawia jednak historię widzianą oczami młodego Charlesa Morrisa z taką uczciwością i zaangażowaniem, że mamy wrażenie obcowania z pomysłem literackim równie świeżym, co uniwersalnym. Opis nauk pobieranych przez Charlesa u doświadczonego prawnika Johna Goldmana to próbka literatury, którą Czytelnicy nieprędko zapomną.

Sam Goldman spodobał mi się od samego początku.

- A więc, panie Morris, proszę opowiadać - rzekł, wyciągając rękę.

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Którą wersję, dłuższą czy skróconą?

Oczy Goldmana błysnęły.

- Skróconą, rzecz jasna. Jeśli mnie zainteresuje, wtedy poproszę o pełną wersję.

- No dobrze. Szukam pracy.

Godzinę później miałem pracę.

Mniej więcej po upływie miesiąca Goldman zapytał, co o tym wszystkim sądzę.

- W końcu nie mogę się równać z tymi ociekającymi forszą firmami, które cię kusily.

Podsumowałem w myślach pierwsze wrażenia. Biuro mieściło się na szóstym piętrze starego budynku, gdzie kiedyś był bank. Na drewnianych drzwiach znajdowała się wizytówka z matowego szkła pokrytego siatką drobnych pięciokątów z napisem: „Sam Goldman, adwokat”. Przywitała mnie recepcjonistka, w wieku mniej więcej sześćdziesięciu lat, o wyglądzie dobrej cioci.

- Zapewne pan Morris - powiedziała z uśmiechem i zadzwoniła do Goldmana, by zawiadomić go o moim przybyciu. Z tonu jej głosu można było sądzić, że szef oczekuje mnie z radością. Na ścianach niewielkiego, lecz słonecznego biura wisiało kilka kolorowych obrazów, a w rogach ustawiono kwiaty w zielonych doniczkach. Usiadłem na krytym skórą krześle, obok którego stała ozdobna złota popielniczka z pęknięciami świadczącymi o wieku. Na mahoniowym stole nie zauważyłem „Wall Street Journal”. Zamiast tego leżały tam dwa stare numery „Natural History” i jeden egzemplarz „Variety”.

- Wydaje mi się - odparłem - że spośród wszystkich recepcjonistek w tym mieście pańska jest jedyną, w której głosie nie słyszy się echa grobowych tajemnic. Na ścianach nie dostrzegłem portretów zmarłych współników. Poza tym klientom w tak niewielkim biurze można się przyjrzeć z bliska.

Goldman uśmiechnął się. Pomyślałem, że przypomina mi Jacka Benny'ego, bohatera starego serialu telewizyjnego, którego zobaczyłem po raz pierwszy dawno temu, gdy moi rodzice kupili pierwszy telewizor. Pamiętam jego rozmowy z czarnoskórym mężczyzną o chropawym głosie, który zawsze potrafił przechytrzyć Benny'ego. On jest stary, pomyślałem. Goldman miał na twarzy ten sam, co Benny, wyraz dobrotliwego poczucia humoru, siedemdziesiąt lat, grzywkę siwych włosów i plamy wątrobowe na dłoniach; w jego gestach dało się zauważyć charakterystyczne dla starych ludzi momenty zawahania, jak gdyby pamięć pewnych ruchów czasem zawodziła. Był niski i tęgi w biodrach, a jego głos dudnił szorstko, przywołując na myśl zapach tytoniu i starego bourbona. Uścisk Goldmana zachował jednak siłę, a sposób mówienia był żywy i barwny.

- Powiem ci, dlaczego banki wynajmują tylko wielkie firmy - rzekł z powagą mędrca wyjawiającego wielką prawdę. - To zasada bratanka-idioty. Wszystko zaczyna się kilka pokoleń wstecz, gdy bratanek założyciela firmy prawniczej żeni się z córką bankiera. Potem następuje siedemdziesiąt pięć lat niezapłaconych kredytów i kilka kolejnych dynastycznych małżeństw. Na szczęście bratankowie-idioci mojego dziadka nie przyjechali do Ameryki, więc nie mogłem skorzystać z dobrodziejstwa ich pomocy.

Odpowiedziałem uśmiechem. Teraz miałem pewność, że wybrałem dobrze po siedmiu latach spędzonych na północnym wschodzie, w college'u i na uczelni, gdzie chciałem nawet zostać. Ale przeprowadzka do Mobile oznaczała nową szansę, nowe możliwości, a ja nie mogłem odrzucić swojej młodości jak amputowanej kończyny. Smakowałem teraz atmosferę domu i brak szalonego pędu nieoczekiwanych zdarzeń; cieszyłem się zielenią mchu i senną powolnością upływu czasu. Goldman zaś był uczciwym adwokatem, jakim i ja chciałem być; nie zdierał z biedniejszych klientów, brał od nich tylko tyle, żeby - jak powiadał - „nie poszli gdzie indziej”. Dowiedziałem się, że po śmierci żony poczuł się samotny; potem jego syn przeprowadził się do Waszyngtonu, a wspólnik Kraus odszedł na emeryturę i zamieszkał w Key West, by „poświęcić się już tylko starości”. Goldman nadal z dumą zajmował się klientami: ochraniał ich, doradzał, pomagał. Miał więc co robić, a ja byłem mu potrzebny.

Z początku całkowicie na nim polegałem. Siedziałem przy jego kasztanowym biurku, wciągając w nozdrza delikatną woń skóry i dobrych cygar, podczas gdy on zerkał na mnie znad okularów, notując coś ołówkiem, szybkimi ruchami pociętej niebieskimi żyłkami dłoni. Od czasu do czasu cierpliwie dawał mi nauki, kończąc zawsze jakąś celną pointą. Dla Goldmana prawo nie składało się z paragrafów i precedensów, lecz z wektorów życia - antropologii i socjologii; no i ludzi, przede wszystkim ludzi. Niektórzy z nich byli już starzy.

- Przez większość czasu moje biuro wygląda jak poczekalnia pana Boga - mawiał Goldman. - Czuję się jak jakiś cholerny grabarz. To diabelnie trudne patrzeć, jak twoi przyjaciele umierają albo przygotowują się do tego.

Poznałem więc testamenty przyjaciół Goldmana, a przy okazji nauczyłem się kochać prawo - jego dziwactwa, zawilosci i potęgę, jego związki z ludźmi, które ewoluowały i zmieniały się w czasie niczym sękaty drzewa. Goldman nagradzał mnie pochwałami. Wreszcie zacząłem się zajmować Bensonem.

Case Benson był najważniejszym, najcenniejszym klientem starego adwokata, i nawet po upływie czterdziestu lat Goldman traktował w specjalny sposób firmy Bensonów. Przez ten czas stworzył dla nich siatkę osłon podatkowych, którą pielęgnował jak egzotyczną roślinę. Benson miał teraz ponad siedemdziesiąt lat i stalowoszare oczy południowca o ostrym spojrzeniu, otaczające się zmarszczkami, gdy się uśmiechał; te oczy ciągle zdawały się wchłaniać szerokie łany zbóż lub wypatrywać rogów jelenia, jak gdyby farmerska przeszłość odcisnęła się na kodzie genetycznym rodu. Przychodził zwykle rano, około dziesiątej. „Dzień dobry, Sam”, mówił i siadał po lewej stronie biurka Goldmana, rozprostowując nogi. Po pewnym czasie rozlegał się trzask zapałki i otaczała ich mgiełka cygara Bensaona. Rozumieli się w pół słowa, nie używając wielu zdań, jak ludzie, którzy spotykają się nie tylko dla zabicia czasu, ale także w interesach.

Odwiedziny u Goldmana miały w sobie coś z rytuału, jak gdyby stanowili wzajemnie dla siebie filary, na których opierają się ich światy i spotykali się po to, by sprawdzić, jak trzyma się drugi. Spotkania te cechowało jakieś ciepło. Z początku nie mogłem go odczuwać, ale powoli, stopniowo objęło ono i mnie. Opowiadali mi historie z dawnych lat, objaśniali, tłumaczyli; czułem, że moja obecność jest dla nich naprawdę ważna. Zacząłem oczekiwać tych spotkań z niecierpliwością, smakować je. Nigdy się nie wtrącałem, nie opowiadałem zdarzeń ze swojego życia. Uczyłem się; słuchając o początkach kariery Bensaona, o jego polityce, i - co najważniejsze - o jego interesach. Stopniowo opieka prawna nad firmami Bensaona - a więc podatki, umowy, fuzje - przechodziła w moje ręce. Goldman sprawdzał wszystko do ostatniej kropki.

Pewnego dnia późnym popołudniem zapytałem, dlaczego to robi. Goldman jakby zapatrzył się na coś w oddali.

- Chyba dlatego - rzekł wreszcie - że tak trudno zrezygnować. To jak przyznanie się, że nie jesteś już niezbędny, a więc możesz umrzeć.

Machnął ręką, zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć.

- Wiem, to głupie. Robisz dobrą robotę. Ale Case Benson to mój najstarszy klient.

Przyszedł do mnie, kiedy byłem bardzo młody, bardzo potrzebujący pracy... i bez pieniędzy. Benson miał trochę kapitału, ale potrzebował kredytów. Pomogłem mu zdobyć kilka w czasach Wielkiego Kryzysu, kiedy pojęcie „wzrost obrotów” znikło ze słowników. Benson nie miał zbyt wielu zabezpieczeń. Wkupił się w wytwórnię celulozy i w coś tam jeszcze, a ja rosłem razem z nim. Mogłem zostać jego wspólnikiem, ale to głupio wchodzić w spółkę z klientem: traci się wolność. Nigdy nie chciałem, żeby Case Benson zrobił ze mnie rekina finansowego. - Najważniejsze jest to, że Benson był moim pierwszym poważnym klientem spośród gojów. Tradycja odgrywa w tych stronach ważną rolę, ludzie zmieniają się powoli. Ale żydowski prawnik może znaleźć klientów wśród gojów, jeśli znajdzie się we właściwym miejscu. Niektórzy z nich chwalą się, że mają żydowskiego prawnika. - Goldman uśmiechnął się. - Uważają, że to dobrze brzmi, jak podróż do Europy. Tak czy owak, Case Benson pomógł mi znaleźć nowych klientów. Przetarł szlaki, ułatwił mi pracę. Case to porządny człowiek, chociaż jego synowie są niewarcsi złamanego centa.

Goldman przerwał raptownie i zerknął na zegarek.

- Jest już wpół do szóstej, Charles. Napijesz się czegoś?

Kiedy nie mieliśmy już nic do roboty, a pani Selfridge, recepcjonistka, szła do domu, Sam i ja nalewaliśmy sobie bourbona albo dwa. Czasem jeden z nas mógł być zbyt zajęty, ale jeśli praca była skończona i telefon przestawał dzwonić, około wpół do szóstej lądowałem w gabinecie Goldmana. Sam wyciągał karafkę z kredensu, a ja szedłem po lód do lodówki wciśniętej w kąt archiwum. Potem Goldman starannie rozlewał bourbona do szklanek, jakby pieczętując tym akt gościnności.

Goldman nalewał bourbona, a ja patrzyłem na przedmioty zgromadzone w jego gabinecie: rzeźbę murzyńskiej głowy na biurku, stare księgi prawnicze na półkach, portret Roberta Kennedy'ego na ścianie za wysokim krzesłem Goldmana. Obraz był podpisany, więc w końcu zapytałem o to. Goldman zamyślił się na chwilę, odcinając czubek cygara. Zapalił i z namysłem wypuścił dym.

- To był porządny chłopak, nawet jeśli ludzie go nie lubili. Pomogłem mu trochę w swoim czasie, udostępniłem biuro, gdzie mógł pracować podczas sporu z Wallace'em. Wielkie firmy prawnicze wołały udawać, że nic się nie dzieje. To była hańba, ale ludzie od tego czasu dorośli. Oni się zmieniają, tylko czasami trzeba im dać kopa w tyłek. Bracia Kennedy zmienili ten kraj, kiedy czarni zaczęli nas trochę kopać. Wtedy było ciężko. W nocy odbieraliśmy z Sarą telefony od Ku Klux Klanu: grozili, że mnie zabiją albo wykastrują, bo „zadają się z czarną”. W końcu kupiłem sobie gwizdek na psy i kiedy odbierałem taki telefon, gwizdałem z całej siły w słuchawkę. Chyba to bolało, bo po pewnym czasie przestali

dzwonić. Oni zawsze pastwili się nad tymi, którzy nie mogli się bronić: napadali bandami albo podkładali bomby w szkołach.

Te opowieści fascynowały mnie. W mojej rodzinie zawsze się mówiło, że czarni tak czy owak uzyskaliby swoje prawa dzięki prawości niektórych białych, bez tych wszystkich marszów i zamieszek, które tylko denerwowały ludzi. Kiedy powiedziałem o tym Goldmanowi, ten się tylko uśmiechnął.

- Gdyby nie zaczęli krzyczeć, nadal staliby w kolejce do toalety z napisem „Tylko dla kolorowych”. Później, kiedy sytuacja czarnych trochę się polepszyła, dowiedziałem się o sobie ciekawej rzeczy. Próbowałem im pomagać, w końcu wygraliśmy, a ja ze zdziwieniem spostrzegłem, że tęsknię za tą walką. Najgorsze jest to, że kiedy jadę do Birmingham i w Hyatt House natykam się na konferencję czarnych, nie mogę się do tego przyzwyczaić. Widzisz, we mnie też pozostały resztki starego systemu.

Goldman potrząsa głową, jakby dziwiąc się swojej głupocie.

Nalewam sobie drugiego drinka i opowiadam, jak na pierwszym roku w Columbii chodziłem z czarną dziewczyną z uniwersytetu Barnarda. Wypaliliśmy trochę marihuany i spędziliśmy razem noc; spodziewałem się czegoś niesamowitego, a było zwyczajnie, jak między dwojgiem ludzi.

- Chyba zdawało mi się, że dzięki temu lepiej zrozumieję muzykę Raya Charlesa. Ona przyznała później, że ze swojej strony spodziewała się czegoś podobnego. Powiedziałem jej o Rayu Charlesie, więc docięła, że może spróbowałbym też oślepnąć. Zachowałem się głupio, ona mnie wyśmiała - a właściwie nas oboje - i zostaliśmy przyjaciółmi. Ale nie mogę powiedzieć, żebym dowiedział się czegoś o czarnych. Raczej o sobie.

Goldman skinął głową i uśmiechnął się. Rozmawialiśmy - o polityce, wspomnieniach, o pracy.

Czasem rozmawialiśmy o synach Bensona. Goldman przydzielił mi opiekę prawną nad nimi z nadzieją, że się zaprzyjaźnimy, tak jak on z Case'em Bensonem. Jednak stary Benson był prawdziwym biznesmenem, a jego synowie próbowali za szybko upolować grubego zwierza. Jak szaleni kupowali ziemię i wpływy, utrzymywali stosunki z gubernatorem, któremu dawali pieniądze i którym pogardzali. Wyczułem, że traktują ojca jak rodzinny zabytek, a mnie jak nieopierzonego prawnika, który nie ma wiele do gadania. Już wtedy mnie to martwiło, a Goldman nie mógł nic zrobić, może nawet nie do końca orientował się w sytuacji.

Któregoś dnia rano przyszli do mnie do biura, żeby coś omówić. Carter Benson był ciemnowłosym mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat, przystojnym, z niedbałym wyrazem twarzy i oczami hazardzisty. Case Junior, mniej więcej w tym samym wieku, zawsze nadąsany, kojarzył mi się z pulchnym kłębkim niechęci do świata, której nie mogłem zrozumieć. Rozsiedli się z ostentacyjną obojętnością na krzesłach, a ja zacząłem wyjaśniać sprawę.

- Pytanie brzmi: czy wiedzieliście o tym, że klatka w waszym domu jest niebezpieczna, zanim ta kobieta spadła? W teczkach jest tylko jeden dokument, który mnie niepokoi. - Popchnąłem fotokopię po blacie biurka w stronę Cartera. - Wiadomość od zarządcy gruntu na tydzień przed wypadkiem. Napisał, że klatka jest słabo oświetlona i chybotze się w dwóch miejscach. Czytałeś to?

Carter rzucił odbitkę na biurko.

- A jeśli tak?

- To lepiej będzie pójść na ugodę.

Benson wskazał pismo.

- Czy druga strona wie o tym?

- Jeszcze nie. Ale zwrócili się już o udostępnienie wszystkich dokumentów.

- A nie można po prostu zgubić tego papierka? - spytał niedbale Benson.

Potrząsnąłem głową.

- Nie mogę tego zrobić.

- Jesteś naszym prawnikiem, a nie przywódcą duchowym - warknął Carter.

- Nie złamię etyki zawodowej ani dla was, ani dla nikogo innego.

- Prawników jest wielu, Charles.

- Jeśli nie jesteście zadowoleni z moich usług, możemy spotkać się z waszym ojcem. Jemu odpowiadały zasady etyczne Sama Goldmana.

Carter Benson nie spierał się więcej: wiedział, że ojciec przyznałby mi rację. Jednak od tej pory Bensonowie niedwuznacznie dawali do zrozumienia, że jestem dla nich bezużyteczny w sprawach praktycznych. W ich zachowaniu dostrzegłem oznaki niechęci: krętactwo, ukrywanie prawdy.

- Mam ich dość - powiedziałem do Goldmana.

Na jego twarzy pokazały się głębokie bruzdy.

- Case nigdy nie wymagał ode mnie nieuczciwości. On wierzy tak samo, jak ja, że jeśli jesteś uczciwy, to przetrwasz, i że to się opłaca. Postaw się im, Charles, a wtedy zaczną cię szanować. Ale pamiętaj - dodał, celując we mnie palcem - że tak długo, jak nie łamię

prawa, musisz być z nimi i o nich walczyć. To podstawa naszej profesji. Klient musi wierzyć, że wszystko, co wiesz - lub co o nim myślisz - pozostanie w twoim biurze. Możesz zapomnieć o wszystkich innych zasadach, ale o tej nie.

Goldman przerwał na chwilę swój wykład.

- Case i Julia mieli dzieci późno, dopiero kiedy skończyli trzydzieści pięć lat, więc chłopcy nie są tak bystrzy, jak mogliby być. Gdyby poczekali jeszcze trochę, pewnie musielibyśmy prowadzić ich potomstwo na smyczy.

Mimo rozbawienia nie mogłem się pozbyć złych przeczuc.

- Oni weszli w komitwę z politykami z Baldwin, finansują ich kampanie, nie skąpią pieniędzy. Wiesz, dlaczego to robią?

Goldman wzruszył ramionami.

- Nie, chociaż pewnie się dowiemy prędzej czy później. Ale dopóki żyje Case, chłopcy nie wymkną się z klatki.

Wiedziałem, że Goldman w to wierzy, więc się nie odezwałem. On zaś jął deliberować nad bombą neutronową.

- Wyobraź sobie, zabija ludzi, a nie niszczy budynków. - Potrząsnął w zamyśleniu głową. Nagle się ożywił. - Mogliby ją zrzucić na Niemcy. Ludzie tam marni, ale katedry mają piękne.

Skinąłem głową.

- Można by zamienić Niemcy w skansen, coś takiego jak Williamsburg.

Roześmieliśmy się. Goldman nikogo by nie skrzywdził. Nasza rozmowa trwała dalej, ciągnęła się dniami i miesiącami, jak na kartkach książki. A ja uczyłem się, poznawałem nie tylko prawo, ale i ludzi. Nauczyłem się wątpić w zbiegi okoliczności, nauczyłem się też odgadywać motywy postępowania i negocjować, gdy w grę wchodziły wielkie emocje lub pieniądze.

- Jesteś wspaniałym młodym człowiekiem, Charles - mówił Goldman - i dobrym prawnikiem.

Jego słowa znaczyły dla mnie więcej niż pieniądze i sława. Czulem, że rosnę, a wraz ze mną rośnie mój dług wobec Goldmana. Zacząłem rozumieć, że przekazuje mi swoją praktykę, swoje ideały i wszystko, co wie. Zostałem wpuszczony do jego świata, unikatowego i wyjątkowego jak stary dagerotyp.

Okno gabinetu Goldmana wychodziło na kojącą niezmiennosć zatoki Mobile Bay. W letnie wieczory wlewały się przez nie złote smugi zachodzącego słońca i wówczas wnętrze nabierało charakteru starej kolorowej fotografii, której bogate barwy dawno wyblakły.

Wodziłem dłonią po skórzanych grzbietach ksiąg prawniczych, smakowałem złocisty blask bourbona i jego palące chłodem ciepło ukryte pod lodem. Wchłonał mnie urok miasta Mobile, czar tego szczególnego miejsca i czasu, niezmiennosc zdarzeń. A w samym środku tego obrazu na wysokim krześle siedział Goldman. Słuchałem jego słów wypowiedzianych głębokim głosem, z lekkim zaciąganiem; słów, w których łagodnie błyszczały dowcip i mądrość.

Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się zmieniać po śmierci Case'a Bensona. Szliśmy po lunchu przez plac Bienville Square, co jakiś czas uchylając się przed gołębiami. Miałem na sobie biały garnitur. Goldman mówił coś i gestykulował, a ja szedłem obok niego, o pół stopy wyższy. Marmurowym wejściem wkroczyliśmy do budynku starego banku i wsiedliśmy do windy. Pani Selfridge siedziała za biurkiem z dziwnie napiętym wyrazem twarzy.

- Pan Benson nie żyje - powiedziała. - Zawał serca.

Goldman wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi.

Pierwsze, co zauważyłem u Goldmana, to zaniki pamięci. Zmiana była bardzo subtelna: Goldman zapominał, że mówił już o czymś wcześniej.

- Czy dawałem ci testament Patersona? - pytał, chociaż dzień wcześniej pytał o to samo. Albo dwa razy opowiadał o spotkaniu z tym samym klientem. Z początku, gdy coś takiego się zdarzało, Goldman przekrzywiał głowę, jakby usłyszał w swoim głosie fałszywą nutę. Później powoli, lecz wyraźnie te wątpliwości zanikły, i zapominał coraz częściej.

Zaczął gubić klucze, teczki. Któregoś popołudnia zastałem go stojącego przy biurku i wpatzonego w nie bezradnie, jakby się zagubił.

- Zgubiłem mój cholerny scyzoryk - powiedział. - Nie mogę go znaleźć.

Scyzoryk leżał u stóp Goldmana.

- Mam go - rzuciłem beztrąsko.

- Niczego nie mogę znaleźć - mruknął Goldman. - Sara zawsze wszystko znajdowała.

Ogarnął mnie smutek, jakbym poczuł, że go tracę.

Goldman zaczął się wolniej poruszać, jak gdyby był ciągle zmęczony. Czasem wychodził wcześniej do domu, albo ręce mu drżały, gdy nalewał drinki po południu. Zacząłem więc dyktować listy, które on później podpisywał, tłumacząc mu, że nie powinien się zajmować takimi drobiazgami, skoro musi mnie nadzorować. Staralem się naśladować jego sposób wysławiania się, żeby nie budzić podejrzeń klientów, wobec których Goldmana obowiązywała wszak zasada poufności. Po obiedzie wracałem sam do biura, żeby sprawdzić jego pracę.

Specjalną uwagę poświęcałem Bensonom, którzy przejęli interesy ojca, pełni nowych pomysłów i beztronskiego lekceważenia dla tego, co robił stary Case. Dla Goldmana nie żywili żadnych szczególnych uczuć: traktowali go z pobłażliwą grzecznością, bolesną jak policzek. Albo tak mi się wydawało, bo Goldman niczego nie zauważał. W jego świadomości spotkania z młodymi Bensonami mieszały się z pracą dla ich ojca; zdawało mi się, że sam dźwięk głosu Goldmana przywołuje swobodną atmosferę ich dawnych pogawędek. Sami chłopcy ze swoją niecierpliwą chciwością nie istnieli dlań sami w sobie, lecz jako znaki przeszłości. Wydawało się, że jakaś głęboka, pierwotna część istoty Goldmana chwyciła się ich niczym talizmanu dającego dostęp do utraconej mocy, osłabłych umiejętności. Widziałem ich niecierpliwość, bałem się, że Goldman ich straci, a jeszcze bardziej bałem się tego, co mogą zrobić. Jedynym światem Goldmana było teraz biuro - pani Selfridge, klienci. Ukrywałem więc niechęć do Bensonów za zdwojonym zainteresowaniem dla ich spraw.

Pewnego szarego jesiennego poranka Goldman wezwał mnie do siebie. Niespodziewanie zastałem tam Bensonów. Siedzieli w milczeniu przy jego biurku, w dziwnie bezosobowych pozach, jak gdyby Goldman był starym krzesłem, które chcą oddać na zbiórkę Armii Zbawienia. Cisza wisiała ciężko w powietrzu. Na miły Bóg, pomyślałem, Sam, musisz się dzisiaj sprężyć.

Goldman wyprostował się na krześle.

- Cieszę się, że inwestujecie w ziemię, chłopcy. To jest coś, co się nie rozplywa. Pamiętam, jak wasz ojciec spytał mnie o działkę, na której stoi dzisiaj bank Merchants Tower...

Zacząłem wodzić ołówkiem po kartce papieru, kreśląc bezkształtne pętle. Goldman głośno dmuchnął dymem z cygara.

- Stał tam jakiś stary sklep i cała działka wyglądała na bezwartościową. Więc wasz ojciec przyszedł do mnie, a ja mówię...

- „Ta ziemia to jedyna żyła złota w Mobile” - dokończył Carter Benson.

Głowa mi lekko podskoczyła. Goldman wyglądał tak samo jak wtedy, gdy zgubił scyzoryk.

Benson odezwał się monotonnym głosem:

- Opowiadał nam pan o tym w zeszłym tygodniu. - Przerwał. Słowa zawisły w powietrzu jak ciężka obelga. Twarz Goldmana zastygła. Poczulem prawie dotykalne upokorzenie. Carter Benson przerwał ciszę. - Przyszliśmy w sprawie umów na działki w powiecie Baldwin.

- Akta leżą na moim biurku - powiedziałem. - Umowy będą gotowe jutro.

Benson zwrócił na mnie spojrzenie bez wyrazu.

- Chciałem je odebrać w zeszłym tygodniu.

Rozłożyłem bezradnie ręce.

- Byłem tak zajęty, że nie mogłem ich przygotować. Przepraszam.

Goldman przyglądał się tej wymianie zdań jak widz, który nie rozumie zasad gry.

- Dobrze - powiedział Benson. - Jutro o dziesiątej.

Z jego głosu sączyła się pogarda człowieka, który znosił niekompetencję tak długo, jak było to możliwe.

- Sam - powiedział do Goldmana ze skinieniem głowy. Odwrócił się raptownie i wyszedł, a brat podążył za nim.

Goldman spojrzał na mnie, starając się przypomnieć sobie, kiedy przekazał mi akta. Zmieszanie na jego twarzy ustąpiło miejsca łagodności.

- Nie martw się, Charles. Dokończ szybko te umowy. Chłopcy trochę się zniecierpliwili.

Wychodząc, obejrzałem się. Goldman stał przy oknie i wpatrywał się gdzieś w dal.

Po drodze do mojego gabinetu zatrzymałem się przy biurku pani Selfridge.

- Mamy kilka nowych teczek Bensonów dotyczących zakupu ziemi w powiecie Baldwin. Proszę je znaleźć... kiedy pan Goldman wyjdzie na lunch.

Skinęła głową.

- Bensonowie są w pańskim biurze. - Przerwała, a po chwili dodała szorstkim głosem:

- Jeśli oni odejdą, to go zabije. Pan Goldman zrozumie, że...

W oczach pani Selfridge dostrzegłem poczucie winy, jak gdyby te słowa mogły zranić Goldmana. Odwróciła szybko głowę i zaczęła przesuwac papiery na biurku.

Bensonowie siedzieli w moim gabinecie.

- Kiedy skończysz pisać te umowy - powiedział Carter Benson - prześlij nasze akta do Mike'a Ritchiego ze spółki Carltona.

Benson patrzył na mnie pustymi oczyma. Poczulem, jakby moja twarz zamieniła się w wielką ranę.

- Jeśli chodzi o te umowy...

- Wolimy sobie znaleźć innego prawnika. Sam Goldman jest stary. Nie możemy tracić czasu tak jak dzisiaj.

- On jest zniedołężniały - dodał brutalnie Case Junior.

Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby zareagować.

- Przygotuj na jutro nasze akta.

Wyszli.

Siedziałem chwilę w zneruchomiałym powietrzu, a potem wstałem, by pójść do Goldmana. Nie mogłem mu jednak powiedzieć, że synowie Case'a Bensona nie chcą jego usług. Usiadłem więc z powrotem i zamyśliłem się. Pani Selfridge przyniosła teczeki.

- Leżały w kredensie pana Goldmana.

Pochyliłem się nad biurkiem, bezmyślnie bawiąc się długopisem. W końcu zmusiłem się do pracy. Zacząłem przerzucać papiery, sprawdzając położenie działek. Nagle, wpatrując się w kartkę papieru, poczułem że męczy mnie jakaś nie w pełni ukształtowana myśl. „Jeśli ludzie coś robią, mawiał Goldman, to mają jakiś powód, nawet jeśli są dziećmi albo głupcami, i nawet jeśli ten powód jest absurdalny. Nie zrzucaj niczego na przypadek, chyba że nie masz żadnego innego wytłumaczenia”. Poprosiłem panią Selfridge o przyniesienie wszystkich akt dotyczących zakupów ziemi w powiecie Baldwin. Było ich kilkanaście. Przejrzałem wszystkie bardzo dokładnie, robiąc notatki.

O wpół do trzeciej poprosiłem o teczkę z korespondencją Bensonów. Moją uwagę zwrócił jeden z ostatnich listów. Przeczytałem w nim, że Carter Benson ma zaszczyt wspomóc kampanię wyborczą pewnego kandydata, z którym łączą go wspólne interesy. Wyjąłem mapę okręgu Baldwin i przyjrzałem się autostradom przecinającym ją niczym czerwone żyłki. Następnie wróciłem do przeglądania akt i ołówkiem zakreśliłem na mapie duży krzyżyk.

Myśl narastała we mnie powoli, samoistnie. Początkowo nie chciałem jej do siebie dopuścić, traktowałem jak abstrakcyjną zagadkę. Jednak krzyżyk na mapie świadczył, że to nie abstrakcja. Brakowało mi jeszcze jednego fragmentu tej układanki. Wpatrywałem się w znak, jakby od niego zależała moja przyszłość. Widziałem w nim też twarz Goldmana po tym, jak Carter dokończył jego zdanie. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer stanowej izby reprezentantów.

Tego wieczoru spotkaliśmy się z Goldmanem na drinka. Wydawał się zmęczony, poprosił, żebym to ja nalał drugiego.

- Skończyłeś przygotowywać umowy dla Bensonów? - spytał w końcu.

- Pracuję nad nimi - odparłem i pożegnałem się.

Następnego ranka deszcz smagał szyby mojego biura, sprawiając, że przypominało wnętrze ciemnego kokonu. Czekałem, siedząc nad filiżanką kawy, nie pijąc jej, lecz wdychając aromat.

O dziesiątej zjawił się Carter Benson.

- Sprawdziłem wszystko. Są w porządku.

Benson usiadł. Przelotnie rzucił okiem na umowy.

- Czy nasze akta są gotowe? - spytał, nie podnosząc głowy.

- Nie.

Benson spojrział na mnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ wiem, jaką wartość ma dla ciebie ten grunt. Chcesz zbudować tor wyścigowy. Gdyby rzeczywiście chodziło ci o ziemię, kupiłbyś sto akrów w dowolnym miejscu. Ale ty potrzebujesz odpowiedniego położenia. Te działki leżą koło autostrady międzystanowej numer pięćdziesiąt siedem i właśnie tam chcesz zbudować tor.

Benson starannie kontrolował mimikę. Jego oczy zwęziły się nieco.

- Bzdura, Charles. Wyścigi konne są w tym stanie nielegalne.

Krople deszczu uderzyły mocniej w okno, a potem nastąpiła cisza.

- Właśnie powstał projekt ustawy legalizującej wyścigi konne, przygotowany przez człowieka, któremu podarowałeś pięć tysięcy dolarów. - Benson chciał coś powiedzieć, ale nie dopuściłem go do głosu. - Wiem, to nie jest zabronione. Ale wyobraź sobie, że jakiś dziennikarz przyjrzy się dokładnie zakupom gruntów. Kupiłeś je za pośrednictwem różnych firm, ale jeśli ktoś naprowadzi go na ślad, dotrze do ciebie i skojarzy ze znacznymi datkami na kampanię wyborczą. - Mogą się wówczas zdarzyć dwie rzeczy. Twoja ustawa prawie na pewno przepadnie, a ty zostaniesz z pustym gruntem i zszarganą opinią. A jeśli ustawa nie przepadnie, właściciele ziemi zażądadają bająńskich sum.

- To, co zrobiłem, nie jest wbrew prawu.

- Ale na tyle pokątne, żeby się tym nie chwalić.

Benson wydobyl z kieszeni papierosa i zapalił. Smugi dymu rozsnuły się w nieruchomym powietrzu.

- Czego chcesz? - spytał Benson.

Przyjemna złość ścisnęła mi lekko pierś.

- Nie zmienisz prawnika, a ja zajmę się waszymi sprawami. A kiedy Sam odejdzie, będziesz mógł przenieść swoje akta do Ritchiego, bo prawdę mówiąc, nie cierpię was jak cholera. Jesteście sukinsyny, jakich mało. Ale dopóki Sam pracuje, macie okazywać mu szacunek. Od dzisiaj. O wpół do piątej obaj z bratem zjawicie się w gabinecie Sama, odbierzecie umowy i podziękujecie.

Benson słuchał i milczał nienaturalnie, a jego twarz ściągnęła się niemym gniewem. Wreszcie odezwał się głosem kipiącym wrogością:

- Siedzisz tu i prawisz kazania o cnocie, a sam jesteś parszywym szantażystą. Gotów byłbyś sprzedać tajemnice swoich klientów, żeby sprawić przyjemność starcowi.

- Życie polega na ciągłych wyborach, Carter. Nie jesteś wart splunięcia Sama. Jeśli więc będę szukał rozgrzeszenia, to nie u ciebie. Od ciebie oczekuję tylko odpowiedzi.

Benson rozejrzał się powoli, jakby widział to biuro po raz pierwszy. Gdy przemówił, zwracał się jakby do ściany:

- Między moim starym i Goldmanem było chyba inaczej, co?

- Zupełnie inaczej.

Spojrzał na mnie.

- Mogę załatwić tę sprawę bez ciebie - rzekł z nagłym zdecydowaniem.

- O wpół do piątej w biurze Sama - powtórzyłem. Benson przyjrzał mi się z zimną rozważą, a potem wyszedł.

Poszedłem na lunch, a później wypilem podwójnego bourbona, jakbym był z Goldmanem. Po powrocie czułem się nieswojo. Otrząsnąłem się i zaniósłem umowy do Goldmana.

Sam siedział przy biurku, zmagając się z celofanowym opakowaniem cygara. Odłożył je z nieśmiałym uśmiechem.

- Przydałby się otwieracz do konserw. Kiedy mają odebrać umowy?

- Myślę, że przyjdą około wpół do czwartej.

- Jestem pewien, że będą z nich zadowoleni - rzekł Sam tonem pochwały i odłożył papiery. Zajął się znów cygarem, przesunąwszy okulary na czubek nosa, żeby lepiej widzieć. Nie wiedziałem, czy mam mu pomóc. Podziękowałem i wyszedłem.

Dzień włókł się niczym ślimak. Przejrzałem parę teczek, troszkę się poobijałem, a potem zadzwoniłem do starej koleżanki w Nowym Jorku, żeby pogadać o niczym. O wpół do czwartej poszedłem do gabinetu Goldmana. Bensonów nie było. Nagle ogarnął mnie smutek głęboki jak żałoba, choć nie wiedziałem, po kim. Próbowałem zagadnąć Sama na temat umów, ale nasze słowa rozmijały się, jak gdybym rozmawiał z radiem.

- Budynek Merchants Bank to była żyła złota - mówił Goldman. - „Możesz wziąć kredyt budowlany, postawić tu biuro”, zaproponowałem Case'owi...

- Przyszli Bensonowie - powiedziała, otwierając drzwi pani Selfridge.

- Niech wejdą - odparł zadowolony Goldman. Bracia weszli i stanęli przed biurkiem Sama.

- Przygotowaliśmy umowy - rzekł Goldman.

Odbierając teczki, Carter rzucił na mnie okiem, a potem w milczeniu przejrzał umowy. Panowała cisza zakłócana tylko stukaniem maszyny pani Selfridge.

Benson spojrział na Goldmana.

- Dziękuję panu, Sam - powiedział cicho.

Goldman uśmiechnął się.

- Nie ma za co. Macie trochę czasu?

Carter zerknął na mnie z gorzkim półuśmiechem.

- Możemy chwilę posiedzieć.

A więc dobiliśmy targu.

Goldman ruchem głowy wskazał krzesła.

- Miałem was zapytać, co byście powiedzieli na kupno akcji banku. Wasz ojciec często o tym wspominał, ale jakoś nie było okazji, żeby się tym zająć...

Bracia w końcu wyszli i zostaliśmy sami.

- Wydaje mi się, że trochę się uspokoił. Na pewno przypomnieli sobie, że zawsze o nich walczyliśmy - powiedział Goldman. W jego oczach błysnęło zdecydowanie, ale zaraz zgasło. - Tak czy owak, muszę sprawdzić, czy można dobrze zainwestować w jakiś mały bank.

- Dobry pomysł - zgodziłem się, zerkając na zegarek. - Jest wpół do piątej, Sam. Napijemy się?

Goldman poruszał się coraz wolniej. Coraz później przychodził do pracy i często wcześniej wychodził, żeby odpocząć. W niektóre dni był w lepszej formie, i wtedy zwracałem się do niego o radę. Ale przy drinkach mniej się odzywał, a czasami rozglądał się po biurze, jakby znalazł się w świeżo wynajętym mieszkaniu.

Wizyty Bensonów sprawiały mu widoczną przyjemność. Bracia siedzieli w milczeniu, a Sam wspominał. Później Carter Benson przychodził do mnie, żeby pomówić o interesach. Rozmawialiśmy beznamiętnie, jakby niechętnie, nie dłużej, niż tego wymagała konieczność. Nie wiem, jak postąpiłby na moim miejscu Goldman, ale to i tak nie ma znaczenia.

Carter Benson zbudował swój tor wyścigowy. A ja pewnego dnia o wpół do czwartej znalazłem Sama znieruchomiałego przy biurku, jakby odpoczywał. Wysłałem akta Bensonów do Mike'a Ritchiego. Od tej pory światło wpadające przez okno gabinetu Goldmana nie jest już tak łagodne.

Posłowie

Przeglądałem akurat rękopis mojej pierwszej powieści, *The Lasko Tangent*, studiując kompozycję pod kierunkiem Jesse Hill Ford w Birmingham na Uniwersytecie stanu Alabama. Postanowiłem spróbować swojej ręki w krótkiej formie literackiej, więc wręczyłem Jesse szkic niniejszego utworu. Jesse orzekła, że jest to utwór „intuicyjnego powieściopisarza próbującego wcisnąć się w ramy opowiadania” (teraz zdarza się, że jakiś niezyczliwy krytyk napisze, iż usiłuję wcisnąć się w ramy powieści). Jednak po zachęcie ze strony Jesse próbowałem dalej i czwartą wersję opowiadania sprzedałem miesięcznikowi „*The Atlantic Monthly*”. Na szczęście, nauczony doświadczeniem, przestałem pisać opowiadania.

Jednak Klienta darzę szczególnym sentymentem z jeszcze jednego powodu. Jako młody prawnik praktykowałem w stanie Alabama pod kierunkiem Abe’a Berkowitza, znakomitego adwokata i gawędziarza, jednego z niewielu wielkich ludzi, jakich poznałem, filantropa, wizjonera, bojownika o prawa obywatelskie w czasach, gdy wymagało to prawdziwej odwagi. W postaci Sama Goldmana zawarłem odrobinę Abe’a, a to znaczy dla mnie bardzo wiele.

Richard North Patterson

WILLIAM BERNHARDT

Po co tu jesteśmy

Ben Kincaid zadebiutował w powieści Pierwsza sprawiedliwość jako młody, pełen idealizmu i nieco naiwny adwokat z minimalnym doświadczeniem procesowym. W siódmej powieści, Najwyższa sprawiedliwość, jest starszy, mądrzejszy i znacznie pewniej czuje się w sali rozpraw - teraz musi walczyć o to, by zachować coś ze swych dawnych ideałów. Jednak jego dochody napływają równie kapryśnie, jak na początku. W zamieszczonym tu opowiadaniu autor przedstawia jedną z nielicznych wycieczek Bena na teren prawa cywilnego, w czasie której musi on wykrzesać wszystkie siły twórcze, aby osiągnąć coś, co w przybliżeniu można określić mianem „sprawiedliwości”.

Ben Kincaid wyprostował się. Każde przesłuchanie ma swoje pułapki, ale to miało ich wyjątkowo dużo. Musiał poprowadzić klientkę bardzo ostrożnie, żeby nie narazić jej na potknięcie. Musiał też zwracać uwagę na wszystkie szczegóły, aby nie ominąć czegoś ważnego.

I nie wolno mu było odwrócić wzroku od twarzy klientki.

- O której godzinie wyszła pani od kvestora, Tess?

Kobieta skierowała spojrzenie na drewnianą podłogę.

- Późno w nocy - odparła cicho. Przysięgli musieli się nachylić, aby usłyszeć jej głos. -
Było tuż po pierwszej.

- Proszę powiedzieć sędziom, co zrobiła pani później.

- Wsiadłam do samochodu... mam pięcioletnią hondę civic... i pojechałam do domu.

Ben zauważył, że klientka lekko drży.

- Którędy pani pojechała?

- Siedemdziesiątą Pierwszą, przez miasto. Mieszkam w jeszcze niewykończonym osiedlu Richmond Hills i ta trasa wydawała mi się najłatwiejsza, mimo prac budowlanych.

- Czy zdarzyło się coś po drodze?

Tess Corrigam zawahała się.

- Jechałam w kierunku wschodnim. - Przerwałaby przełknąć ślinę i zaczerpnąć powietrza. - Musiałam skręcić w lewo, w ulicę Harvard. Zapaliło się zielone światło i... nie widziałam, żeby coś nadjeżdżało...

- I co pani zrobiła?

Kobieta miała częściowo zakrytą twarz, ale Ben dostrzegał jej opór przed kontynuowaniem zeznania. Bała się opowiadać o tym, jakby równało się to przeżyciu wszystkiego jeszcze raz.

- Zaczęłam skręcać w lewo... i właśnie wtedy kątem oka ujrzałam nadjeżdżający

samochód...

- Czy mogłaby go pani opisać?

- Był ciemny. Zdaje mi się, że zielony. Duży, chyba ford expedition...

- I co się stało?

- Spostrzegłam pędzący na mnie samochód... - jej głos załamał się.

- Tak?

- Próbowałam zjechać mu z drogi, ale byłam już w połowie skrzyżowania i nie było gdzie uciec, nie było czasu. Samochód zbliżał się, a ja nic nie mogłam zrobić...

W oczach Tess widać było strach, który wtedy przeżyła. Przez chwilę Ben poczuł się, jakby był tam razem z nią i schwytywany w pułapkę bez wyjścia, obserwował zbliżającą się katastrofę, nie mogąc nic zrobić.

Przełknął ślinę.

- I co się wtedy stało?

- To wszystko, co pamiętam - odparła, wypuszczając powietrze. Zdawało się, że wszystkich czternaścioro przysięgłych uczyniło to samo. - Kiedy się ocknęłam, byłam w szpitalu. I wyglądałam... właśnie tak.

Jej ręka powędrowała do góry, muskając bandaż, który nadal zakrywał jej twarz, mimo że od wypadku upłynęło już sześć miesięcy. Twarz Tess, porwana bliznami, pokiereszowana, wyglądała niczym zjawą z koszmaru. Nos był spłaszczony, opuchnięte oczy zamieniły się w maleńkie plamki błękitu wycierające się pomiędzy fałdów posiniaczonej skóry. Głęboka blizna przecinała twarz od lewego ucha do środka prawego policzka. Ślady po szwach były nadal wyraźnie widoczne. Biały bandaż zakrywał część czoła i miejsce, gdzie kiedyś znajdował się nos.

Ben ponownie przełknął ślinę, próbując kontrolować głos. Starał się trzymać emocje na wodzy, ale było to prawie niemożliwe. Znał Tess od lat - pracowali razem przy różnych przedsięwzięciach charytatywnych: w hospicjum, w bibliotece, w schronisku dla kobiet. Tyle dawała z siebie innym, a teraz ją samą spotkało coś tak strasznego.

- Czy wypadek... ma wpływ na pani pracę?

Tess roześmiała się raptownie, ale nie był to radosny śmiech.

- Czy ma wpływ? Byłam modelką, reklamowałam odzież. Płacono mi za to, że dobrze wyglądam.

- Jak często pani pracowała?

- Miałam regularne pokazy w restauracjach w Tulsie. Poza tym pracowałam w sklepach odzieżowych w mieście, między innymi u Renberga oraz Abersona. W ten sposób

się utrzymywałam, odkąd skończyłam osiemnaście lat.

- Czy kontynuowała pani pracę po wypadku?

- Z tym? - Ponownie dotknęła bandaża. - Z twarzą w sam raz do horroru? Raczej nie.

Nie pracowałam ani razu po wypadku. - Zawiesiła głos. - I nigdy już nie będę.

- Czy starała się pani o przeprowadzenie operacji plastycznej?

Potrząsnęła głową.

- Rozmawiałam o tym z kilkoma lekarzami w szpitalu. Okaleczenia są tak rozległe, że... byłoby to niesłychanie drogie. Musiałabym zapłacić miliony dolarów. Moje ubezpieczenie nie obejmuje kosztów tak zwanej operacji plastycznej. A mnie na to nie stać.

- Jakie są pani plany na przyszłość, Tess?

- Plany? Nie mam żadnych. - Odwróciła głowę i Ben zauważył łzy w ledwie widocznych oczach. Tess zamrugła. - Nie mogę pracować z taką twarzą i nie mogę nic zrobić, żeby ją zmienić. Nie mam planów na przyszłość, bo... nie mam przyszłości.

Ben zagryzł wargę. Potrzebował przerwy tak samo, jak jego klientka.

- Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Sędzia Hawkins oparł się na blacie stołu.

- Dziękuję, panie mecenasie. Proponuję zrobić teraz przerwę, zanim przeciwna strona rozpocznie przesłuchanie.

- Wysoki Sądzie. - Ben odwrócił się. Jego przeciwnik Charles Colby wstał, poprawiając nienagannie skrojony garnitur. - Chciałbym złożyć wniosek. Może w czasie przerwy...

- Doskonale.

Sędzia przeprosił przysięgłych oraz świadka, a prawnikom skinieniem ręki dał znak, żeby poszli za nim.

Gabinet sędziego Harolda H. Hawkinsa - zwanego przez adwokatów Hawkinsem-Na-Szubienicę-Ich-Wszystkich - stanowił dziwną mieszankę zbiorów sztuki Dzikiego Zachodu i trofeów sportowych. Proporczyki drużyn futbolowych wisiały nad reprodukcją słynnej rzeźby Remingtona, przedstawiającej kowboja ujeżdżającego konia. Ben zastanawiał się, czy Hawkins świadomie urządzał to pomieszczenie, czy może przynosił tu różne rzeczy, a potem o nich zapominał.

- Czym mogę panom służyć? - spytał Hawkins, sadowiąc się w fotelu. - Mam nadzieję, że nie chodzi o opóźnienie procesu. Chcę to już mieć za sobą.

- Nie, Wysoki Sądzie - odparł Colby. - Mam nadzieję, że mój wniosek odniesie przeciwny skutek.

Colby był jednym z najważniejszych wspólników w Raven, Tucker & Tubb, największej firmie prawniczej w Tulsie. Reprezentował Peggy Bennett, żonę lekarza, która kierowała fordem expedition tragicznej dla Tess Corrigan nocy.

- Wnoszę o oddalenie sprawy.

- Co? - Ben spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami. - Chyba żartujesz.

- Ani trochę - odparł Colby głosem znudzonego światowca. - Mówię całkiem poważnie. Kincaid niczego nie udowodnił.

- Jeszcze nie skończyłem przesłuchiwania świadków.

- Sam powiedziałaś wcześniej, że twoim głównym świadkiem jest powódka. Słyszałem, co powiedziała i uważam, że jej zeznanie niczego nie dowodzi.

Ben poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- Dowiodło tego, że twoja klientka staranowała samochód Tess, powodując wypadek, który zgruchotał jej twarz.

- Tego nie udowodniłeś. Owszem, zdarzył się wypadek, ale co do winy...

- Twoja klientka wpadła na samochód Tess...

- Bo twoja klientka zablokowała skrzyżowanie. Miała zielone światło, a nie zieloną strzałkę skrętu w lewo, a to oznacza, że powinna spojrzeć, czy nic nie nadjeżdża, zanim spróbowała skręcić. Nie zrobiła tego, więc nikt nie jest winny temu, co się stało, tylko ona sama.

- Tess spojrzała, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, ale niczego nie zauważyła. Twoja klientka jechała za szybko, dlatego tak niespodziewanie wpadła na Tess. Moja klientka nic nie widziała, a potem jak spod ziemi pojawił się ford, jadący tak szybko, że Tess nic już nie mogła zrobić!

Colby przechylił głowę.

- Czyżby? Udowodnij to.

Ben mimo woli zacisnął zęby.

- Jak możesz tryskać takim samozadowoleniem? Zamierzasz starać się wygrać tę sprawę? Czy rodzice nie nauczyli cię elementarnych zasad sprawiedliwości?

- Spokojnie, chłopcy. - Sędzia rozłożył ręce na biurku. - Spróbujmy zachowywać się racjonalnie. Pan Colby złożył wniosek o oddalenie sprawy. Jak rozumiem, pan Kincaid wnosi sprzeciw.

- Zgadza się - wycedził Ben.

- No cóż, panie Kincaid. Nie uważam tego wniosku za całkiem bezpodstawny. Jak dotąd, nie udowodnił pan winy pozwanej.

- Proces jeszcze się nie skończył.

- Pamiętam o tym, panie mecenasie, ale dziękuję za przypomnienie. Właśnie z tego powodu zamierzam oddalić wniosek. Ale ostrzegam, panie Kincaid - jeśli nie przedstawi pan dowodu winy, przychylę się do wniosku pana Colby'ego i zakończę sprawę bezpośrednim werdyktem.

Po plecach Bena przebiegł zimny dreszcz. Oto najstraszniejszy koszmar adwokata powoda: bezpośredni werdykt przeciwko klientowi, zanim strona przeciwna wezwie choćby jednego świadka.

- Panie Colby - odezwał się sędzia. - Czy zamierza pan przesłuchiwać powódkę?

Colby wzruszył ramionami.

- Nie ma potrzeby.

- Dobrze. Uważam, że wystarczy jak na jeden dzień. - Sędzia zerknął na zegarek. - Wobec tego możemy ogłosić przerwę do jutra.

Nikt się nie sprzeciwił. Ben wrócił na salę rozpraw. Tess siedziała przy stoliku i patrzyła wyczekująco. Ben wiedział, że ona na niego liczy, że wbrew wszystkiemu wierzy w jakiś cud, który on, Ben, może sprawić, by wyciągnąć ją z nieszczęścia. On tymczasem zawodził. Sędzia był o krok od oddalenia powództwa.

Niech to szlag! W zeszłym tygodniu pomógł dwóm ludziom oskarżonym o handel narkotykami i jednemu złodziejowi, który dokonał napadu na bank. Dlaczego nie potrafi pomóc Tess?

- Zepsułam coś? - spytała.

- Ależ skąd. Poszło ci świetnie. Colby chciał przepchnąć swój wniosek, ale sprawa toczy się dalej, tak jak planowaliśmy.

- Czy wygrywamy?

Ben milczał przez chwilę. Ostrzeżenie sędziego ciągle jeszcze brzmiało mu w uszach.

- Wszystko będzie dobrze - odparł w końcu. - Jeśli powiemy przysięgłym, co się stało, jeśli powiemy im prawdę, na pewno przyznają nam rację.

Założywszy, że będą mieli okazję decydować, dodał w duchu.

- Przepraszam.

Ben odwrócił się i ku swemu zaskoczeniu ujrzał pozwaną, Peggy Bennett, razem z mężem, doktorem Edgarem Bennettem.

- Przepraszam, że przerywam - powiedział doktor Bennett. - Chciałem powiedzieć panie Corrigan, jak bardzo nam przykro...

Ben zerknął na przeciwnika przy stoliku pozwanej.

- Colby, jeśli to jakaś sztuczka...

- Nie, nie - przerwał doktor Bennett, unosząc dłonie. - Pan Colby nie ma z tym nic wspólnego. On nie chciał się zgodzić, żebyśmy do państwa podeszli, ale czułem, że musimy...

Wyciągnął ręce w stronę Tess.

- Chciałem pani powiedzieć, że jest nam ogromnie przykro. Uważamy, że to nie była wina Peggy, ale mimo to żałujemy, że tak się stało.

Ben patrzył Bennettowi w oczy. O co tu chodzi? Mężczyzna rzeczywiście wyglądał na zaniepokojonego. Ale czym?

- Edgar - wtrąciła pani Bennett. - Chyba powinniśmy już iść.

- Ja o tym zdecyduję - odparł krótko Bennett. - Nie wtrącaj się.

Z kieszeni garnituru doktora doleciał sygnał telefonu. Bennett wyjął komórkę, powiedział: „Jestem zajęty, proszę zadzwonić za dziesięć minut”, i rozłączył się.

- Chciałem pani powiedzieć, że jeśli mógłbym cokolwiek zrobić...

- Mógł pan przyjąć nasze warunki ugody - przerwał Ben.

Doktor Bennett zaczerpnął powietrza.

- Nie mogę tego uczynić. O wszystkim decyduje firma ubezpieczeniowa, a oni uważają, że sąd orzeknie na naszą korzyść. Poza tym byłoby to przyznanie się do winy. A moja żona nie jest winna.

- W takim razie nie mamy o czym mówić - stwierdził Ben, zasłaniając Tess.

- Rozumiem - powiedział Bennett, opuszczając głowę. - Proszę jednak przyjąć wyrazy szczerego współczucia.

- Przykro mi - rzekł Ben po odejściu Bennettów, kładąc rękę na dłoni Tess. - Facet najwyraźniej chciał ulżyć swojemu sumieniu bez sięgania do portfela. Znajdziemy coś, żeby...

- Nie wiem, co robić - odezwała się nagle Tess, zasłaniając dłonią poraną bliznami twarz. - Do kogo pójść. To tak, jakbym w jednej chwili straciła wszystko, co miałam, co się dla mnie liczy.

- Miałaś nie tylko urodę - przerwał Ben łagodnym głosem. - Jesteś wspaniałym człowiekiem. Więcej zrobiłaś na rzecz dobroczynności niż jakakolwiek inna osoba, którą znam. Spędzasz dziesięć godzin tygodniowo, pracując z dziećmi w schronisku dla kobiet...

- Tego też już nie mogę robić - przerwała Tess. Łzy, które skutecznie powstrzymała w czasie przesłuchania, popłynęły teraz po jej policzkach. - Powiedzieli, że mam za dużo blizn. Dzieci się mnie boją. Powiedzieli... żebym więcej nie przychodziła - dokończyła łamiącym się głosem.

Ben poczuł, jakby ktoś wywiercał mu dziurę w piersi. Dopiero teraz dowiedział się, że

Tess nie może już pracować w schronisku. A więc straciła nie tylko pracę, ale także cel w życiu. Ona naprawdę straciła wszystko.

Absolutnie wszystko.

Ben miał w sądzie jeszcze kilka innych spraw, którym należało poświęcić uwagę: musiał złożyć wniosek w sprawie włamania i ustalić termin przesłuchania w sprawie Mary Mathers. W korytarzu spostrzegł sędziego Hart i schował się. Sędzia Hart nadal czekała na jego pisemne oświadczenie w sprawie spornego kontraktu Cantrella, a Ben nie chciał się tłumaczyć. Czasem miał wrażenie, że zajmuje się zbyt wieloma sprawami naraz, że wymykają mu się one z rąk. Czasem też zastanawiał się, jak to możliwe, że ma tyle pracy, a tak mało pieniędzy.

Po wyjściu z budynku sądu Ben wstąpił na chwilę do domu, żeby nakarmić Gizełę, a potem na jeszcze krótszą chwilę do baru, skąd wziął posiłek na wynos. Kiedy dotarł wreszcie do biura, było już ciemno.

Dzięki niestrudzonym i czasem niezupełnie legalnym wysiłkom swojego współpracownika, Lovinga, Ben znalazł nowe biuro w kompleksie Warren Place w południowej części Tulsy. I choć ze względu na niedostatki budżetowe było nadal nieumeblowane, w porównaniu ze starym biurem wyglądało jak hotel Ritz. Teraz należało tylko znaleźć odpowiednich do Ritza klientów.

Ben zdumiał się widząc, że cała trójka jego współpracowników nadal znajduje się w biurze. Christina McCall, asystentka Bena, i Jones, szef biura, siedzieli przy biurku pochyleni nad księgą przychodów i rozchodów.

- Co wy tam kombinujecie? - zaniepokoił się Ben.

- Ostatni dzień miesiąca - odparł Jones, nie podnosząc głowy. - Czas zrobić rachunki.

- I jak to wygląda? Tragicznie?

- Można tak powiedzieć. - Christina przesunęła ręką po grzywie włosów w kolorze truskawki. - Ledwie starczyło na pokrycie najważniejszych wydatków.

- To znaczy?...

- Mojej pensji.

- I mojej - dodał Jones. - Po odjęciu nie zostaje wiele.

- A należności? Czy można się czegoś spodziewać w najbliższej przyszłości?

- Miałem nadzieję, że dostaniemy pieniądze od Lauren Grimes, ale ona twierdzi, że zrezygnowałaś.

Ben skierował wzrok na sufit.

- Ona ma chore dziecko i naprawdę ledwo wiąże koniec z końcem...

- Madame Martel jest nam winna fortunę za zniesławienie, ale, jak rozumiem, zgodziłeś się, żeby uregulowała należność seansami wróżenia z fusów.

- To miła kobieta - wyjaśnił Ben. - Ale jej interesy kuleją od czasu tego artykułu w „World”...

- No więc na co liczysz, szefie? Potrzebujemy gotówki! Twardej gotówki!

- Jeśli o mnie chodzi, bardzo lubię te seanse - oświadczyła Christina. - Dzisiaj na przykład pani Martel wywróżyła mi, że daleko zajdę.

- Zawsze można mieć nadzieję - mruknął Jones.

- Powiedziała, że mam ruchliwą duszę.

- Na to chyba są jakieś tabletki. - Jones głośno zamknął księgę. - Jest jakaś szansa na szybkie otrzymanie wynagrodzenia za sprawę Tess Corrigan? Jedna trzecia odszkodowania to całkiem niezła sumka.

Ben wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie skończyliśmy przesłuchiwać naszych świadków...

- A nie można skłonić ich do ugody? Przekonać do ustalenia odszkodowania bez werdyktu przysięgłych? Musimy coś mieć na pokrycie wydatków w tym miesiącu.

- Proponujesz załatwić sprytnie sprawę, żeby szybko zarobić pieniądze?

- A czy nie po to tu jesteśmy?

Ben zmarszczył brwi.

- Nieważne. W tej chwili perspektywa ugody raczej się odsunęła.

- Przykro mi to słyszeć. Nie jestem pewien, czy uzbieramy pieniądze na czynsz.

- Chcesz powiedzieć, że w tym miesiącu nie kupimy sobie nowej ślicznej fotokopiarki?

- Można to tak ująć.

- A właściwie po co ci śliczna fotokopiarka? - wtrąciła Christina. - Jeśli już wreszcie zarobisz trochę pieniędzy, będziesz musiał je wydać na umeblowanie, bo to pomieszczenie wygląda jak cela w klasztorze, a nie biuro prawnicze.

- Ach, te kobiety - sarknął Jones. - O niczym innym nie myślą, tylko o dekoracjach.

- Zachowaj dla siebie ten męski szowinizm. Myślisz, że nie wiem, do czego wam, chłopcom, potrzebna nowa kopiarka? Myślisz, że nie widziałam, co robicie? ściągacie fotki z Internetu, a potem kombinujecie, co zrobić, żeby wyglądały jak prawdziwe. Robicie głupie miny i wkładacie je do kopiarki.

- Nic podobnego - zaprzeczył Ben.

- Akurat. Następnym razem nie zapomnij wyjąć odbitek z pudełka.

W holu ukazała się sylwetka Lovinga, stutrzydziestokilowego pomocnika Bena.

- Co słysząc na froncie, kapitanie?

- Mogłoby być lepiej. Mam dla ciebie robotę.

Loving zbliżył się.

- Po to tu jestem.

- Chciałbym, żebyś przyjrzał się dokładniej mężowi pozwanej, temu lekarzowi.

Nazywa się Edgar Bennett. Pochodź za nim, rozejrzyj się.

- Załatwione. Czego mam szukać?

- Sam chciałbym wiedzieć. Wydaje mi się, że coś jest z nim nie tak. Kiedy spojrzałem mu dzisiaj w oczy, odniosłem bardzo silne wrażenie, że... coś nie daje mu spokoju. Wolałbym wiedzieć, co to takiego.

Loving zsalutował słuźbiście.

- Według rozkazu, kapitanie.

- Dzięki.

Ben odwrócił się w samą porę, by dostrzec w drzwiach swoją klientkę, Tess Corrigan. Znow czekała go niezwykła próba charakteru, która polegała na patrzeniu w jej twarz.

- Przyniosłam zdjęcia - powiedziała cicho Tess.

Ben zaprowadził ją do swojego biura. Były to czarno-białe, profesjonalne fotografie z teczki modelki. Ben miał nadzieję, że uda mu się pokazać je sędziom, żeby uzmysłowili sobie różnicę między dawną Tess a obecną.

- Czy będę musiała jeszcze raz zeznawać? - spytała Tess.

Ben widział, że dziewczyna stara się panować nad sobą, ale za nic w świecie nie chciałyby znow stanąć na miejscu świadka.

- Nie - odparł. - Colby powiedział, że nie chce cię przesłuchiwać. Nic by mu to nie dało. Mógłby cię powołać podczas przesłuchiwania swoich świadków, ale to raczej wykluczone.

- Bogu dzięki - westchnęła z ulgą Tess. - Więc co dalej?

- Jutro rano powołam pozwaną. To świadek nieprzychylny, nie będzie chciała nic powiedzieć, ale muszę spróbować. Najważniejsze, co musimy zrobić, to udowodnić, że ona była winna.

- To niegłupia kobieta. Trudno będzie zastawić na nią pułapkę.

- Nie chodzi o zastawianie pułapek - odparł Ben. - Trzeba wydobyć na jaw prawdę. Jeśli uda mi się osłabić pozycję pani Bennett, może jej adwokat pójdzie na ugodę.

- I co wtedy?

- Wtedy zaczniemy negocjować. Postaramy się dostać to, o co nam chodzi.

- To znaczy?

Ben spojrzał jej w oczy.

- A czego pragnęłabyś najbardziej?

Tess nie odpowiedziała, lecz jej wzrok natychmiast powędrował w stronę zdjęcia na biurku. Fotografia przedstawiała promiennie uśmiechniętą, nieskazitelnie piękną Tess.

Chciała dokładnie tego, czego mieć nie mogła.

Następnego ranka Ben wezwał na świadka Peggy Bennett i ogłosił, że jest to świadek nieprzychylny. Dzięki temu mógł jej przerywać, kwestionować wypowiedzi, łapać za słowa. I mieć nadzieję, że poprawi w ten sposób sytuację Tess.

- Czy mogłaby pani wyjaśnić, dlaczego jechała samochodem o pierwszej w nocy?

- Wiozłam męża do szpitala. Dostał pilne wezwanie.

Peggy Bennett siedziała wyprostowana, niczym nie zdradzając zdenerwowania. Była szczupła i całkiem atrakcyjna jak na swój wiek. Ben czuł się, jakby przesłuchiwał Nancy Reagan.

- Czy nie mógł sam prowadzić?

- Mógł, ale dzięki temu, że ja prowadziłam, on miał szansę jeszcze się chwilę przespać.

- Po drodze do szpitala? Przecież to nie więcej jak dziesięć minut.

- Dziesięć minut snu to ogromna różnica dla chirurga, który musi zachować najwyższą koncentrację.

- Ale pani nie zawsze może podwozić męża do szpitala?

- To prawda.

- Sugeruje więc pani, że czasami, kiedy operuje, nie jest skoncentrowany?

- Sprzeciw! - zawołał Colby, zrywając się na nogi. - To nieistotne dla sprawy i obraźliwe.

- Podtrzymuję z powodu tego pierwszego - powiedział Hawkins, mrugając szybko. Ben nie był pewien, czy to z nieśmiałości, czy ze zmęczenia.

- Pani Bennett, powiedziała pani, że otrzymał pilne wezwanie ze szpitala - ciągnął Ben. - Należy przypuszczać, że mąż miał się stawić tam jak najprędzej. Czy jechała pani bardzo szybko?

- Ależ skąd. Każde wezwanie ze szpitala jest pilne. Jestem do tego przyzwyczajona.

- Ale przekroczyła pani limit prędkości.

- Na pewno nie. Jechałam na granicy dozwolonej prędkości, ale nie szybciej.

- Kiedy zauważyła pani samochód mojej klientki?

- Na chwilę przed zderzeniem.

- Czemu nie wcześniej?

- Może się przejeżdżałam. - Pani Bennett wygładziła fałdę sukienki. - Widziałam samochód, ale był na przeciwległym pasie. Nie mogłam przypuszczać, że skręci prosto na mnie.

- Dlaczego nie spostrzegła jej pani wcześniej? Czy nie zwracała pani uwagi, co się dzieje na drodze?

- Oczywiście, że zwracałam uwagę. To przecież obowiązek kierowcy.

- Czy jest pani pewna, że nic nie odciągnęło jej uwagi? Może prowadziła pani ożywioną dyskusję z mężem?

- Już mówiłam, że spał.

Ben zadawał pytania, które daleko wykraczały poza to, co pani Bennett stwierdziła we wstępnym oświadczeniu. To zawsze jest niebezpieczne, ale musiał coś znaleźć.

- A może rozmawiała pani przez telefon?

- Nie mam telefonu w samochodzie. - Spojrzała na Bena jak na idiotę. - Mój mąż ma telefon komórkowy, jak większość lekarzy, ale nie zabrał go ze sobą tej nocy. Byłam w pełni świadoma tego, co się dzieje na drodze. Ale to mi nie pomogło, kiedy pańska klientka skręciła nagle na mój pas.

Ben westchnął. Walił głową w mur i dobrze o tym wiedział. Czas zmienić temat.

- Co pani zrobiła po wypadku?

- Byłam oszołomiona i dość mocno poturbowana. - Przerwałaby zerknąć przelotnie na Tess. - Ale o wiele mniej niż kobieta w tamtym samochodzie. Edgar, rzecz jasna, obudził się. Pokuśtykał do najbliższego domu i wezwał karetkę. Przyjechały dwie. Pierwsza zabrała pannę Corrigan, a my pojechaliśmy drugą.

- Czy karetki zawiozły państwa do szpitala, w którym pracuje mąż?

- Oczywiście. Szpital St. Francis. Opatrzono mi lekkie rany głowy i zadrapania na ramieniu. Mąż miał głęboką ranę na nodze. Zrobili nam tomografię mózgu, żeby sprawdzić, czy nie doznaliśmy głębokich obrażeń, i puścili do domu.

- Ale Tess Corrigan nie mogła wrócić tej nocy do domu, prawda?

- Nie. O ile wiem, musiała zostać w szpitalu jeszcze kilka tygodni. Jej obrażenia były znacznie poważniejsze.

Nie mając pomysłu na dalsze pytania, Ben musiał zwolnić panią Bennett. Czynił to niechętnie, bo wiedział, że nie udało mu się dowiedzieć, że to ona spowodowała wypadek.

Następnym świadkiem była Maria Verluna, kobieta znacznie młodsza od pani Bennett, nieco po trzydziestce. Miała czarne włosy i ciemną karnację skóry. Wskazywało to, że pochodzi z Ameryki Łacińskiej.

- Proszę powiedzieć, czym się pani zajmuje.

- Pracuję w izbie przyjęć w szpitalu St. Francis. Jestem pielęgniarką.

Ben zauważył, że Maria kręci nerwowo młynka palcami. Każdy się denerwuje, kiedy usiądzie na tym fotelu.

- Czy pracowała pani nocą piętnastego marca?

- Tak. Przez cały tydzień miałam nocne dyżury - wyjaśniła Maria. W jej wymowie nie było ani śladu obcego akcentu.

- Czy przyjmowała pani Tess Corrigan?

- Nie. Przyszłam do pracy o pierwszej czterdzieści, a pannę Corrigan przywieziono nieco wcześniej.

- A czy była pani obecna przy tym, jak przyjechała karetka z państwem Bennett?

- Tak.

- Przypuszczam, że poznała pani doktora Bennetta. Pracujecie państwo w tym samym szpitalu.

- Tak - odparła Maria po ledwie zauważalnej chwili wahania. - Tak, poznałam go.

- Czy była pani obecna przy badaniu?

- Oczywiście. Badanie przeprowadził doktor Ferguson, a ja opatrzyłam rany.

- Proszę o tym opowiedzieć.

Ben skrzyżował ręce na piersi. Znów musiał wkroczyć na nieznany teren, łamiąc tym samym jedną z kardynalnych zasad prawnika procesowego: nie zadawaj pytania, jeśli nie znasz na nie odpowiedzi. Ale w tej chwili musiał próbować wszystkiego.

- Czy dostrzegła pani coś szczególnego w zachowaniu państwa Bennett?

Maria uniosła brwi.

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

To jest nas dwoje, pomyślał Ben.

- Jakieś gesty albo słowa.

- Nie sądzę.

- Czy zauważyła pani coś, co świadczyłoby, że pili alkohol?

- Z całą pewnością nie.

- Czy wahała pani ich oddech?

- Nie, ale na pewno wyczułabym, gdyby pili.

- Ale nie jest pani całkiem pewna?

- Jestem - powiedziała, zerkając szybko na doktora Bennetta. To ciekawe, pomyślał Ben. Dlaczego na niego spojrzała? - Pobraliśmy próbki krwi od państwa Bennett, i na prośbę policji sprawdziliśmy krew pani Bennett. Nie wykryliśmy alkoholu.

- Jest pani tego pewna?

- Powtórzyliśmy badanie dwa razy, bo taka jest standardowa procedura przy wypadkach drogowych. Pani Bennett nie piła alkoholu.

- Czy Bennettowie mówili coś o wypadku?

- Wydaje mi się, że pani Bennett nic nie mówiła, odpowiadała tylko na pytania.

- A jej mąż?

Maria potrząsnęła głową.

- Edgar też się nie odzywał.

Powiedziała Edgar, nie doktor Bennett, zauważył Ben. Edgar. Trzeba to zapamiętać.

Ben zadawał pytania jeszcze przez dziesięć minut, licząc na to, że coś odkryje. Jednak Maria odpowiadała bardzo ostrożnie, starając się nie powiedzieć czegoś, co mogłoby komukolwiek zaszkodzić. Ben nic od niej nie wydobył. Potrzebował strzału w dziesiątkę, a na razie wszystkie pociski szybowały daleko od tarczy.

Podczas popołudniowej przerwy, wyszedłszy z toalety, Ben spostrzegł Bennettów na korytarzu przed salą. Pani Bennett szła pospiesznie w stronę męża z okazałą walizką w rękach.

- Czy to moje? - spytał Bennett.

- Tak. Przysłali ze szpitala. Powiedzieli, że...

Bennett szybkim ruchem odebrał walizkę.

Peggy Bennett zmarszczyła brwi.

- Mogę ponieść twoją walizkę.

- Nie musisz. Jeszcze ci się coś stanie.

Bennett rozejrzał się po korytarzu i zauważył Bena. Ten odwrócił głowę.

Po chwili Ben poczuł szarpnięcie za rękaw. To był Colby.

- Moglibyśmy chwilę porozmawiać?

- Jeśli musisz.

Poszli na koniec korytarza.

- Nadal jesteśmy skłonni do zawarcia uczciwej ugody. Tak samo jak przed

rozpoczęciem procesu.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów? Chyba żartujesz.

- To hojna oferta.

- Nie wystarczy nawet na pokrycie rachunku za pobyt w szpitalu po wypadku!

- Kincaid, kiedy wreszcie dotrze do ciebie, że nie masz żadnych dowodów? To, co stało się twojej klientce, jest straszne, ale nie ma w tym najmniejszej winy mojej klientki. A nawet gdyby była, to nie możesz tego udowodnić.

- Nic z tego. Musi być jakiś sposób.

- Zejdz na ziemię, Kincaid. Chcę ci zrobić przysługę.

- Nieprawda. Próbujesz wyciągnąć swoją bogatą klientkę z tarapatów.

- Jeśli nie przyjmiesz mojej oferty, twoja klientka nie dostanie nic!

Ben ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć tego, co cisnęło mu się na usta. Nie zapomniał o ostrzeżeniu sędziego. Najgorsze było to, że Colby mógł mieć rację.

- Dlaczego to robisz? Czemu uparłeś się, żeby w tej sprawie nie ustąpić?

Colby wyprostował się.

- Zawsze staram się reprezentować swoich klientów najlepiej, jak potrafię.

- Tym razem nie chodzi o potężną firmę, dla jakich zazwyczaj pracujesz, Colby. Tess Corrigan to żywy człowiek.

- Coś insynuujesz.

- Dlaczego w ogóle wzięłeś tę sprawę?

- Chyba nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Jesteś jednym z czołowych prawników w swojej firmie. Ile sobie liczysz za godzinę? Dwieście dolarów? Rozumiem, że twoja firma reprezentuje ubezpieczyciela, ale ta sprawa to drobiazg. Nie masz czegoś grubszego?

Colby uśmiechnął się nieznacznie.

- Doktor Bennett jest przewodniczącym Stowarzyszenia Sztuki Medycznej Uniwersytetu Yale.

- Aha. Więc zniżyłeś loty do sprawy o zwykłe odszkodowanie po to, żeby zrobić wrażenie na doktorze Bennecie z nadzieją zdobycia kolejnych bogatych klientów.

- Nie ujmowałbym tego w ten sposób.

- Gdybyś był rozsądny, moglibyśmy załatwić sprawę bez procesu, nie wydając ani centa na zbieranie materiałów. Ale nie o to ci chodziło. Wspólnicy z firmy Raven, Tucker & Tubb nie byliby zadowoleni, a ty nie nabiłbyś sobie godzin, rozdmuchując do granic możliwości najprostsze przesłuchanie.

- Łyso ci, Kincaid? Ty też pracowałeś u Ravena, ale cię wylali - odparł Colby ze złośliwym uśmieszkiem. - Teraz jesteś na swoim i cieniutko przędziesz.

- To prawda - przyznał Ben. - Ale za to lepiej sypiam.

Ben przesłuchał pozostałych świadków: policjanta, który pierwszy przybył na miejsce wypadku i mieszkańca domu, z którego dzwonił Bennett. Robił co mógł, ale niewiele wskórał. Nie zbliżył się ani o cal do udowodnienia odpowiedzialności pani Bennett za wypadek, a bez tego - o czym dobrze wiedział - nie miał cienia szansy na zwycięstwo. A groźba werdyktu sędziowskiego wisiała mu nadal nad głową.

Ben zabębnił palcami o dach pikapa Lovinga.

- Czy wszystkie noce są równie ekscytujące?

Loving wyjął jedną słuchawkę z ucha.

- Mniej więcej.

- O rany - westchnął Ben, kręcąc się na fotelu. - Gdybym wiedział, jakie to nudne, nie prosiłbym cię o śledzenie kogokolwiek.

- E, nie jest aż tak źle - odparł Loving, wciskając przycisk „stop” w walkmanie. - Można trochę odpocząć, pomyśleć. I posłuchać książek z kasy.

Ben uniósł brwi.

- Książek?

Loving wyprostował swoje potężne ciało.

- Tak, a co?

- Chcesz powiedzieć, że słuchasz...

- A czemu nie? Myślisz, że tylko ty umiesz czytać?

- Nie, ale...

- Niby po co według ciebie noszę te słuchawki? Dla ozdoby?

- Myślałem, że słuchasz muzyki.

- Rozumiem. Jestem wielkie chłopisko i nie chodziłem do college'u, więc uważasz, że spędzam czas, upijając się przy muzyce country?

- Ja tego nie powiedziałem.

Loving skrzyżował ręce na piersiach.

- Czuję się dotknięty, kapitanie. Dotknięty do żywego.

Ben przyłożył dłoń do czoła. Jak mógł się w to wpakować?

- Słuchaj, Loving, ja naprawdę nie chciałem podawać w wątpliwość twojej sprawności intelektualnej...

- Cii. - Loving wyteżył wzrok. - Wychodzi.

Nawet z tej odległości Ben widział, jak doktor Edgar Bennett otwiera frontowe drzwi, zbliża się do samochodu i wsiada do naprawionego forda expedition. Chwilę później jechali za nim.

- Światła w domu są zgaszone - mruknął Ben. - Żona chyba śpi. Ciekawe, dokąd się kochany doktor wybiera?

Bennett skręcił w Riverside Drive; Loving trzymał się za nim w bezpiecznej odległości.

- Pewnie jedzie do szpitala - rzucił.

- Może. Zobaczymy.

Z Riverside skręcili w Dwudziestą Pierwszą. Wydawało się, że doktor rzeczywiście zmierza do szpitala, gdy nieoczekiwanie skręcił ostro w prawo.

- Jeśli jedzie do szpitala - zauważył Ben - to chyba stara się wybierać najbardziej malowniczą drogę.

Kilka minut później doktor Bennett zatrzymał się przed wjazdem do niewielkiego parterowego domku. Loving minął samochód doktora i zaparkował nieco dalej, po przeciwnej stronie ulicy.

Bennett zbliżył się do drzwi, które po chwili się otworzyły.

- Jest środek nocy, żona śpi, a on kogoś odwiedza - mruknął Ben. - Musimy się dowiedzieć, kto tu mieszka.

- Już się robi.

Loving wybrał numer na swoim telefonie komórkowym.

- Maggie? Wiedziałem, że nie śpisz. Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić? - Nastąpiła krótka wymiana uprzejmych zdań, zdaniem Bena niezbyt przekonujących. Na szczęście Loving dopiął w końcu swego. - Tak. Czy mogłabyś zerknąć do książki i sprawdzić, kto mieszka na South Bridgewater dwanaście czterdzieści pięć?

Odpowiedź przyszła szybko.

- Dziękuję, Maggie.

Loving wcisnął guzik „end”.

- No i co? - spytał niecierpliwie Ben.

Loving obdarzył go szerokim uśmiechem.

- Jestem pewien, że ci się to spodoba. - Zawiesił na chwilę głos. - Maria Verluna.

Następnego dnia rano Ben zaskoczył wszystkich, powołując ponownie na świadka

pielęgniarkę Marię Verlungę.

- Pani Verluna, nie będę owijał w bawełnę. Ma pani romans z doktorem Bennettem, prawda?

Sędziowie przysięgli zareagowali prawie tak samo, jak kobieta na miejscu świadka.

- Słucham? Co pan...

- Proszę oszczędzić sobie niepotrzebnego kłopotu. Polecilem śledzić pani dom. Wiem, że wczoraj w nocy doktor Bennett odwiedził panią. Prawda? Przyjechał koło północy i wyszedł przed świtem. - Ben przerwał na chwilę. - Przypuszczam, że nie grali państwo w warcaby.

Maria otworzyła usta.

- Ale ja nadal...

- Proszę pani, widział to jeszcze ktoś. Prywatny detektyw. Mogę powołać go na świadka i wtedy sędziowie poznają wszystkie brzydkie szczegóły. On ma nawet zdjęcia.

Maria odezwała się po dłuższej chwili:

- Nie ma w tym nic brzydkiego. Edgar i ja kochamy się.

- Oczywiście, ale to nie ma nic do rzeczy. Dlaczego nie powiedziała pani przysięgłym, że ma romans z mężem pozwanej?

- Bałam się... - Skierowała wzrok na ręce. - Bałam się, że jeżeli poznają prawdę, mogą mi nie uwierzyć.

- No cóż, może miała pani rację. Ale wydaje mi się, że było w tym coś więcej. Myślę, że pani próbowała coś ukryć.

- Wysoki Sądzie - powiedział Colby, wstając. - Czy to ma związek ze sprawą? Pan Kincaid wyciąga to wszystko na jaw, aby ukryć brak dowodów.

Sędzia Hawkins przechylił lekko głowę.

- Ma prawo podważać zeznanie świadka przeciwnej strony. Uchylam sprzeciw.

Czyżbym w końcu coś wygrał? - pomyślał Ben. W samą porę.

- Pani Verluna, proszę mówić prawdę. Doktor Bennett był u pani tej nocy, gdy zdarzył się wypadek, prawda?

- Co? Dlaczego pan uważa...

- Powiem pani, dlaczego. Nie mogłem znaleźć wytłumaczenia, dlaczego doktor Bennett nie miał wtedy przy sobie telefonu. A przecież jest lekarzem, i to nie byle jakim. Musi nosić telefon. Zawsze zabiera go ze sobą do sądu, dlaczego zatem nie miał go tamtej nocy? Ano dlatego, że nie wyjeżdżał ze swojego domu, tylko od pani. Prawda?

Maria zawahała się.

- Ja nie wiem, czy...

- Czy to prawda? - nalegał Ben.

- Musi pan zrozumieć...

- Pani Verluna, proszę powiedzieć, czy to prawda?

Maria odpowiedziała niemal szeptem.

- To prawda.

Colby wstał.

- Wysoki Sądzie, ponawiam sprzeciw. Jakie to ma znaczenie, skąd doktor Bennett wyjeżdżał do szpitala? Przecież on nawet nie prowadził tego samochodu.

- Zeznanie mojego następnego świadka wszystko wyjaśni, Wysoki Sądzie. Proszę dać mi pięć minut. Tylko tyle.

Sędzia ściągnął wargi i zmarszczył brwi, ale w końcu skinął głową.

- Uchylam sprzeciw.

- Dziękuję.

Ben zwolnił Marię.

- Powołuję na świadka Peggy Bennett.

Poruszenie, jakie zapanowało w sądzie, było niemal dotykalne. Pani Bennett zajęła miejsce. W ciągu kilku minut sprawa, która wydawała się przesądzona, przybrała zupełnie inny obrót. A to był dopiero początek.

- Pani Bennett, słyszała pani zeznanie poprzedniego świadka, prawda?

Twarz kobiety pozostała niewzruszona, ale na ustach pojawił się ledwie zauważalny gorzki wyraz, którego przedtem z pewnością tam nie było.

- Słyszałam.

- Większość obecnych była zaskoczona tym zeznaniem. Ale pani nie, prawda?

Usta pani Bennett rozchyliły się powoli.

- Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli.

- Wiedziała pani, że mąż ma romans. Wie pani o tym od pewnego czasu, prawda?

- Czemu pan tak uważa?

- Mam wrażenie, że nie rozumie pani obowiązujących tutaj procedur. To ja zadaję pytania, a pani musi na nie odpowiadać. Wiedziała pani o romansie męża, prawda?

Milczenie pani Bennett ciągnęło się jak wieczność.

- Wiedziałam.

- Musiała pani wiedzieć, bo tamtej nocy przyjechała pani po niego do domu Marii, prawda?

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej.

- Odebrałam telefon ze szpitala. Wzywali męża, a on nie miał przy sobie ani pagera, ani telefonu. Musiałam więc pojechać i... zabrać go stamtąd.

- Z domu Marii Verluny.

- Tak - potwierdziła, zamykając oczy.

- I przez cały czas nie powiedziała pani ani słowa o romansie, prawda? Ochraniała go pani.

Pani Bennett skinęła głową.

- I nadal pani to robi.

Otworzyła oczy.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Myślę, że pani wie. Nie chroni pani męża przed niesławą z powodu romansu. Chce go pani uchronić przed odpowiedzialnością, bo to właśnie pani mąż prowadził tej nocy i to on wjechał na samochód Tess Corrigan.

Po sali przeszedł głośny szmer. Poruszyły się głowy, sędziowie otworzyli szerzej oczy i pochylili się w stronę świadka, niektórzy z otwartymi ustami.

Pani Bennett drżącą dłonią oparła się o poręcz.

- Pan chwyta się wszystkiego, żeby tylko pomóc swojej klientce. Nie wiem, o czym pan mówi.

- Myślę, że pani wie. Widzi pani, przez kilka dni miałem okazję obserwować, jak mąż panią traktuje. Mogę więc powiedzieć pani coś, o czym pani i tak już wie. On jest męskim szowinistą, i to nie byle jakim. Nigdy nie uwierzę w to, że pozwolił pani prowadzić wóz, bez względu na to, jak był zmęczony. To on prowadził.

- Pan oszalał. - Pani Bennett spojrzała błagalnie na sędziego. - Czy ja naprawdę muszę tego słuchać?

- Obawiam się, że tak - odpowiedział szybko Ben. - Bo nie doszliśmy jeszcze do najgorszego. Jest pewien brzydki szczegół, o którym dotąd nie wspomniałem. Pani mąż wyszedł od Marii Verluny... nietrzeźwy.

- Co? - Stalowa maska na twarzy Peggy Bennett zaczynała się powoli rozplýwać. - To... to nieprawda.

- Nie wiem, dlaczego pił - ciągnął Ben. - Może zjedli późno kolację. Może alkohol go pobudzał, tego nie wiem. Ale jestem absolutnie pewien, że był nietrzeźwy.

- To niedorzeczność. Gdyby był pijany, nie pozwoliłabym mu... - pani Bennett przerwała raptownie.

- Prowadzić? - Ben skinął głową. - Tak właśnie myślałem. Tak, jestem pewien, że ze wszystkich sił próbowała go pani powstrzymać. Ale on nie chciał o tym słyszeć. Nie taki twardziel, jak on. Mąż nie pozwala się pani odezwać ani nawet nieść swojej walizki. Nie ma mowy, żeby pozwolił pani prowadzić. Usiadł za kierownicą po pijanemu, jechał za szybko i zobaczył samochód Tess Corrigan, gdy było już za późno!

- Nie! Nie może pan tego udowodnić!

- Chyba jednak mogę. - Ben wrócił do stolika i podniósł stos żółtych formularzy. - Jak zeznała Maria Verluna, zbadano pani krew i nie wykryto obecności alkoholu. Nic w tym dziwnego - pani przecież nie piła, prawda? A ponieważ doktor Bennett nie prowadził, nie zbadano jego krwi. Nie zapomnieli jednak zostawić w lodówce próbki jego krwi, bo tego wymaga procedura postępowania po wypadku. Zleciłem wykonanie badań dzisiaj rano. - Ben podał formularze woźnemu, a ten przekazał je pani Bennett. - I proszę zgadnąć, co się okazało? Dopuszczalny poziom alkoholu we krwi był przekroczony trzykrotnie. Pani mąż musiał wypić trzy czwarte butelki czerwonego wina.

Ben odwrócił się w stronę ławy przysięgłych.

- Nic dziwnego, że prowadził tak, jak prowadził.

Pani Bennett wpatrywała się w formularze. Na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy.

- To musi być pomyłka...

- Nie ma mowy o pomyłce, proszę pani. Powtórzyliśmy testy dwa razy. - Ben zbliżył się o krok do stanowiska świadka. - To pani mąż prowadził, prawda?

Peggy Bennett uniosła głowę. Po jej policzku spłynęła łza.

- Próbowałam go od tego odwieść, proponowałam, że to ja poprowadzę. Ale nie chciał mnie słuchać. - Pani Bennett patrzyła na Bena błagalnym wzrokiem. - Staralam się, ale on nie chciał mnie posłuchać.

- Dziękuję - powiedział cicho Ben. - Dziękuję za to, że powiedziała pani prawdę.

Ben oparł rękę na balustradzie.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, pani Bennett. Dlaczego? Dlaczego próbowała go pani chronić? Czemu pani dla niego kłamała, biorąc winę na siebie?

Peggy Bennett patrzyła na Bena pustym wzrokiem, jak gdyby odpowiedź była tak oczywista, że aż zbędna.

- On jest moim mężem - odparła.

- Ale... - Ben starał się znaleźć odpowiednie słowa. - Sposób, w jaki panią traktował, to co robił...

Z oczu Peggy Bennett popłynęły łzy.

On jest wszystkim, co mam.

Dziesięć minut później Ben i Colby zjawili się w gabinecie sędziego Hawkinsa.

- Chcę złożyć wniosek - oświadczył Colby.

- Tak mi się zdawało - rzekł sędzia. - Proszę.

- Wnoszę o oddalenie sprawy - powiedział Colby beznamiętnym tonem. -

Przygotowanie wniosku nie potrwa długo.

- Co takiego? - Ben zerwał się z krzesła. - Przyznała się. Udowodniłem bezpośrednią odpowiedzialność...

- Edgara Bennetta. Ale tak się składa, że to nie on jest pozwany, prawda? Miałeś udowodnić odpowiedzialność Peggy Bennett, a ona jest bez winy.

- Obawiam się, że muszę się zgodzić z tym argumentem - rzekł sędzia. - Gdyby pan prowadził postępowanie przeciwko obojgu, rozprawa mogłaby trwać. Ale jest inaczej i muszę zwolnić tego drania.

- Ale musi być jakiś sposób...

Hawkins uniósł dłoń.

- Nie ma żadnych, panie mecenasie. Prowadził pan sprawę przeciwko niewłaściwej osobie. Oddalam sprawę.

Po powrocie na salę rozpraw Ben naradził się z klientką. Później podszedł do Colby'ego i Bennetta.

- Nie myślcie przypadkiem, że to koniec. Złożę następny pozew, tym razem przeciwko doktorowi Bennettowi.

- Nie wątpię - odparł Colby ze znudzoną miną. - Wszystko zacznie się od nowa. Może za pół roku sprawa znajdzie się na wokandzie, jeśli będziesz miał szczęście. Rzecz jasna, my nie będziemy ci tego ułatwiać.

- To nie jest zabawa - powiedział Ben. - Moja klientka została ciężko zraniona.

- A nawet gdybyś wygrał proces - ciągnął Colby - będziemy się odwoływać. Ile trzeba czekać na rozpatrzenie sprawy przez sąd apelacyjny? Dwa lata? A jeśli przegramy i tam, odwołamy się do Sądu Najwyższego stanu Oklahoma, co zabierze kolejne dwa lata. Tak więc, Kincaid, będziesz musiał poczekać pięć lat, zanim zobaczysz pieniądze. A przez ten czas doktor Bennett będzie przekazywał pieniądze na konto żony i firm, w których ma udziały, co sprawi, że nie będzie mógł zapłacić odszkodowania.

- Nie wolno inwestować w celu uniknięcia płatności zasądzonej przez sąd. Ustalę, skąd i gdzie trafiły pieniądze.

- Możesz próbować, ale to także potrwa.

Ben zacisnął zęby. Pochylił się i spojrział doktorowi Bennettowi prosto w oczy.

- Czy nie ma pan poczucia odpowiedzialności za to, co zrobił? Nie rozumie pan, że zrujnował komuś życie?

- Ja reprezentuję doktora Bennetta - powiedział Colby, wstając. - Jeśli chcesz coś powiedzieć, mów do mnie.

- Dobrze, powiem ci coś. - Ben wyprostował się. - Jak się czujesz, patrząc w lustro? Colby wzruszył ramionami.

- Daj spokój, Kincaid. Przegrałeś i nie umiesz się z tym pogodzić. To denerwujące.

- Tu nie chodzi o to, kto wygrał, a kto przegrał.

- Nie, chodzi o reprezentowanie klienta. A ja to właśnie robię. Kodeks postępowania zawodowego zobowiązuje nas do obrony klienta najlepiej, jak potrafimy.

- Mam powyżej uszu tych, którzy etykę zawodową traktują jak zieloną kartę w grze w „Monopol”, uprawniającą do wyjścia z więzienia. Kodeks miał się przyczynić do podniesienia świadomości moralnej prawników, a stał się wymówką dla tych, którzy uciekają się do najbardziej bezwstydných sztuczek, aby wygrać za wszelką cenę. Nie po to tutaj jesteśmy!

Colby próbował ominąć Bena.

- To staje się męczące, Kincaid. Przepraszam...

- Jeszcze nie. Chcę porozmawiać z twoim klientem. A ponieważ tak cenny dla ciebie kodeks postępowania zawodowego stanowi, że nie mogę tego uczynić bez twojej obecności, proszę, żebyś został. - Ben przykucnął przed stolikiem, aby patrzeć Bennettowi prosto w oczy. - Chciałbym panu powiedzieć dwie rzeczy, doktorze Bennett. Po pierwsze, nie zostawię tej sprawy. Nie obchodzi mnie, jakie klody będzie mi rzucać pod nogi potężna firma Colby'ego. Nie dam za wygraną, dopóki nie zapłaci pan za to, co zrobił.

Ben zaczerpnął głęboko powietrza.

- Po drugie, od tej chwili aż do dnia, kiedy zapłaci pan odszkodowanie, zamienię pańskie życie w piekło!

- Panie Kincaid! - zawołał Colby.

- To będzie moja kruczjata, doktorze Bennett. Dopilnuję, żeby każdy obywatel tego miasta dowiedział się, że jadąc samochodem po pijanemu zranił pan kobietę i uchyla się od odpowiedzialności za to. Nie prześpi pan spokojnie ani jednej nocy. Nie dam panu chwili wytchnienia.

Colby wcisnął się w środek.

- Kincaid, twoje zachowanie jest niedopuszczalne. Zaskarżę cię przed komisją etyki

zawodowej.

- Możesz mnie zaskarżyć choćby przed samym diabłem, Colby. Nie boję się ciebie ani twojej firmy. - Ben jeszcze raz spojrział Bennettowi w oczy. - Ja nie rzucam słów na wiatr.

Doktor Bennett powoli, jakby z bólem otworzył usta.

- Czego pan chce?

- Już powiedziałem - odparł bez wahania Ben. - Pięćset tysięcy dolarów odszkodowania. Ani centa mniej.

Bennett potrząsnął głową.

- Nie mogę tego zrobić.

- Ma pan dziesięć razy więcej.

- Nie o to chodzi. Jeśli przyjmę pańskie warunki, będzie to równoznaczne z przyznaniem się do tego, że prowadziłem po pijanemu i o mało kogoś nie zabiłem. Wyrzucą mnie ze szpitala. Może nawet odbiorą prawo wykonywania zawodu.

- W umowie nie będzie wzmianki o przyznaniu się do winy.

- To nie ma znaczenia. Ludzie i tak będą wiedzieć. - Bennett wziął głęboki oddech. - Nie mogę zapłacić pańskiej klientce ani centa.

Powoli, jakby z wahaniem Bennett wstał z krzesła. Colby złapał walizkę i podążył za nim. Ben patrzył, jak odchodzą, wiedział, że nie zobaczy żadnego z nich przez długie miesiące, a spełnienie nadziei Tess odsunie się na lata.

- Proszę poczekać - powiedział Ben, kiedy tamci dochodzili do drzwi. - Mam inną propozycję.

W głównym biurowym pokoju zebrali się wszyscy pracownicy: Christina, Loving i Jones.

- No dobrze, Ben, gadaj - zaczęła Christina. - Co to za tajemnicę przed nami ukrywasz?

Ben uśmiechnął się.

- Powiem wam, jak tylko... - Przerwał nagle i spojrział w stronę drzwi. - Wejdz, Tess.

Tess Corrigan weszła do pokoju. Nie miała już bandaża, ale jej twarz nadal była poorana bliznami.

- Podobno chciałeś się ze mną widzieć?

Ben skinął głową.

- Doktor Bennett zaproponował ugodę.

Tess otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę?

- Decyzja należy do ciebie. Ale od razu cię uprzedzam: nie będzie żadnych pieniędzy. Bennett nie zgadza się zapłacić ani centa i jest gotów bronić się przed tym do upadłego, choćby przez pięć lat.

Oczy Tess pociemniały.

- Zaproponowałem więc, że skoro nie chce zapłacić gotówką, mógłby załatwić ci operację plastyczną. W końcu jest lekarzem. Zna innych lekarzy. Oni wyświadczają sobie nawzajem przysługi, i to prawie za darmo. Operacja kosztowałaby cię miliony, a Bennett może to załatwić taniej, może nawet za mniej niż pięćset tysięcy, o które walczyliśmy.

- I zgodził się?

- Tak. Jeśli przyjmiesz te warunki, Bennett pokryje wszystkie koszty leczenia, bez względu na ich wysokość, dopóki nie będziesz wyglądać tak, jak na zdjęciach.

Oczy Tess rozszerzyły się. Rozchyliła usta.

- Nie wiem, co powiedzieć...

- Nie musisz się zgadzać. Jestem gotów walczyć tak długo, aż...

- Zgodził się naprawić mi twarz? Naprawdę?

- Naprawdę. Jeśli ty tego zechcesz.

- Jeśli zechcę? O niczym więcej nie marzyłam. - Po policzkach Tess popłynęły łzy. - Na co mi pieniądze? I tak by ich nie wystarczyło. Chciałam tylko odzyskać twarz... i uśmiech.

Zarzuciła Benowi ramiona na szyję i uściskała go mocno.

- Czy to oznacza, że... mam przyjąć tę propozycję?

Tess roześmiała się i ucałowała go mocno w policzek.

- Tak. I to jak najprędzej. - Zniekształconą twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - Nie wiem, jak ci dziękować.

Ben uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Ja tylko wykonuję swoją pracę.

Po wyjściu Tess Jones pochylił się nad stołem konferencyjnym.

- Chciałbym zadać jedno pytanie.

Ben poluzował krawat.

- Założę się, że wiem, o co chcesz zapytać.

- Jak się nalicza prowizję od obietnicy przeprowadzenia operacji plastycznej?

Ben z nagłym zainteresowaniem zapatrzył się w bliżej nieokreślony punkt na ścianie.

- Hm... Nie nalicza się.

- Sytuacja wygląda więc z grubsza tak - odezwała się Christina. - Finansowo leżymy na obie łopatki, poświęciliśmy tej sprawie sześć miesięcy i nie dostaniemy za to ani centa.

Ben odchrząknął.

- Hmm... Tak, można powiedzieć, że... to prawda.

Christina potrząsnęła głową. Wstała, podeszła do Bena i złożyła na jego policzku soczysty pocałunek. Taki sam, jak Tess kilka minut wcześniej.

- Ty kochany głuptasie.

Ben zerknął na nią spod oka.

- A więc... nie jesteś na mnie wściekła?

Christina uśmiechnęła się.

- Jak można być na ciebie wściekłym?

- Myślę... - zaczął Jones.

- Nie musisz odpowiadać na to pytanie. - Christina spojrzała znów na Bena. - Jakoś zapłacimy czynsz. A kopiarka może poczekać.

- Moja szafa też - mruknął Jones.

- Najważniejsze - powiedziała Christina - że klientka dostała to, czego pragnęła. A właściwie, czego potrzebowała. A przecież po to tu jesteśmy, prawda?

Ben spojrzał na współpracownicę z uśmiechem. On sam nie ująłby tego lepiej.

Posłowie

Adwokaci zajmujący się sprawami cywilnymi muszą się borykać z pewnym szczególnie niemiłym problemem, który często bywa źródłem wzajemnej niechęci między prawnikiem i klientem: ten ostatni bowiem nigdy nie dostaje tyle, ile by chciał. Trzeba godzić się na kompromisy, a jeśli sąd nakaże wypłatę odszkodowania, strony rychło przekonują się, że pieniądze - jedyne zadośćuczynienie przyznawane przez sądy cywilne - nie mogą naprawić wszystkiego. Jako adwokat przekonałem się, że do najlepszych rozwiązań prawnicy dochodzą wówczas, gdy udaje im się zneutralizować finansowy aspekt sprawy. Wtedy zdarzają się szczęśliwe ugody, w dłuższej perspektywie znacznie lepsze niż pieniężne odszkodowania. Postawiłem więc Benowi innego rodzaju zadanie, wymagające od niego twórczej energii, która pozwoliła nadać nowe znaczenie słowu „sprawiedliwość”.

William Bernhardt

MICHAEL A. KAHN

Co się wydarzyło w okręgu Cook

Oto historia, która z pewnością nie zyska aprobaty Narodowej Rady Sędziowskiej. Mimo to warto zagłębić się w przewrotną wizję Michaela Kahna i poznać Harry'ego L. Stubbsa, niezwykłego sędziego federalnego, który znalazł się w jeszcze bardziej niezwykłej sytuacji.

Ot o miejsce, w którym się znajdujemy:

Gabinet Harry'ego L. Stubbsa, wysoko nad ulicą Daerborn w Chicago. Jest to imponujące pomieszczenie, godne faraona, w sam raz dla sędziego federalnego: wysokie, wyłożone ciemną boazerią, z szerokim oknem wychodzącym na jezioro Michigan. Masywne biurko z drewna orzechowego, obok wysokie kryte skórą krzesło, które bardziej przypomina tron. Na tronie zasiada sędzia okręgowy Harry L. Stubbs, a na jego czole błyszczą krople potu.

Pan sędzia przechyla się w prawo i puszcza bąka.

Jak nic skręt kiszek. Chryste Panie, dostanę skrętu kiszek.

Środek gabinetu zajmuje duży stół konferencyjny z drewna orzechowego, otoczony ośmioma krzesłami. Na jednej ścianie stoi regał sięgający aż do sufitu, wypełniony księgami prawniczymi. Na drugiej wiszą portrety Abrahama Lincolna, Ronalda Reagana i Henry'ego Hyde'a, a obok oprawiony w ramkę dyplom wyższej szkoły prawniczej DePaul oraz tabliczka z brązową odznaką policji drogowej stanu Illinois. Na biurku stoi fotografia pulchnej blondynki z trzema jasnowłosymi córkami w okularach. Na brązowym wieszaku w rogu wisi czarna toga i jasna sportowa marynarka.

Pan sędzia unosi tyłek i puszcza następnego bąka.

Boże drogi, ożeniłem się z entuzjastką zdrowej żywności.

Wczoraj rano Bernice położyła na stole bułkę domowego wypieku z otrębów, która miała konsystencję kulki błota i smak płyty wiórowej.

W żołądku pana sędziego burczy, gazy ponownie nabrzmiewają w jelitach.

Dzisiaj rano żonka pocałowała go w czoło i postawiła na stole talerz z czymś, co wyglądało jak stos chemicznych bobków.

- Co to jest, na Boga? - spytał w końcu sędzia.

- Otręby, tatuśku. Pełne smakowitego włókniaka.

Smakowało jeszcze gorzej, niż wyglądało: jak wilgotna mieszanina drewnianego pyłu i odpadów przemysłowych. Sędzia zmusił się do zjedzenia połowy dania, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby prezes firmy produkującej te smakowitości trafił do jego sali rozpraw.

Sędzia potrząsa głową. Kto by przypuszczał, że ta śliczna blondyneczka, której

trzydzieści jeden lat temu wlepił mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości na autostradzie I-55, w trzydziestym pierwszym roku ich małżeństwa nawrócił się na wiarę w dobroczynną moc ruchów robaczkowych jelit? Po dwudziestu dziewięciu latach z Wonder Bread, Uncle Ben's i Rice Krispies. Któż by pomyślał.

Kolejny grymas, kolejne pierdnięcie.

Ale z drugiej strony, on też nie jest już tym samym przystojnym policjantem z drogowki. Po ślubie nazywała go swoim Johnem Wayne'em, chociaż nawet wtedy była to lekka przesada wobec mężczyzny o wzroście sto sześćdziesiąt dziewięć centymetrów. Teraz byłaby to o wiele większa przesada. Przez te trzydzieści lat obwód sędziowskiego pasa wzrósł o dwadzieścia pięć centymetrów, większość włosów zniknęła bez śladu, a na ostro niegdyś zarysowanych szczękach pojawiły się obwisłe fałdy skóry. W sobotę podczas wybierania nowego paska w sklepie spostrzegł kogoś, kto przypominał byłego trenera drużyny Cubs, Dona Zimmera; dopiero po chwili sędzia uświadomił sobie, że patrzy na własne odbicie w lustrze.

Pan sędzia wyciąga chusteczkę z kieszeni i ociera pot z czoła.

Ani chybi skręt kiszek.

Ktoś puka do drzwi.

- Chryste - mamrocze sędzia, ściskając pośladki. - Zostawiłem otwarte drzwi.

Do gabinetu wsuwa się olbrzymi sekretarz sędziego, Rahsan Abdullah Ahmed (dawniej Lamar Williams). Metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto trzydzieści kilo żywej wagi, wielki jak wół, czarny jak węgiel i na pierwszy rzut oka - tępy jak stołowa noga. Pierwszy rzut oka często bywa mylący.

- Dzień dobry, Rahsan.

- Dobry, panie sędzio.

Pierwsze miesiące pracy z Rahsanem były ciężkie dla sędziego Stubbsa. Lubił pompacyjną ceremonię z tradycyjnym zawołaniem „Oyez, Oyez, Oyez” otwierającym poranne posiedzenie. Krzywił się więc słysząc, jak Rahsan po trzykrotnym uderzeniu młotkiem woła głośno „Oh-yeah, Oh-yeah, O-yeah”, a potem ogłasza, że „S o n d Rejonowy rozpoczyna posiedzenie”.

Ale to było dawno. Wprawdzie Rahsan nie mógłby podkładać głosu pod Dartha Vadera z Gwiezdných Wojen, jednak sędzia Stubbs szybko docenił wartość swojego sekretarza. Sędzia ma sekretarzy prosto z ekskluzywnych szkół prawniczych, a jakże. Te młokosy z bogatych rodzin, którym na niczym nie zbywa, pracują tak, jakby każdą rzecz mieli zrobić na wczoraj, a to się liczy dla byłego rycerza policji drogowej Harry'ego L.

Stubbsa. Sędzia nie próbuje przecierać nowych szlaków w krainie prawa, zwłaszcza po tym, co spotkało go w zeszłym roku ze strony sądu apelacyjnego w sprawie Arnolda Brosa. Opinię napisał sędzia Easterbrook, ten nadęty bydlak. Przedstawił Stubbsa jako niedouczzonego głupca, który nie wiadomo jakim cudem skończył szkołę. Od tego czasu zawilóściami prawnymi zajmują się sekretarze, a jeśli chodzi o coś naprawdę ważnego, pan sędzia zwraca się do Rahsana. Wykształceni sekretarze czasami zawodzą: nie umieją znaleźć odpowiedniego precedensu. Ale ten sekretarz, niech Bóg ma go w swojej opiece, nigdy nie zawodzi sędziego Stubbsa.

- Co tam dzisiaj mamy? - pyta sędzia.

Rahsan potrząsa z politowaniem głową i pociera długi wąs.

- Normalka. Jakieś plotki i popłakiwania.

Wręcza Stubbsowi plik. Pan sędzia zerka z westchnieniem na zegarek. Gdyby zamknął oczy, mógłby ich sobie wyobrazić: szwadrony prawników z bojowymi minami, uzbrojonych w czarne walizeczki, wynurzających się z biurowców przy ulicy LaSalle i maszerujących z determinacją w stronę sądu przy Dearborn. Niebawem dotrą do wind i ruszą w górę, ku salom rozpraw, w których urzęduje sędzia Stubbs i jego koledzy.

Rozpocznie się poranna sesja.

Sędzia Stubbs przegląda aż nazbyt dobrze znane papiery z wyraźną odrazą na twarzy. Wniosek o przedłużenie terminu do złożenia pisma procesowego. Wniosek o wymierzenie grzywny. Wniosek o odroczenie sprawy. Wniosek o zobowiązanie do udzielenia odpowiedzi na zapytania. Kolejny o cofnięcie wniosku. Wniosek o przedłużenie terminu złożenia poprawionej skargi. Wniosek o pozwolenie na złożenie streszczenia długiego na przeszło dwadzieścia stron. Wniosek o odroczenie. Znów wniosek o wymierzenie grzywny.

Zawsze te same pierdoły.

Jak większość jego kolegów, sędzia Stubbs nie cierpi porannej sesji. Siedząc za stołem i słuchając prawników, wzajemnie oskarżających się o nic nieznaczące pogwałcenie jakichś zasad, czuje się jak ta biedna staruszka, która mieszkała w bucie.

Sędzia wzdycha i spogląda na Rahsana.

- Coś jeszcze?

- Jest jeszcze jeden wniosek opatrzony klauzulą pilności, panie sędzio.

- To nasza sprawa?

- Nie. Sędziego Weistocka.

- Marvin? To czemu skierowali wniosek do mnie?

- Wyjechał na wakacje. Nie będzie go jeszcze dwa tygodnie.

- Nowa sprawa?

- Nie. Pozew przyszedł sześć tygodni temu.

- Sześć tygodni? To komu się tak spieszy?

Rahsan potrząsa głową.

- Nie wiem, panie sędzio. Strony chcą przesłuchania, a sędzia odesłał ich do pana.

- Mam dyżur w tym tygodniu?

- Tak, panie sędzio. W tym i w następnym.

Sędzia otwiera kalendarz na biurku i przygląda się z uwagą.

- Chyba możemy ich dzisiaj wcisnąć. O dziesiątej mam spotkanie wstępne przed rozprawą, a potem jestem wolny.

- Już im powiedziałem, żeby przyszli punktualnie o jedenastej.

Sędzia spogląda na sekretarza z uśmiechem.

- Masz ich wnioszek?

- Tak, panie sędzio. - Rahsan wręcza Stubbsowi teczkę i wstaje. - Sesja zaczyna się za dziesięć minut, panie sędzio. Zapukam do drzwi.

Teraz przenosimy się w inne miejsce.

Pięć tygodni wcześniej. Męska toaleta w klubie Union League. Marmurowe umywalki, polerowane mosiężne klamki i wieszaki, rząd porcelanowych pisuarów godnych bogów. Elegancja taka, jakiej należałoby oczekiwać w jednym z najbardziej ekskluzywnych męskich klubów Chicago. A zatem ostatnie miejsce, w jakim można by się spodziewać Jimmy'ego Torrado.

Jimmy poczesał gęste ciemne włosy przed lustrem wiszącym nad marmurową umywalką, starając się zachować spokój. Poprawił kołnierzyk koszuli i krawat. Nie przywykł do noszenia garnituru i krawata, ale jak trzeba, to trzeba. śledził sukinsyna przez tydzień, kombinując, w jaki sposób się do niego zbliżyć, żeby nie wpakować się na kierowcę, sekretarza albo jeszcze kogoś ze świty. I nagle w głowie zapaliła mu się żarówka jak u bohatera kreskówki: dopaść faceta w sraczu. Jimmy z uśmiechem zbliżył twarz do lustra. Zauważył niewielki czarny punkcik na czubku nosa. Tak, proszę pana - powiedział do siebie ściskając wąż między paznokciami kciuka i wskazującego palca - trzeba wstać skoro świt, żeby zgubić Jimmy'ego Torrado.

Z jednej z kabin dobiegł szelest gazety, a potem rozwijanego papieru toaletowego. Jimmy wyjął dokumenty z niebieskiej plastikowej walizeczki i czekał. Rozległ się szum spuszczonej wody i drzwi się otworzyły. W drzwiach ukazał się siwowłosy mężczyzna z „Sun-Timesem” pod pachą, minął Jimmy'ego, jakby go tam wcale nie było i stanął przed

umywalką.

Tak, to on.

Jimmy zaczekał, aż tamten zacznie myć ręce. Na mankietach koszuli błyszczące spinki z zielonymi kamieniami, wypielęgnowane paznokcie, złoty zegarek Rolexa. Facet był nadziany, to jasne jak słońce.

- Lester Fleming?

Siwowłosy mężczyzna odwrócił głowę, wyciskając na ręce krople mydła w płynie. Nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył na Jimmy'ego zimnymi jak sople lodu niebieskimi oczami. Strzepnął resztki piany z dłoni i niespiesznie sięgnął po ręcznik. Jimmy stał tymczasem, przestępując z nogi na nogę.

Mężczyzna, nie przerywając wycierania rąk, spojrział na Jimmy'ego.

- Czego pan chce? - powiedział szorstko. Nie zabrzmiało to jak pytanie, lecz rozkaz.

Jimmy Torrado wyciągnął ręce z papierami z sądu.

- Niniejszym wręczam panu wezwanie do sądu i pozew, a także wniosek i kilka innych dokumentów sądowych.

Fleming nie wziął dokumentów. Nawet na nie nie spojrział. Jimmy poczuł się niczym kulek w płocie, stojąc tak z papierami w wyciągniętej dłoni, podczas gdy ten bezczelny drań wycierał sobie spokojnie ręce i patrzył nań jak na półgłówka.

- Bierze je pan czy nie?

Po dłuższej chwili wargi Fleminga ułożyły się w uśmiech. A właściwie w krzywy, złośliwy uśmieszek. Odwrócił się i upuścił ręcznik do kosza.

- Zostaw je koło umywalki, brudasie, i spieprzaj stąd.

Torrado cisnął plik dokumentów i chwycił swoją aktówkę. Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił.

- Można powiedzieć, że doręczyłem ci papiery, frajerze.

Po wyjściu Jimmy'ego Lester Fleming zerknął na przesyłkę. Nagłówek na wezwaniu brzmiał: Firma Ubezpieczeniowa Mid-Continent Co. Przeciw Lesterowi M. Flemingowi. Podniósł wezwanie, pod którym leżała skarga. Przerzucił ją szybko, z twarzą bez wyrazu. Dalej znajdował się wniosek o przekazanie sprawy innemu sędziemu oraz memorandum. Fleming powoli przerzucał kartki wniosku, zatrzymując się na ostatniej:

Niniejszym zwracam się do Wysokiego Sądu z wnioskiem o zamrożenie wszelkich aktywów pozwanego Fleminga, w tym depozytów, oszczędności i innych środków finansowych we wszystkich bankach, z którymi pozwany Fleming lub jego firma prowadzi interesy, oraz o

zablokowanie wszelkich transakcji finansowych.

Przeczytał akapit drugi raz, dokładnie. Po chwili spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Jego czoło powoli się wygładzało.

Rahsan Ahmed wynurza się z gabinetu sędziego Stubbsa, podczas gdy Norman Feigelberg, jeden z urzędników, sunie do recepcji. Sekretarz sędziego Stubbsa udaje się do baru po następną dietetyczną colę. W pokoju zostaje dwóch ludzi. Włosy Normana Feigelberga wyglądają jak zwykle fatalnie. Z tymi czarnymi, skołtunionymi kosmykami (dzisiaj przygładzonymi na prawą stronę) i okularami w rogowych oprawkach (zlepionych taśmą klejącą), Feigelberg mógłby grać młodszego, krótkowzrocznego brata Kramera z serialu Seinfeld.

Feigelberg spoziera na sekretarza, mrużąc oczy ukryte za grubymi szklami.

- Widziałeś sędziego?

- Aha.

Feigelberg nerwowo okręca sobie koniuszek krawata wokół wskazującego palca.

- Jak się dziś czuje?

- To przez te cholerne otręby. - Rahsan marszczy nos. - śmierdzi u niego, jakby gnęło tam jakie ściervo. Biedny skurwiel pierdzi jak orkiestra dęta.

Feigelberg chichocze, aż podskakuje mu głowa.

Rahsan cofa się, machając dłonią przed nosem.

- Co się tyczy zapachów, Norman, to ty też nie pachniesz jak róża.

- Jak to?

- Z gęby ci jedzie.

Feigelberg krzywi usta.

- Znów mam to cholerne zapalenie dziąseł. To chyba ząb mądrości.

- Podzielę się z tobą mądrością, dziecińko. Skocz no do drogerii i przynieś butelkę dezodorantu, bo nie mam zamiaru wachać tych aromatów przez cały dzień.

W gabinecie sędzia Stubbs uśmiecha się, czytając ponownie pozew Mid-Continent Assurance przeciw Lesterowi M. Flemingowi.

Prostuje się i potrząsa ze zdumieniem głową.

Lester Fleming.

Minęło dwadzieścia jeden lat, ale on nigdy nie zapomni tego dnia. Pierwsza rozprawa w sądzie okręgu Cook. Tak, sądził wcześniej w kilku sprawach w DuPage, ale to był

prawdziwy początek. Chicago. A co najważniejsze, miał stanąć twarzą w twarz z samym sławnym Lesterem Flemingiem.

Albo raczej niesławnym. Nawet wówczas, wiele lat temu, zanim kandydatka na stanowisko mera Jane Byrne oskarżyła go o przynależność do „kręgu ludzi zdeprawowanych”, Lester Fleming miał już ustaloną reputację. Karierę zawodową rozpoczął w sądzie do spraw przestępstw drogowych, gdzie szybko dał się poznać jako specjalista od sfingowanych procesów. Stamtąd przeniósł się do wydziału odszkodowań i spotkał Sama „Melona” Blumenfelda. Kiedy Sam trafił za kratki po udowodnieniu trzynastu oskarżeń o naruszenie prywatności korespondencji trzynastu lat temu, firma Blumenfeld & Fleming zmieniła nazwę na Kancelarię Prawniczą Lestera Fleminga i Wspólników; owymi „wspólnikami” była rotacyjna grupa młodych prawników i studentów, naganiających Flemingowi setki klientów ściganych przez policję po ulicach Chicago za drobne przestępstwa drogowe. I choć przeciętna sprawa tego rodzaju była warta nie więcej niż dwadzieścia tysięcy, Fleming bez trudu nadrabiał jakość ilością. Szybko wyliczył bowiem, że załatwiając dwieście małych spraw rocznie można zarobić tyle samo pieniędzy, co wygrywając jedną lub dwie poważne.

Lester Fleming, patrzcie, patrzcie. Może wreszcie będę miał szansę przygwoździć bydlaka?

Tego ranka dwadzieścia jeden lat temu Harry Stubbs przyjechał z Hinsdale nieco zdenerwowany, ale ufny w zwycięstwo. Zdenerwowany, ponieważ zawsze tak się czuł przed procesem, a przed tym szczególnie. Mimo że był kilka lat starszy od Lestera Fleminga, miał o wiele mniej doświadczenia - Fleming brylował już w sądzie, kiedy funkcjonariusz Harry Stubbs uczęszczał na zajęcia pierwszego roku wieczorowej szkoły prawniczej. Wierzył jednak w zwycięstwo, bo miał powody. Po jego stronie były fakty. I prawo. Co więcej, miał dowody, że klient Fleminga spowodował wypadek z premedytacją. Wszystko było ukartowane, a Harry miał świadka, który mógł potwierdzić, że Lester Fleming razem z powodem działali ręką w rękę.

W drodze do sądu Harry Stubbs snuł przyjemne fantazje: nie tylko zwycięży wielkiego Lestera Fleminga, ale może nawet uda się postawić mu zarzut przed komisją dyscyplinarną. Tak, mówił do siebie tego pięknego wiosennego poranka, nazwisko Harry’ego Stubbsa trafi na pierwsze strony gazet.

I rzeczywiście trafiło - jako przegranego adwokata w sprawie, która zakończyła się przyznaniem odszkodowania w wysokości stu czterdziestu tysięcy dolarów: największego w historii stanu Illinois, mimo że w wypadku nikt nie poniósł uszczerbku na zdrowiu. Artykuł

ze zdjęciem promieniejącego Lestera Fleminga znalazł się na pierwszej stronie „Sun-Timesa”.

Proces był skandaliczny od początku do końca. Już po upływie godziny - w czasie której sędzia Madigan przychylił się do wniosku Fleminga o nieuwzględnienie większości dowodów Stubbsa i oddalił wszystkie jego sprzeciwy - Harry zrozumiał: wszystko jest ukartowane. Co gorsza, Madigan był starym irlandzkim lisem, który dobrze wiedział, jak sfignować proces, żeby nie zostawić w aktach sprawy obciążających go śladów. Sędzia ogłosił wyrok pod koniec drugiego dnia rozprawy, po wygłoszeniu przez Harry'ego Stubbsa mowy końcowej. Potem Harry siedział w milczeniu przy swoim stoliku, podczas gdy Fleming pozował na korytarzu do zdjęć. Harry właśnie zaczynał chować papiery do teczki, gdy z gabinetu sędziego wynurzył się Fleming z cygarem w ustach.

Zatrzymał się koło Stubbsa.

- Nie miałeś szczęścia, brachu.

Stubbs spojrzał na niego przenikliwie.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Wiem, co zrobiłeś.

Fleming wyszczerzył zęby.

- To nie Kozia Wólka, chłopcze. - Wyjął z ust cygaro, przyjrzał mu się i wydmuchnął chmurę dymu. - Witaj w okręgu Cook.

Fleming zniknął za drzwiami sali, zostawiając za sobą smugi niebieskawego dymu.

Witaj w okręgu Cook, co?

Sędzia Stubbs przerzuca kartki dokumentów. Na ostatniej stronie nazwa firmy - Abbott & Windsor - i podpisy siedmiu prawników. Typowy rozmach wielkiej kancelarii. Ale na przesłuchaniu stawi się tylko jeden z tych, których nazwiska widnieją u samej góry: L. Debevoise Fletcher, Gabriel Pollack i Melvin Needlebaum.

Stubbs słyszał o Fletcherze, a właściwie czytał o nim w gazetach. To jedna z grubych ryb firmy Abbot & Windsor, wielkie nazwisko z afisza, a więc pewnie nie on zjawi się w sądzie. Sędzia słyszał też o Needlebaumie, rzecz jasna. Znają go wszyscy sędziowie. Needlebaum jest prawdopodobnie mózgiem całej sprawy, ale raczej nie wystąpi osobiście. Zostaje Pollack. Pewnie jakiś młody, zdolny zapaleniec. To dobrze. O ile będzie wiedział, jak przedstawić dowody. Bo wydaje się, że połowa adwokatów, którzy występują w sądzie, nie umie odróżnić poszlaki od końskiego łajna.

Pukanie do drzwi.

- Już czas, panie sędzio.

Rahsan Ahmed wtacza swoje olbrzymie ciało do sali i wyprostowany staje koło

swojego zwykłego miejsca nieco poniżej stołu sędziego Stubbsa. Wpatruje się w wysokie drzwi na lewo od stołu, które prowadzą wprost do gabinetu sędziego. Młotek wygląda w jego potężnej dłoni jak zabawka. Około czterdziestu prawników zasiada w różnych miejscach wielkiej sali: niektórzy przy stolikach stron, inni w ławie przysięgłych, pozostali w ławach dla widzów i na galerii. Na widok ogromnego czarnego sekretarza prawnicy odkładają gazety i porządkują papiery. Słychać kaszel i pochrząkiwanie.

Sama obecność Rahsana nakazuje respekt. Jego twarz ma zawsze gniewny, nachmurzony wyraz. Surowe spojrzenie błyszczących oczu Rahsana napawa prawników przerażeniem. Widać je na ich twarzach, gdy zbliżają się do podium. Zerkają nań, jak gdyby stawali przed strażnikiem piekieł.

Sędzia Harry Stubbs tymczasem wkłada swoją czarną togę. Zapina ją przed otwarciem drzwi prowadzących do sali rozpraw. Zatrzymuje się na chwilę i uśmiecha do siebie.

Witaj w okręgu Cook, he?

Pan sędzia porusza klamką. Rahsan czekał na ten sygnał. Sędzia słyszy trzykrotne uderzenie młotka i grzmiący głos sekretarza, nakazujący wszystkim powstać. Pan sędzia Harry L. Stubbs przekręca klamkę i wkracza do sali.

O-yeah, O-yeah, O-yeah.

Po czterdziestu pięciu minutach przesłuchania sędzia Stubbs dochodzi do wniosku, że lubi tego młokosa Pollacka. Zawodowa ogląda, pozbawiona pretensjonalności. Jak Joe DiMaggio na boisku. Broda nie zachwyca, ale ujdzie.

Sędzia zerka nad ramieniem Pollacka na stolik powoda. Ten dziwak w okularach, skrobiący zawzięcie w żółtym notatniku, to pewnie Needlebaum. Co kilka minut podnosi głowę z uśmiechem szaleńca, by po chwili z powrotem dać nura w notatnik. Sędzia Powell ostrzegł Stubbsa przed Needlebaumem: „On cię utopi we wnioskach i streszczeniach, Harry”. Stubbs zamierza do tego nie dopuścić. Po wysłuchaniu przedstawicieli stron powie im, że nie życzy sobie, aby sprawa zamieniła się w papierową wojnę.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Pytanie sugeruje odpowiedź.

Sędzia Stubbs spogląda na Stana Budgaha, adwokata pozwanego. Jakie to było pytanie? Nieważne.

- Proszę sformułować pytanie inaczej, panie Pollack.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. - Pollack odwraca się do świadka. - Czy pan Fleming powiedział coś jeszcze?

Stan Budgah siada z pomrukiem zadowolenia.

Sędzia Stubbs zerka na swoje notatki i marszczy brwi.

Stan Budgah?

Pamięta Stana z czasów, gdy prowadził prywatną praktykę. To chyba pierwsze od lat wystąpienie Stana w sądzie federalnym. Budgah zajmuje się głównie ściąganiem należności w imieniu sądów stanowych i jest pewnie najgrubszym komornikiem w Chicago. Stubbs słyszy sapanie Budgaha wydobywające się z szeroko otwartych ust. Stan to istny wzór sądowej elegancji: błyszcząca zielona marynarka z dwoma owiniętymi w celofan cygarami wystającymi z górnej kieszonki, szeroki purpurowy krawat poplamiony zupą, biała koszulka ciasno opinająca tłusty brzuch, szare pomięte spodnie z rozporkiem zaczynającym się w połowie grubych ud, zdarte czarne buty i pięć centymetrów owłosionych łydek widocznych nad niebieskimi skarpetkami.

Obok Stana przy stoliku pozwanego siedzi Lester Fleming, wyglądający jak zwykle nienagannie w szarym prążkowanym garniturze, niebieskiej koszuli i granatowym krawacie. Wydaje się, że przesłuchanie nie robi na nim najmniejszego wrażenia, ba, wręcz nudzi. Fleming byłby idealnym kandydatem do filmowej roli typowego adwokata z wielkiej firmy. Gdyby ktoś wszedł w tej chwili do sali, z pewnością uznałby, że to Fleming jest obrońcą, a Budgah oskarżonym, najpewniej w procesie karnym o prowadzenie nielegalnego sklepu pornograficznego.

Fleming podnosi głowę i jego oczy napotykają wzrok sędziego. Twarz Fleminga nie zdradza żadnych emocji. To denerwujące. Mimo że sędzia Stubbs siedzi przy stole sędziowskim w czarnej todze, zbrojny w całą władzę i autorytet trzeciego artykułu konstytucji, to on, zmieszany, spuszcza oczy.

- Wysoki Sądzie - ciągnie Pollack. - Przedstawiamy jako dowód numer sześć oświadczenie złożone przez pana Fleminga panu Ortedze.

Sędzia zwraca spojrzenie na Stana Budgaha, który z trudem podnosi swoje ciężkie ciało.

- Chce pan zgłosić sprzeciw?

- Tak, Wysoki Sądzie. Z całą pewnością.

- Na jakiej podstawie, panie mecenasie?

Budgah macha ręką.

- Brak związku ze sprawą, zasada najlepszego dowodu, pogłoska.

- Oddalam sprzeciw. Dowód numer sześć został przyjęty.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Nie mam więcej pytań do świadka.

- A pan, panie Budgah?

Budgah zaczyna się podnosić, ale Fleming dotyka jego ręki. Pochyla się do ucha adwokata. Budgah wzrusza ramionami.

- Nie, panie sędzio.

Protokół rozprawy toczącej się pod przewodnictwem sędziego Harry'ego L. Stubbsa

[Wyciąg z przesłuchania Rudolpha Martina, likwidatora szkód w firmie ubezpieczeniowej Mid-Continent Casualty Assurance Co.]

Pytanie: (Pan Pollack) Czy rozmawiał pan później z panem Flemingiem o roszczeniach jego klienta, pana Ortegi, względem pańskiej firmy?

Odpowiedź: Przez telefon.

P. Kiedy?

O. Tego samego dnia po południu.

P. Proszę opisać tę rozmowę.

Budgah: Sprzeciw, pogłoska.

Sąd: Oddalam.

O. Pan Fleming zadzwonił i powiedział, że jego klient jest gotów odstąpić od roszczeń w zamian za sumę piętnastu tysięcy dolarów. Zgodziliśmy się.

P. Czy to zdarzyło się czternastego marca?

O. Tak.

P. Czy firma Mid-Continent przygotowała odszkodowanie na sumę piętnastu tysięcy dolarów?

O. Tak.

P. Czy wysłali państwo czek panu Flemingowi?

O. Tak.

P. Panie Martin, chcę panu pokazać kopię anulowanego czeku, który został oznaczony jako dowód powoda numer dwanaście. Czy to jest czek, który pańska firma wysłała panu Flemingowi szesnastego marca.

O. [świadek ogląda czek]. Tak.

P. Czy jest to jedyny czek wystawiony przez Mid-Continent jako odszkodowanie dla pana Ortegi?

O. Tak.

Pan Pollack: Wysoki Sądzie, wnoszę o zaliczenie do dowodów czeku na sumę

piętnastu tysięcy dolarów oznaczonego jako dowód powoda numer dwanaście, wystawionego na Manuela Orteę i jego prawnych przedstawicieli, firmę Lester Fleming & Associates.

SĄD: Dowód przyjęty.

P. (Pan Pollack) Panie Martin, słyszał pan wcześniejsze zeznanie pana Ortegi, prawda?

O. Tak.

P. Powiedział, że Lester Fleming ustalił wysokość odszkodowania na trzynaście tysięcy dolarów. Zgadza się?

O. Tak.

P. Czy pan także zrozumiał to wówczas w ten sposób, że odszkodowanie ma wynieść trzynaście tysięcy dolarów?

O. Nie. Ustaliliśmy z panem Flemingiem sumę odszkodowania na piętnaście tysięcy. Dlatego przygotowałem czek na tę sumę.

P. Pan Ortega zeznał, że dwudziestego marca pan Fleming wręczył mu czek pochodzący rzekomo od firmy Mid-Continent, opiewający na sumę trzynastu tysięcy dolarów, i poprosił o podpisanie na odwrocie. Słyszał pan to?

O. Tak.

P. Czy firma Mid-Continent wystawiła w tym okresie czek na sumę trzynastu tysięcy dolarów?

O. Nie.

P. Panie Martin, czy ma pan przed sobą dowód powoda numer dwanaście? Czek na piętnaście tysięcy dolarów wystawiony dla pana Fleminga jako odszkodowanie?

O. Tak.

P. Proszę go odwrócić. Czy na odwrocie znajduje się podpis?

O. Tak.

P. Proszę przeczytać, co tam jest napisane.

O. „Tylko do depozytu”. Jest też podpis, a pod nim słowa: „W imieniu Manuela Ortegi i jego przedstawicieli, Lester M. Fleming & Associates”.

P. Czy podpis pana Ortegi widnieje gdzieś na odwrocie czeku?

O. Nie.

Pan Pollack: Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

SĄD: Panie Budgah?

Pan Budgah: Tak, mam parę pytań.

P. (Pan Budgah) To roszczenie Ortegi, o którym pan mówił - nie było pierwszym,

jakie pan załatwiał, prawda?

O. Nie.

P. Rozpatruje pan w ciągu roku kilkaset takich spraw, prawda?

O. Tak.

P. A więc miał już pan do czynienia z tysiącami takich roszczeń, prawda?

O. Tak przypuszczam.

P. Ja też tak przypuszczam. (śmieje się) Codziennie rozmawia pan przez telefon z adwokatami poszkodowanych, prawda? O załatwieniu ich roszczeń, prawda?

O. Tak, proszę pana.

P. A więc każdego dnia rozmawia pan z kilkunastoma adwokatami, prawda?

O. Tak, proszę pana.

P. Z siedzącym tutaj panem Flemingiem rozmawiał pan co najmniej dwa razy w tygodniu w ciągu ostatnich dziesięciu lat, prawda?

O. Możliwe.

P. I twierdzi pan, że pamięta szczegóły rozmowy sprzed czterech lat, jednej z tysiąca podobnych?

O. Tak, proszę pana.

P. Daj pan spokój. Jak pan może oczekiwać, że sąd uwierzy, iż pamięta pan szczegóły tamtej rozmowy?

O. Z dwóch powodów, proszę pana. Mój szef polecił mi zawsze robić notatki z rozmów z panem Flemingiem. Powiedział, że nie można ufać panu Flemingowi, ponieważ sprzedaje on swoich klientów. Dzisiaj rano zajrzałem do moich notatek. Zapamiętałem tę rozmowę także z tego powodu, że pan Fleming stwierdził, iż pan Ortega nie zgodzi się na odszkodowanie choćby o jednego centa niższe od piętnastu tysięcy, i jeżeli nie będziemy chcieli tyle zapłacić, skieruje przeciw nam pozew do sądu. Nigdy nie zdarzyło się, aby ktoś próbował mnie w ten sposób nastraszyć. Dlatego zapamiętałem tę rozmowę.

Pan Budgah: Aha. Powiedzmy. (Pauza) Nie mam więcej pytań.

SĄD: A pan, panie Pollack?

Pan Pollack: Nie, Wysoki Sądzie.

SĄD: (Do świadka) Jest pan wolny.

Sędzia Stubbs spogląda na dokument.

- Coś mi tu śmierdzi - mówi w końcu, marszcząc brwi.

W gabinecie siedzą sędzia, Rahsan Ahmed i Norman Feigelberg. Stubbs zaprosił ich

do siebie po ogłoszeniu półtoragodzinnej przerwy na lunch.

Feigelberg nerwowo międli w palcach koniec ucha.

- Co pan ma na myśli?

Sędzia Stubbs popycha w jego stronę dowód oznaczony numerem sześć.

- Spójrz na to.

Feigelberg patrzy na dokument zatytułowany:

Lester Fleming & Associates

Rozliczenie sprawy

Klient: Manuel Ortega

Wysokość odszkodowania: 13 000,00

Minus:

Wynagrodzenie przedstawiciela: (40%): 5 200, 00

Koszty sądowe: 125,00

Rachunki lekarskie: 2 225,00

Netto dla klienta: 5 450,00

Data: 20 marca 1996

Podpisano: Manuel Ortega

- Słyszeliście zeznania - mówi sędzia.

Feigelberg ogląda dokument i kiwa głową.

- Ortega poszedł do biura Fleminga po swoje pieniądze. Dali mu to rozliczenie i czek na wymienioną w nim sumę.

Feigelberg udnosi głowę.

- No - potwierdza niepewnie.

Sędzia zerka na Rahsana, który pochyła się i kładzie olbrzymi palec na pierwszej liczbie.

- Tu pisze, że zgodzili się na trzynaście kawałków, nie?

Feigelberg marszczy brwi, po czym szybko przegląda notatki z przesłuchania.

- Zaraz, zaraz. Czek z firmy ubezpieczeniowej opiewał na piętnaście tysięcy.

- Dokładnie - potwierdza sędzia.

Feigelberg spogląda na sędziego, potem na Rahsana.

- Nic nie rozumiem.

Rahsan chrząka niecierpliwie.

- Norman, ten łajdak kradnie na dwie strony. - Ruchem ręki wskazuje czek. - Umawia się z firmą ubezpieczeniową na piętnaście tysięcy, a klientowi mówi, że na trzysta. Klient nic nie wie, firma nic nie wie, a Lester spokojnie chowa do kieszeni różnicę.

Sędzia Stubbs kiwa głową.

- Jego klientów łatwo nabrać, Norman. Przeważnie są to biedni imigranci z Ameryki Południowej i czarni. Ci ludzie boją się prawa jak ognia, więc kiedy elegancki adwokat mówi im, że trzysta tysięcy to gratka, wierzą mu jak własnemu ojcu.

- Zaraz - dziwi się Feigelberg, spoglądając w notatki. - Ile spraw Fleming załatwia rocznie z Mid-Continent Casualty?

- Około setki - odpowiada sędzia.

Feigelberg unosi brwi w zdumieniu.

- I ściąga dwa do trzech tysięcy z jednej sprawy?

Sędzia wzrusza ramionami, po czym spogląda na Rahsana, powoli potrząsając głową.

- To nie ma sensu.

- Co nie ma sensu?

- Stan Budgah - wyjaśnia Rahsan.

Sędzia Stubbs kiwa głową.

- W tej sprawie Fleminga powinien reprezentować najlepszy prawnik, na jakiego go stać, a stać go na najlepszego z najlepszych.

Rahsan kręci w zamyśleniu wąsa.

- Jakby mu nie zależało.

- Może przyjaźni się z Budgahem - rzuca Feigelberg.

- A ja jestem królikiem Bugsem - parska Rahsan.

Panu sędziemu głośno burczy w brzuchu. Zerka na torebkę z lunchem spoczywającą na kanapie koło okna. W środku będzie pewnie kanapka z pomidorem i warzywami w bułce własnego wypieku żony - dwie ciężkie kromki najeżone otrębami, o wyglądzie i smaku starego worka. Przed oczyma sędziego, niczym fatamorgana, staje obraz grubego, soczystego hamburgera w białej bułeczce, z wianuszkami cebuli pokrytej ketchupem. Stubbs potrząsa głową, jakby chciał odrzucić wizję.

Rahsan spogląda ze współczuciem na sędziego.

- Chodź, Norman - mówi, wstając. - Mamy robotę.

- A lunch? - pyta żałośnie Feigelberg.

- Zapomnij o lunchu - odpowiada Rahsan. - Nie mamy czasu na pierdoły. Zejdę na dół

i sprawdzę akta federalne. Nie mogę wyjść z budynku, bo muszę tu być, kiedy sąd wznowi posiedzenie. A to oznacza, że ty musisz ruszyć tyłek i pójść do Daley Center, a potem poprosić ładnie jakiegoś urzędnika, żeby swoim nazwiskiem otworzył wszystkie archiwa w budynku. Wszystkie, Norman. Chcę wiedzieć o każdej sprawie, jaka się toczy przeciwko Lesterowi Flemingowi w sądzie okręgu Cook. Jasne?

Zrezygnowany Feigelberg kiwa głową.

- Tak, jasne.

Rahsan zerka na zegarek.

- Zaczynamy posiedzenie o wpół do pierwszej. Przedstawianie dowodów potrwa do trzeciej. Musisz tu wrócić do tej pory.

- Po co ten pośpiech?

Rahsan przewraca oczami.

- Kiedy ty wreszcie dorośniesz, synu? To wniosek z klauzulą pilności. Oni chcą, żeby sędzia zablokował rachunki tego Fleminga. Wszystkie, do ostatniego centa.

- I co z tego?

- Mam wrażenie, że nasz sędzia chętnie przychylił się do tego wniosku. - Rahsan zawiesza głos. - Z jakiegoś powodu nasz sędzia zagiął parol na pana Lestera M. Fleminga.

Rahsan potrząsa głową.

- Ale zanim pozwolę sędziemu dopaść faceta, muszę się upewnić, że nagle coś nie wyskoczy jak diabeł z pudełka, żeby ukąsić nas w dupę. A więc ruszaj się, Norman. Czas płynie.

Norman Feigelberg mruży oczy za dawno niewycieranymi okularami.

- On jest cholernie inteligentny - mówi, przeglądając notatki. - Wręcz piekielnie inteligentny.

Siedzą w małym biurze Rahsana, które sąsiaduje z gabinetem sędziego. Jest godzina druga czterdzieści pięć po południu. Sąd właśnie ogłosił przerwę. Pięć minut temu sędzia wstał z krzesła, a raczej zerwał się z niego. Rahsan ocenił, że skłonił go do tego nagły kryzys w dolnym odcinku układu pokarmowego. Miejsce Rahsana znajduje się najbliżej stołu sędziowskiego, dzięki czemu w ciągu trzydziestominutowej sesji sekretarz kilkakrotnie usłyszał dobiegające z okolic dolnej części ciała pana sędziego specyficzne, z niczym niedające się pomylić odgłosy.

- No to wal - zachęca Rahsan.

- A więc - mruży podekscytowany Feigelberg, przerzucając notatki - zaczęło się od

ich rozvodu sześć lat temu. Nieprzyjemna sprawa. Byli małżeństwem od dwudziestu jeden lat. Dwoje dzieci, jedno dwadzieścia lat, drugie siedemnaście.

- A co one mają do tego?

- Nic. Ale dom.

- Co dom?

- Ich dom. - Feigelberg podnosi oczy błyszczące za szklami. - Dostała go przy podziale majątku.

- No i co?

- Fleming miał płacić miesięczne alimenty. W październiku przypadała data wpłaty okrągłej sumki trzystu tysięcy dolarów.

- Której on nie zapłacił.

Feigelberg spogląda na Rahsana, zaskoczony.

- Skąd wiedziałeś?

- Dalej, Norman. Przerwa za chwilę się kończy.

- Dobrze, dobrze. - Przerzuca następne strony notesu. - A więc nie zapłacił. Bank wszczyna procedurę sprzedaży obciążonego hipotecznie domu na licytacji. Jego była żona - Evelyn Fleming - wnosi pozew przeciw Flemingowi i bankowi. Jego chce oskarżyć o niewpłacenie pieniędzy, a bank zmusić do odstąpienia od sprzedaży.

- I co?

- Zabrała się do tego solidnie. Przeczytałem streszczenie. Ma matkę-inwalidkę, z którą mieszka, chce wydać córki za mąż, ma biuro w piwnicy, gdzie drukuje zaproszenia na śluby, ukochany pies leży pogrzebany na podwórku, i tak dalej. - Nic nie pomogło. Sąd wydał wyrok dwudziestego ósmego stycznia.

- Kiedy ma się odbyć licytacja?

- Za dwa tygodnie. - Feigelberg potrząsa w złości głową. - Gra idzie o znacznie więcej niż trzysta tysięcy. Dom znajduje się w Wilmette nad jeziorem. Cena podskoczyła od czasu, gdy go kupili piętnaście lat temu. Prawie trzy i pół miliona dolarów. A wiesz, co jest najciekawsze? Zadzwoiłem do firmy przeprowadzającej licytację. Właściciel przewiduje, że Lester Fleming weźmie w niej udział. Chce kupić dom na złość żonie.

- Nic z tego. - Rahsan prostuje się, splatając ręce na piersi. - My go udupimy.

- No właśnie.

- Co no właśnie?

- Żona ma prawo pierwokupu.

- Co takiego?

Feigelberg zerka w notatki.

- Warunki przerwania procedury licytacji określone są w artykule 735 ILCS, w paragrafie 5/15. Pierwsza część dotyczy przywrócenia prawa własności, a druga odzyskania nieruchomości, w której dłużnik hipoteczny...

- Mów po angielsku, Norman. I krótko.

Feigelberg bierze oddech, porządując myśli.

- Mówimy o licytacji, tak? Dłużnikiem jest była żona Fleminga. Zgodnie z prawem stanu Illinois, dłużnik hipoteczny ma prawo pierwokupu, nawet po rozpoczęciu przez bank procedury licytacji.

- Co to znaczy?

- Jeśli wpłaci pełną sumę długu przed upływem terminu, bank musi oddać jej dom zwolniony od obciążeń.

- Pełna suma długu, czyli trzysta kawalków?

- Plus odsetki i tak dalej.

Rahsan potrząsa głową.

- Skąd ona tyle weźmie?

- Od Lestera Fleminga.

- Jak? Przystawi mu pistolet do skroni?

- Nie. Wystarczy, że wygzekwuje pieniądze należne jej zgodnie z prawem.

Rahsan parska cynicznym śmiechem.

- Lepiej niech się pośpieszy.

- I tak zrobiła. Właśnie do tego zmierzam. Złożyła pozew przeciwko Flemingowi, zgadza się? Kiedy sąd wydał orzeczenie w sprawie licytacji, jej prawnicy zabrali się ostro do roboty. W zeszły piątek sędzia wydał Lesterowi Flemingowi nakaz wypłacenia byłej żonie pełnej kwoty długu hipotecznego: trzysta dwadzieścia trzy tysiące trzysta czterdzieści pięć dolarów.

Rahsan nachyla się nad biurkiem.

- W zeszły piątek?

Feigelberg potwierdza skinieniem głowy.

- Widziałem ten nakaz.

- Co robi teraz żona?

- Zgodnie z orzeczeniem sądu, jej prawnicy skierowali wnioski do wszystkich banków, w których Fleming ma konta. Powinni otrzymać odpowiedzi w piątek. Być może uda jej się zebrać pieniądze na czas.

- Jak to może być?

- Prawo pierwokupu upływa trzy miesiące po wydaniu przez sąd zgody na licytację.

- Czyli kiedy?

- Od jutra za tydzień. Do tego czasu musi wpłacić pieniądze do banku.

Rahsan pociąga za wąs.

- A jeśli nie?

Feigelberg strzela palcami.

- Traci dom. Wszystko odbywa się po cichu. Fleming postarał się, żeby sędzia utajnił akta. Prasa o niczym nie wie.

Stukanie do drzwi. Stenotypistka wsuwa głowę.

- Rahsan, sędzia jest już gotów.

- Zaraz przyjdę.

Rahsan wstaje i spogląda na Feigelberga zachmurzonym wzrokiem.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem, Norman. Była żona Fleminga chce dorwać się do jego pieniędzy i w ostatniej chwili uratować dom, zgadza się?

- Dokładnie.

- Wtedy wszystko skończyłoby się happy endem. Ale na przeszkodzie może stanąć pewien sędzia federalny nazwiskiem Harry Stubbs, który wyda nakaz zablokowania kont Lestera Fleminga przed upływem terminu zapłacenia długu. Czy dobrze cię zrozumiałem?

- Może się zdarzyć jeszcze coś...

- Oszczędź mi tego prawniczego gładzenia i odpowiedz na pytanie: czy dobrze cię zrozumiałem?

- Dobrze zrozumiałeś.

Rahsan opiera dłonie na biodrach i spogląda przez chwilę na Feigelberga. Potem przenosi spojrzenie na sufit.

- O kurza twarz.

Sędzia Stubbs zwraca się do Stana Budgaha.

- Czy pozwany chce coś dodać?

Budgah spogląda na Fleminga, który potrząsa głową. Budgah dźwiga się z krzesła.

- Pozwany nie ma nic więcej do powiedzenia, panie sędzio.

- Dobrze - mówi sędzia, zamykając notes. - Pozwany, proszę wstać.

Rahsan Ahmed odchrząkuje.

Lester Fleming wstaje. Na jego twarzy maluje się wyraz niemal błogiego zadowolenia.

- Panie Fleming - grzmi sędzia głosem, jakim Bóg mógł przemawiać do Mojżesza. - Sąd jest głęboko zaniepokojony przedstawionymi tu dzisiaj dowodami.

Fleming spogląda na Stubbsa nieobecny wzrokiem, jak gdyby słuchał koncertu fortepianowego, a nie wstępu do werdyktu sędziowskiego.

Sędzia Stubbs marszczy brwi i potrząsa głową.

- Tak - ciągnie surowym tonem - sąd jest głęboko zaniepokojony.

Rahsan Ahmed odchrząkuje jeszcze głośniejsze niż za pierwszym razem.

Stubbs przerywa, by zerknąć na sekretarza. Wymieniają spojrzenia.

- Cóż - przerywa milczenie sędzia, z zatroskanym wyrazem twarzy zwracając się do prawników. - Sąd ogłasza krótką przerwę. Jest piętnasta dwadzieścia. Niebawem wznowimy posiedzenie.

W gabinecie znajdują się sędzia i Rahsan. Norman Feigelberg czeka za drzwiami. Nie próbuje podsłuchiwać, bo i tak wszystko słyszy.

Sędzia wali pięścią w stół.

- To nie jest sąd rodzinny, do cholery. A ja nie zajmuję się podziałem majątku.

Rahsan kiwa spokojnie głową.

- Ma pan absolutną rację, panie sędzio - przytakuje miękim głosem. - Jest pan sędzią federalnym.

- No właśnie.

- I dysponuje pan całą nadaną przez konstytucję władzą czynienia sprawiedliwości.

- No właśnie. I wiem dokładnie, co zrobić, żeby sprawiedliwość zatriumfowała. - Splata ręce na piersiach. - Przypalę mu tyłek.

Rahsan kiwa głową i wstaje. Wolno, jakby z namysłem zbliża się do okna. Sędzia Stubbs odwraca się na krześle, śledząc olbrzymią sylwetkę sekretarza. Rahsan spogląda na rozciągające się w dole jezioro Michigan i kręci węża. Dobrze zna sędziego. Nie przerywa ciszy. Dopiero po dłuższej chwili odwraca się do Stubbsa.

- Ten facet chce pana wykorzystać - mówi cicho.

- Mnie wykorzystać? - Sędzia rzuca mu pełne niedowierzania spojrzenie. - Jak to wykorzystać?

Sekretarz kiwa głową.

- Wykorzystuje pana, żeby pograć żonę.

- Daj spokój, Rahsan. Mam uwierzyć, że ukartował to wszystko, żeby pozbawić ją pieniędzy?

Rahsan wzrusza pojednawczo ramionami.

- Facet dostrzegł okazję. Sam nie rozpoczął postępowania, ale wykombinował, jak je wykorzystać. Niech pan zobaczy, co zrobił do tej pory: doprowadził do opóźnienia przesłuchań, postarał się, żeby pan dostał sprawę, a potem wynajął na swojego pełnomocnika ten poleć słoniny - wszystko po to, żeby przegrać proces.

Sędzia Stubbs w zdumieniu pociera kark.

- Nie rozumiem. W czym rzecz? Ta kobieta wygrała już z nim sprawę i dostanie pieniądze. W końcu to ma być tylko zabezpieczenie na czas procesu. Później wróci sędzia Weinstock i poprowadzi sprawę dalej. Kiedy konto zostanie odblokowane, była żona Fleminga dostanie pieniądze z odsetkami.

- Wtedy te pieniądze na nic się jej nie przydadzą. Ona chce wykupić dom, i potrzebuje na to pieniędzy teraz. - Rahsan zawiesza głos. - Jeśli pan zablokuje jego konta, ta kobieta straci dom. Kiedy sędzia Weinstock wróci i wznowi proces, nie zobaczymy już Stana Budgaha. O, nie. Lester wróci tu z armią szczywanich adwokatów, którzy będą umieli zadbać o jego interesy.

Sędzia waha się przez moment, ale po chwili potrząsa ze złości głową.

- Tu chodzi o coś więcej niż dom tej kobiety, Rahsan. Nie widzisz tego? Lester Fleming defrauduje pieniądze firmy ubezpieczeniowej. Okrada klientów. Na Boga, człowieku, on łamie prawo federalne. Co mam zrobić? Zamknąć oczy? Pozwolić mu dalej nabijać sobie kabzę?

- Ten facet nabija sobie kabzę od dwudziestu pięciu lat. Kilka miesięcy więcej nie zrujnuje kraju.

- Daj spokój, Rahsan. Nie możemy w ten sposób postępować. To jest sąd.

Rahsan podchodzi z powrotem do biurka. Opiera potężne pięści na blacie i pochyla się nad Stubbsem. Jego wzrok przeszywa sędziego niczym promienie lasera.

- On pana wykorzystuje.

- Nie wydaje mi się...

- Robi z pana głupca.

Sędzia Stubbs mruga oczami.

- Głupca?

- Tak, głupca. - Rahsan prostuje się i potrząsa głową, nie spuszczać sędziego z oczu.

- A pan nie jest głupcem, o nie.

Sędzia marszczy brwi i spogląda na suszkę. Rahsan siada na krześle. Czeka.

Wreszcie sędzia podnosi głowę.

- Co mogę zrobić?

Rahsan kręci węża.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem.

- Mów.

- Zawołajmy Normana.

Sędzia Stubbs i Rahsan czekają. Obaj obserwują Normana Feigelberga, który siedzi z zamkniętymi oczami. Głowę przechylił na lewą stronę i zmarszczył brwi. Mija kilkanaście sekund.

- Aha - odzywa się wreszcie, otwierając oczy. - Chyba wiem, co możemy wykorzystać.

- Co? - pyta niecierpliwie sędzia.

Feigelberg spogląda na rozmówców z szelmowskim uśmiechem.

- Jurysdykcja.

- Co takiego? - dziwi się z niesmakiem Rahsan.

- Jurysdykcja, jedna z podstawowych zasad prawa.

- Tak - przytakuje sędzia, kiwając z powagą głową. - Jurysdykcja. A jak możemy to wykorzystać?

- Federalizm, panie sędzio. - Feigelberg zerka na portrety prezydenta Reagana i kongresmana Hyde'a. - Wie pan, prawa stanowe, suwerenność sądu federalnego i sądów stanowych, takie rzeczy.

Na twarzy sędziego pojawia się uśmiech.

- To mi się podoba. - Sędziemu Easterbrookowi też się na pewno spodoba, myśli. Ale po chwili uśmiech zamienia się w zatroskanie. - Są na to jakieś precedensy?

- Bez wątplenia - odpowiada bez wahania Feigelberg. - Mówimy tu o kanonie prawa konstytucyjnego. Jestem pewien, że w bibliotece znajdę kilkanaście doskonałych precedensów.

- Daj spokój bibliotece - wtrąca Rahsan. - Nie ma na to czasu. Czy nie uczyli cię o konstytucji na tym uniwersytecie Yale?

- Oczywiście. Miałem z tego kurs...

- Masz podręcznik u siebie w biurze?

- A tak, mam.

- Jeśli ta jurysdykcja jest takim - jak to powiedziałeś? - kanonem prawa konstytucyjnego, to parę tych tam precedensów powinno być w książce, zgadza się? Może

nawet z opiniami sędziów Sądu Najwyższego.

- Masz rację - potwierdza z uśmiechem Feigelberg.

- No to na co czekasz, chłoptasiu? Skocz na jednej nodze i przynieś panu sędziemu trochę mądrości od Sądu Najwyższego.

Sędzia Stubbs składa zamaszyste podpisy na trzech egzemplarzach orzeczenia, które przed chwilą wygłosił. Podaje je sekretarzowi i obserwuje, jak Rahsan wręcza kopie Stanowi Budgahowi i Gabe'owi Pollackowi. Pollack zostaje na podium i czyta po cichu dwa ostatnie akapity. Budgah wraca do stolika. Fleming wyrywa mu dokument z ręki.

- Panowie - ogłasza Stubbs. - Sędzia Weinstock wróci za dwa tygodnie z wakacji. Orzeczenie utrzymuje swoją moc aż do jego powrotu. Jeśli przez ten czas powstaną jakieś wątpliwości natury proceduralnej, proszę się kontaktować z sekretarzem sędziego Weinstocka. - Zerka na Pollacka. - Czy są jakieś pytania?

Gabe spogląda na sędziego z zadowoleniem, ale i z niedowierzaniem.

- Nie, Wysoki Sądzie.

Sędzia zwraca się w stronę obrońcy.

- Panie Budgah?

Budgah wbija wzrok w klienta, który uparcie studiuje dwa ostatnie akapity orzeczenia.

- Panie Budgah?

Budgah zerka na sędziego, potem znów na swojego klienta.

- Nie, chyba nie mamy pytań.

- świetnie. - Sędzia zamyka notes i wstaje. - Ogłaszam przerwę.

Rahsan uderza młotkiem.

- Proszę wstać!

Sędzia Stubbs zatrzymuje się z ręką na klamce i odwraca. Fleming nadal siedzi, wpatrując się w orzeczenie. Nawet z tej odległości sędzia widzi żyłą pulsującą na jego skroni. Fleming unosi wzrok. Ich oczy spotykają się i w tej chwili są ze sobą sam na sam. Jakby nie było wszystkich tych lat, tylko że tym razem to Fleming siedzi przy stoliku obrony. Sędzia patrzy z błogim wyrazem twarzy na Fleminga, który spuszcza wzrok i jeszcze raz spogląda na orzeczenie. Stubbs odczekuje chwilę, załując, że nie ma cygara, a potem znika za drzwiami.

Wszystko to, rzecz jasna, umyka uwagi reporterów telewizyjnych i „Sun-Timesa”. Jednak w „Tribune” ukazuje się atrykuł pod tytułem CHICAGOWSKI ADWOKAT OSKARŻONY O OSZUSTWO; SĘDZIA FEDERALNY WYDAJE NAKAZ

ZABLOKOWANIA KONT, który kończy się w ten oto sposób:

Niecodzienne orzeczenie sądu pozwala wyegzekwować wszelkie roszczenia finansowe względem Fleminga. Dzięki temu jego była żona, Evelyn, może odebrać od niego pieniądze potrzebne do wykupienia wystawionego przez bank na licytację domu w Wilmette. Jednocześnie wszelkie aktywa pozostają poza kontrolą Fleminga.

Profesor prawa z Northwestern Law School Harold Kussell określił werdykt sądu mianem „wyjątkowego”, ale zauważył, że w sentencji wyroku sędzia powołuje się na precedensowe orzeczenia Sądu Najwyższego. Sędzia Stubbs umotywował swoje orzeczenie „względami poszanowania jurysdykcji”, wyjaśnia profesor Kussell. Prawdę mówiąc, taka interpretacja prawa raczej wyklucza obalenie werdyktu na drodze apelacji.

O-yeah, O-yeah, O-yeah.

Posłowie

Kiedy byłem młodym prawnikiem, każde wystąpienie przed sędzią - a zwłaszcza sędzią federalnym - było równie przerażające jak audyencja u Czarnoksiężnika z Oz. Doprawdy, czułem się wówczas jak Blaszyński Człowiek drżący przed majestatem wielkiej, unoszącej się w powietrzu głowy. Powoli uświadamiałem sobie jednak, że za tą maską kryje się zwykły człowiek. Spędzałem w różnych sądach coraz więcej czasu i wreszcie dotarło do mnie, że groźna postać w czarnej todze niekoniecznie musi być źródłem prawa w sali rozpraw. Wokół każdego sędziego uwijają się różni urzędnicy - doradcy prawni, woźni, sekretarze - których adwokaci nie zauważają w obliczu niebezpieczeństwa zagrażającego im i ich klientom. Pewnego razu ze stoickim spokojem przez całe popołudnie przedstawiałem dowody przed sędzią federalnym, który nie dość, że spał, to jeszcze chrapał cicho przez cały czas trwania mojego brawurowego wystąpienia. Ja zaś znajdowałem pocieszenie w świadomości, że decyzję wyda młody doradca prawny pana sędziego, który cały czas notował wszystko skrzętnie i napisał potem znakomite orzeczenie (to znaczy na korzyść mojego klienta). Dlatego, mimo że nigdy nie spotkałem sędziego Harry'ego Stubbsa, zdarzyło mi się spędzić całe dnie w sądach, gdzie prawdziwym sędzią był ktoś inny niż postać w czarnej todze siedząca za stołem sędziowskim.

Na koniec słów kilka o problemach gastrycznych sędziego Stubbsa. Większość byłych studentów prawa zna profesorów uczących doktryny sądowego realizmu takim mniej więcej zdaniem: „Precedensy prawne mają mniejszy wpływ na werdykt sądu niż to, co sędzia zjadł na śniadanie”. Zawsze się zastanawiałem, czy sentencję tę można rozumieć dosłownie. W przypadku biednego Harry'ego Stubbsa ów sądowy realizm znajduje swój wyraz dzięki bułeczkom jego żony Bernice.

Michael A. Kahn

PHILLIP M. MARGOLIN

Więzienny adwokat

Jeśli można mówić o wspólnym doświadczeniu wszystkich młodych prawników pracujących w firmach, to jest nim bez wątpienia doświadczenie godzin spędzonych w sądowych barach na słuchaniu wspomnień starszych kolegów o heroicznym bojach stoczonych na sali rozpraw. Historie te są zazwyczaj bardzo długie. Phillip Margolin przynosi gawędziarza do radia i pozwala mu wygłosić jedną z najlepszych opowieści tego gatunku.

Słuchają państwo Radia Talk, a ja nazywam się Lyle Richmond. Mój dzisiejszy gość specjalny ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu, burzę falujących szpakowatych włosów, stalowoszare oczy i najbardziej kwadratową szczękę po tej stronie góry Mount Rushmore. Jeśli powiem jeszcze, że nosi kapelusz stetson, krawat z metalową spinką i skórzane kowbojskie buty, założę się, że większość moich słuchaczy zgadnie, że rozmawiam z adwokatem do spraw karnych Monte Bethunem. Gości u nas tydzień po zwycięstwie w procesie o uniewinnienie pani gubernator stanu Iowa Leony Farris, która zastrzeliła swego męża na oczach milionów widzów.

- Witaj, Monte.

- Dzięki za zaproszenie.

- Czy to ulubiony strój przyniósł ci szczęście i pozwolił wygrać sprawę pani Farris?

- Chciałbym, żeby to było takie łatwe, Lyle. Podziękowania za uwolnienie od winy pani gubernator należą się przysięgłym, którzy nie pozwolili się nabrać na mgliste dowody oskarżenia i dostrzegli prawdę.

- Jestem pewien, że pomogłeś im przeniknąć tę mgłę wzrokiem.

- Staralem się.

- Nasi słuchacze z pewnością się ucieszą, gdy powiem, że wizyta w naszym pięknym mieście jest częścią podróży, w czasie której promujesz swoją autobiografię zatytułowaną Najlepsza obrona. Będą mogli spotkać się z tobą jutro w księgarni Benson's Books przy skrzyżowaniu ulic Comstock i Vine między trzecią a piątą po południu.

- Zgadza się.

- Jak sprzedaje się książka?

- Najlepsza obrona zadebiutuje w niedzielę na czwartym miejscu listy bestsellerów „New York Timesa”.

- Gratuluję. Ze swej strony mogę dodać, że bez wątpienia na to zasługuje. To doskonała książka.

- Dzięki, Lyle. Napisałem ją, aby pokazać czytelnikom, jak trudne jest zadanie

obrońcy w dużym procesie.

- Udało ci się to znakomicie. Czytając rozdział poświęcony sprawie o odszkodowanie w wysokości czterdziestu milionów dolarów od Dental Pro ledwo mogłem usiedzieć na krześle.

- Moi klienci zasłużyli na taki werdykt. Tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi mój współpracownik zdołał udowodnić, że firma Dental Pro wykorzystywała do produkcji protez materiały radioaktywne.

- Twoim przeciwnikiem był młody, utalentowany i dobrze opłacany adwokat.

- Można by powiedzieć, że zawsze wystawiają przeciwko mnie najlepszych prawników.

- Jak w starych westernach, w których młodzi rewolwerowcy wyzywali na pojedynek sławnych mistrzów. Ale ty zawsze jesteś szybszy.

- Nie zawsze, Lyle. Mnie też zdarzało się przegrywać. Kilka takich spraw opisałem w książce.

- Proces chicagowskiego dusiciela.

- No właśnie. Młody, inteligentny prokurator nie dał mi wtedy szans.

- Nazywał się Everett Till, prawda?

- Obecny gubernator stanu Illinois. Zawsze, gdy się spotykamy, Everett dziękuje mi za utworzenie drogi do kariery politycznej.

- Czy Till był najlepszym przeciwnikiem, z jakim miałeś do czynienia?

- To trudne pytanie.

- Czy dlatego, że stawiałeś naprzeciw tak wielu znakomitych prokuratorów?

- Nie, nie o to chodzi. Everett jest bez wątpienia tym, który w najbardziej błyskotliwy sposób przedstawił dowody, ale nie on jest najlepszym przeciwnikiem, z jakim się zmierzyłem.

- Nie bardzo rozumiem.

- Mój najlepszy przeciwnik nie był właściwie prawnikiem. Był więziennym prawnikiem.

- Co to takiego więzienny prawnik?

- Hochsztapler. Człowiek, który nauczył się prawa, odsiadując wyrok w więzieniu.

- To znaczy oszust?

- Dokładnie. Ale ten facet był wyjątkowo inteligentnym oszustem.

- Czuję, że kryje się za tym jakaś ciekawa historia, Monte. Historia, która nie znalazła się w twojej książce.

- Zgadłeś. Rzecz w tym, że ta historia jest nieco dla mnie kłopotliwa.

- Nie daj się prosić, Monte. Jestem pewien, że słuchacze umierają z ciekawości, żeby usłyszeć o skazańcu, który zmusił do wysiłku najlepszego prawnika w Ameryce.

- No dobrze. Nie boję się opowiadać o tym, co przeżyłem w sądzie, a ta historia zdarzyła się, kiedy miałem jeszcze mleko pod nosem. Co nie znaczy, że teraz, przy całym moim doświadczeniu, potrafiłbym przewidzieć, co się święci.

- Zamieniamy się w słuch.

- Było to w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, dwa lata po skończeniu uczelni. Pracowałem wówczas jako zastępca prokuratora okręgowego w Portland w stanie Oregon. Jesteś trochę za młody, żeby pamiętać tamte czasy. Trwała jeszcze wojna w Wietnamie, pojawiła się organizacja Black Power, zamordowano Roberta Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga, a każdy dzień przynosił nowe zamieszki i protesty. Można powiedzieć, że w całych Stanach Zjednoczonych panował chaos, oprócz sądu okręgowego w dzielnicy Multnomah, gdzie prowadziłem sprawy o kradzieże sklepowe, jazdę po pijanemu i inne drobne przewinienia.

Zajmowałem się akurat tego ranka przekroczeniami przepisów drogowych, gdy przydzielono mi sprawę Stan Oregon przeciw Tommy'emu Lee Jonesowi. To był ciężki tydzień. Po serii zwycięstw przegrałem dwie sprawy o jazdę pod wpływem alkoholu, jedną po drugiej, i potrzebowałem zwycięstwa. Uśmiechnąłem się od ucha do ucha, gdy usłyszałem, że Tommy Lee występuje we własnym imieniu, bez pomocy prawnika. Z pewnością słyszeliście powiedzenie, że prawnik, który reprezentuje sam siebie, ma durnia za klienta. Tym bardziej jest to prawda w odniesieniu do prawnika, który siedzi w więzieniu. Pokonanie znanego adwokata sprawiłoby mi więcej satysfakcji niż zmiżdżenie jakiegoś biednego głupca, któremu wydaje się, że jest Perrym Masonem. Ale mimo wszystko zwycięstwo to zawsze zwycięstwo.

Sala rozpraw sędziego Arlena Hatchera znajdowała się na trzecim piętrze budynku sądu w dzielnicy Multnomah, którego ponura kamienna sylwetka zajmuje całą przecnicę w centrum Portland. W niektórych salach stoją marmurowe kolumny, a ściany wyłożone są drewnianą boazerią. Hatcher, który otrzymał nominację sędziowską ledwie osiem miesięcy temu, pracował przedtem jako prokurator. Przydzielono mu małą salkę, w której kiedyś mieściło się biuro administracyjne. Wnętrze wykończono było plastikiem i sztucznym drewnem.

Przed podestem sędziowskim stały dwie długie ławy dla prawników. Tommy Lee rozciągnął się niedbale na krześle przy stole obok ław przysięgłych. Fryzura typu afro i

poplamione więzienne ubranie nadawały mu dziki wygląd. Każdy trzeźwo myślący adwokat kazałby mu się ogolić i przebrać w garnitur, ale Tommy Lee nie mógł sobie pozwolić na wynajęcie adwokata, a nie chciał adwokata z urzędu.

- To ty będziesz mnie oskarżać, wieprzku? - warknął Tommy Lee na mój widok. Nie zrobiło to na mnie wrażenia. Odwzajemniłem mu się pobłażliwym uśmiechem.

- Uspokój się, Tommy Lee - odezwał się jeden z dwóch strażników przydzielonych do pilnowania więźnia.

Jeśli chcielibyście wiedzieć, dlaczego Tommy'ego pilnowało aż dwóch ludzi, skoro był oskarżony tylko o nieostrożną jazdę, to powiem, że dwa miesiące po złamaniu przepisów drogowych w Portland, Tommy został aresztowany w Newark w New Jersey pod zarzutem morderstwa. Tommy Lee bronił się więc także przed ekstradycją.

Sekretarz uderzył młotkiem w stół i Arlen Hatcher wkroczył do sali. Był wysoki, szczupły, lekko kulejący. Miał zapadnięte policzki, małe oczy i wąskie wargi, które układały się w złośliwy uśmiech, ilekroć oddalał sprzeciw obrony. Sędzia Hatcher uwielbiał gnębić adwokatów, a największą radość sprawiało mu odczytywanie wyroków skazujących.

Zerwałem się na równe nogi, kiedy sędzia zasiadał przy stole, a Tommy Lee nawet nie drgnął. Arlen rzucił mu spojrzenie mrożące krew w żyłach. Tommy Lee nie mrugnął okiem.

- Proszę wstać, kiedy sąd wchodzi - powiedział sekretarz złowieszczym tonem. Tommy Lee podniósł się powoli, nie spuszczając oczu z sędziego. Odczytałem nazwę sprawy, a sędzia polecił woźnemu wpuścić przysięgłych. Wtedy Tommy Lee uczynił coś, co uznałem za kardynalny błąd.

- Nie chcę przysięgłych - powiedział.

- Co?! - zdziwił się Hatcher.

- Jeden wieprz czy sześć faszystowskich baranów, to dla mnie żadna różnica.

Stary Arlen poczerwieniał.

- Słyszał pan kiedyś o obrazie sądu? - warknął. - Jeszcze jedno słowo o zwierzętach i zapamięta pan to pojęcie raz na zawsze... panie Jones.

Nie mam wątpliwości, że zwracanie się do Tommy'ego per „panie Jones” sprawiało Hatcherowi trudność, bo do Afroamerykanów zwykł mawiać pogardliwie „chłopcze”, ale musiał zaprzestać tej praktyki po upomnieniu Sądu Najwyższego stanu Oregon. W gruncie rzeczy Hatcher nie był bardziej uprzedzony do czarnych niż do wszystkich innych oskarżonych.

I to był drugi powód, dla którego uważałem, że Tommy Lee głupio zrobił, postanawiając bronić się sam. Z takim klientem jak Tommy Lee każdy prawnik gryzłby sobie

palce, wiedząc, że przy stole sędziowskim zasiądzie Arlen Hatcher.

- Rozumie pan, że przysługuje mu konstytucyjne prawo do rozpatrzenia sprawy przez ławę przysięgłych, na której zasiadają ludzie równi panu? - spytał Hatcher.

- A co pan myśli, że głupi jestem, czy jak? Mam też prawo obejść się bez przysięgłych.

Oczy Hatchera zabłyśły radością na wieść, że los Tommy'ego Lee leży w jego rękach. Ledwie powstrzymał się od uśmiechu. Niemal słyszałem, jak oblicza w głowie maksymalny wyrok, który będzie mógł wymierzyć Tommy'emu po udowodnieniu mu winy.

- Dobrze, panie Jones - odparł Hatcher. - Z przyjemnością posłucham, co pan ma do powiedzenia. Czy jest pan gotów, panie Bethune?

Moim jedynym świadkiem był policjant z Portland, Marty Singer, rosły, nieco beztrocki facet, a przy tym prawdomówny aż do bólu. Marty zawsze mówił prawdę w sądzie. Niektórzy prokuratorzy skarżyli się, że uczciwość Marty'ego kosztowała ich przegranie spraw, ale ja nie miałem nic przeciwko takiemu świadkowi, bo przysięgli zawsze mu wierzyli.

Marty został zaprzysiężony i mogłem przystąpić do rzeczy. Po pierwsze, ustaliłem, że ósmego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku Marty był na patrolu. Następnie spytałem, czy tego wieczora aresztował kogoś za niebezpieczną jazdę.

- O dziewiątej trzydziści pięć jechałem ulicą Salmon niedaleko skrzyżowania z Trzecią, kiedy zauważyłem samochód lawirujący między innymi pojazdami na dużej prędkości. Włączyłem sygnalizator, ale tamten samochód wcale nie zwolnił. Udało mi się zatrzymać go dopiero przy następnej przecznicy.

- I co pan wtedy zrobił?

- Wysiadłem z samochodu i zbliżyłem się do kierowcy tamtego wozu. Najpierw poprosiłem o prawo jazdy. Gdy kierowca zaczął szukać dokumentu, nachyliłem się i poczułem w jego oddechu woń alkoholu. To, a także wcześniejsza jazda, wzbudziła we mnie podejrzenie, iż kierowca znajduje się pod wpływem środków odurzających, wobec czego poprosiłem, aby wysiadł z samochodu.

- Czy przeprowadził pan badanie trzeźwości?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Kazałem mu iść po linii, liczyć od stu wstecz, a także powtórzyć kilka słów trudnych do wymówienia dla nietrzeźwych kierowców.

- I jak sobie poradził?

- Ku mojemu zaskoczeniu pomyślnie przeszedł wszystkie testy. Dlatego oskarżyłem go tylko o nieostrożną jazdę, a nie jazdę pod wpływem środków odurzających.

- Panie Singer, czy sprawdził pan prawo jazdy kierowcy?

- Tak, proszę pana.

- Jak brzmiało jego nazwisko?

- Bobby Lee Jones.

Serce zamarło mi na chwilę.

- Chce pan powiedzieć Tommy Lee Jones, prawda? - spytałem, chcąc dać mu szansę sprostowania pomyłki.

Singer nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

- Wydaje mi się... że tam było napisane Bobby Lee - odparł. Po chwili twarz mu się rozjaśniła. - Dopiero później stwierdził, że nazywa się Tommy Lee Jones.

- Później?

- Kiedy powiedziałem, że go aresztuję.

- Wtedy kierowca oświadczył, że nazywa się Tommy Lee Jones?

- Tak. Powiedział, że bez pozwolenia brata pożyczył sobie jego prawo jazdy.

Odetchnąłem z ulgą i wskazałem oskarżonego.

- Czy to jest człowiek, którego pan aresztował?

Po raz pierwszy od chwili, gdy Singer zaczął zeznawać, Tommy Lee ożywił się. Wyprostował się i wbił wzrok w Singera, jak gdyby rzucając mu wyzwanie. Singer zawahał się.

- Tak - odparł w końcu niepewnym głosem. - Wydaje mi się, że to on.

Gdyby to była rozprawa z udziałem przysięgłych, mógłbym zapomnieć o wygranej po takiej identyfikacji, lecz Arlen nie słyszał nic od chwili, gdy Tommy Lee nazwał go wieprzem. Ba, Singer mógłby zeznać, że widział krasnoludka w czerwonej czapeczce, a sędziemu i tak nie zrobiłoby to różnicy.

- Czy aresztował pan kierowcę i zabrał na posterunek?

- Nie, proszę pana. Był grzeczny i nie stawiał oporu, wobec czego wręczyłem mu wezwanie do sądu z datą rozprawy i puściłem.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy przed wyznaczoną datą rozprawy zdarzyło się coś, co sprawiło, że oskarżony trafił do aresztu?

- Tak. W New Jersey aresztowano go pod zarzutem morderstwa.

Rzecz jasna, morderstwo nie miało żadnego związku z naszą sprawą i nie miałem prawa o nim wspominać. Prawdziwy adwokat natychmiast by zaprotestował i złożył wniosek

o unieważnienie procesu. Ale w miłości i wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Jeśli Tommy Lee postanowił bronić się sam, powinien się przygotować na wszystkie tego konsekwencje. Z przyjemnością patrzyłem, jak Hatcher zapisuje w notesie słowo „morderstwo”. Kilka razy otoczył je kółkiem, a następnie skierował na Tommy’ego spojrzenie zimne jak lód.

- Nie mam więcej pytań - powiedziałem.

Dobry adwokat posiekałby na kawałki sierżanta Singera, dzięki czemu znacznie zwiększyłby swoje szanse na zwycięstwo, ale Tommy Lee zachowywał się tak, jakby był swoim najgorszym wrogiem. Najpierw wbił w Singera wzrok, w którym czała się groźba, a potem zaczął obrażać świadka.

- Czy to prawda, że powiedziałeś temu facetowi, który nie był mną, że załatwisz sprawę za pięćdziesiąt baksów?

- To nieprawda - odparł Singer. Koniuszki jego uszu zaróżowiły się. Marty uczęszczał regularnie do kościoła i brał sobie do serca słowa Biblii. Oskarżenie go o nieuczciwość było najgorszą obelgą, jaką mógł sobie wyobrazić.

- No to ile mu zaproponowałeś?

Zgłosiłem sprzeciw, sędzia uderzył młotkiem w stół. Przesłuchanie toczyło się dalej, a Singer i Hatcher patrzyli na Tommy’ego Lee, jakby chcieli go zabić wzrokiem.

- Mówisz, że ten niby-areszt był ósmego lutego siedemdziesiątego roku? - spytał Tommy Lee z sarkazmem.

Singer skinął głową.

- Byłeś pijany, czy strzelałeś na ośle, jak zwykle?

Hatcher trzasnął młotkiem w stół, zanim zdążyłem zaprotestować.

- Jeszcze jedno takie bezczelne pytanie - ostrzegł - i oskarżę pana o obrazę sądu. Ma pan przed sobą przedstawiciela prawa. Proszę okazać mu szacunek.

Tommy Lee zerwał się na równe nogi.

- Nie mam szacunku dla wieprza, co popelnia krzywoprzysięstwo i mówi, że mnie aresztował, kiedy mnie tam wcale nie było - wrzasnął.

Strażnicy siłą posadzili Tommy’ego Lee z powrotem na krześle. Singer zagotował się w środku, Hatcherowi ślina zaczęła płynąć z kącika warg, a ja siedziałem i dobrze się bawiłem. Każdym wypowiedzianym słowem Tommy Lee pograżał się coraz bardziej. Byłem pewien, że pozostanie mi tylko zakopać jego grób.

- Skądżeś taki pewny, żeś to mnie aresztował? - spytał Tommy Lee, gdy się nieco uspokoił.

- Zapamiętałem cię - odparł Singer o wiele bardziej zdecydowanym głosem niż wtedy, gdy prosiłem go o zidentyfikowanie oskarżonego.

- Przecież wszystkie czarnuchy wyglądają dla ciebie tak samo - rzucił pogardliwie oskarżony.

Singer był naprawdę zły.

- Bez trudu odróżniam jednego czarnoskórego od drugiego, panie Jones - odparł.

- Czy nie aresztowałeś mojego brata, Bobby'ego Lee, który podał ci moje nazwisko dla zmyłki? - spytał Tommy Lee, łamiąc zasadę znaną każdemu studentowi pierwszego roku prawa: za każdym razem, gdy kwestionował identyfikację dokonaną przez Singera, dawał mu okazję do powtórzenia, że to właśnie jego aresztował.

Singer z ponurą miną potrząsnął głową.

- To pana aresztowałem, panie Jones.

Tommy Lee odwrócił się i wskazał czarnoskórego mężczyznę siedzącego w końcu sali.

- A nie jego? - spytał.

Singer przyjrzał się tamtemu. Mężczyzna miał gładko uczesane włosy i dokładnie ogoloną twarz. Nosił garnitur z kamizelką, białą jedwabną koszulę i purpurowy krawat. Był tym wszystkim, czym nie był Tommy Lee. Singer odpowiedział niemal natychmiast:

- To nie jest mężczyzna, którego aresztowałem.

- Patrzysz na tego człowieka i nadal trzymasz się swojej historyjki, że to mnie zatrzymałeś ósmego lutego? - spytał z niedowierzaniem Tommy.

- Z całą pewnością zatrzymałem pana.

Werdykt był przesądzony. Nigdy nie widziałem nikogo, kto tak beznadziejnie się pogrążył. Zrezygnowałem z dalszych pytań, a Tommy Lee nie miał świadków. Miał za to przynajmniej dość rozsądku, żeby nie powoływać siebie na świadka. Wówczas zdawało mi się, że tylko to jedno zrobił dobrze. Uznanie Tommy'ego Lee za winnego zabrało Hatcherowi całe pół minuty.

- Nie bardzo rozumiem, Monty. Powiedziałeś przecież, że ów Tommy Lee był najlepszym przeciwnikiem, z jakim się zmierzyłeś w sądzie. A z tego, co mówisz, wynika, że rozniosłeś go na strzępy.

- Mnie też się tak zdawało. Pamiętam, jak się zaśmiewałem przy lunchu, opowiadając kolegom o zwycięstwie. Ale to Tommy Lee śmiał się ostatni.

Zobaczyłem go tylko raz po rozprawie, trzy tygodnie później. Oskarżałem w jakimś procesie karnym, kiedy woźny wywołał sprawę o ekstradycję Tommy'ego Lee. Mężczyzna,

którego wprowadzono do sali rozpraw, wyglądał tak samo i miał na sobie to same więzienne ubranie, ale zachowywał się całkiem inaczej. Uśmiechnął się na mój widok i wyciągnął dłoń.

- Pokonał mnie pan, panie Bethune - powiedział. Od razu zauważyłem, że jego murzyński akcent zniknął bez śladu.

- Wykonywałem swoją pracę - odparłem. - To nie było nic osobistego.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekł Tommy.

Rozprawie miał przewodniczyć sędzia Cody. Od razu go ostrzegłem, że Tommy Lee będzie próbował uniknąć ekstradycji do stanu New Jersey, gdzie miał być sądzony za morderstwo. Pamiętając jego występ w sądzie okręgowym, spodziewałem się najgorszego, tymczasem Tommy Lee zaskoczył wszystkich, godząc się wrócić do New Jersey z własnej woli.

- Jest pan pewien, że tego chce? - spytał sędzia Cody, który bardzo dbał o przestrzeganie wszelkich praw przysługujących podsądnym.

- Tak, Wysoki Sądzie - odparł grzecznie Tommy.

- Dobrze - rzekł sędzia.

To był ostatni raz, kiedy widziałem Tommy'ego Lee. - Ale nie ostatni raz, gdy o nim myślałem. W głębi duszy czułem, że coś tu nie gra. Jego zachowanie podczas obu spraw było tak odmienne. Sposób, w jaki się poruszał... akcent... Co sprawiło, że Tommy Lee przepoczwarzył się z wściekłego radykała w dobrze wychowanego, uprzejmego obywatela? To pytanie nie dawało mi spokoju, ale odpowiedź znalazłem dopiero dwa tygodnie później.

Tommy Lee rzeczywiście był podobny do czarnoskórego mężczyzny, którego przedstawił jako swego brata. Zmyliło mnie jego dzikie spojrzenie, brudne ubranie i buntownicze zachowanie. Czy sierżant Singer naprawdę aresztował Bobby'ego Lee Jonesa? A może Tommy Lee odsiadywał karę za brata? To brzmiało logicznie. Bobby Lee wyglądał na człowieka sukcesu. Tommy Lee był marnym aktorem z długą listą aresztowań i wyroków. Tak, to musiało być to, pomyślałem. Tommy Lee poświęcił się w imię braterskiej miłości. Moje zdanie o nim znacznie się poprawiło. Zacząłem nawet myśleć o nim z pewną czułością.

Zaraz jednak odezwał się w mojej głowie dzwonek alarmowy i doznałem ataku mdłości. Akta ekstradycyjne leżały w szafce w drugim końcu biura. Popędziłem tam i drżącą ręką wyjąłem z szuflady szarą kopertę. Modliłem się, żebym się mylił, byłem jednak pewien, że mam rację. Czytając potwierdzenie ekstradycji, przed moimi oczami ukazał się Tommy Lee, który wskazywał palcem Bobby'ego Lee Jonesa i pytał: „Patrzysz na tego człowieka i nadal trzymasz się swojej historyjki, że to mnie zatrzymałeś ósmego lutego siedemdziesiątego roku?”

I pamiętam zdecydowaną, jednoznaczną odpowiedź Singera: „Z całą pewnością zatrzymałem pana”.

Pamiętasz, Lyle? Tommy Lee został oskarżony o morderstwo. To, którego dokonano trzy tysiące mil od Portland, w stanie New Jersey. Otóż w akcie ekstradycji stało czarne na białym, że popełniono je dziewiątego lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

Posłowie

Przez dwadzieścia pięć lat pracowałem jako obrońca w sprawach karnych. W tym czasie miałem do czynienia ze wszystkimi możliwymi sprawami, poczynając od tak dziwnych jak „Oglądanie telewizji przez kierowcę samochodu” a na oskarżeniach o morderstwo kończąc. Rzecz jasna, kontaktowałem się z różnymi klientami. I choć zazwyczaj są to nieprzyjemne typy, w moim sercu jest miejsce dla więziennych adwokatów. Są to ludzie oskarżeni o przestępstwa kryminalne, którzy podczas lat spędzonych w więzieniu liznęli prawa. Uważają, że wiedzą o nim więcej niż ich adwokaci - i czasami mają rację.

Na początku mojej kariery zawodowej przydzielono mi obronę takiego właśnie więziennego samouka, oskarżonego o poważne przestępstwa. Dałem mu jasno do zrozumienia, że żaden sędzia na świecie nie wypuściłby go za kaucję. W następnej chwili oskarżony podziękował mi za współpracę i oświadczył, że sam będzie się bronił. Następnego dnia natknąłem się nań w holu sądu okręgowego w Multnomah w Portland w stanie Oregon, gdzie odbywała się większość moich spraw. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że sędzia zgodził się zwolnić oskarżonego z więzienia, otrzymawszy od niego zapewnienie, że stawi się w sądzie. To zdarzenie sprawiło, że nauczyłem się nigdy nie lekceważyć inteligencji i umiejętności więziennych adwokatów.

Opowiadanie, które właśnie państwo przeczytali, to mój hołd dla tych szalonych prawników-samozwańców, którzy niejedną raz zakasowali absolwentów najlepszych uczelni.

Phillip M. Margolin

JEREMIAH HEALY

Voir dire

- Prywatny detektyw Jeremiaha Healy'ego, John Francis Cuddy, pojawił się w cyklu powieści słynnych nie tylko z powodu skomplikowanej akcji, ale także z umiejętnego przedstawienia ważnych kwestii społecznych.

Zamieszczone tu opowiadanie nie jest wyjątkiem. Cuddy zostaje wynajęty przez znajomego adwokata do wytropienia najbardziej nieuchwytnej rzeczy - prawdy.

Jeden

Bernard Wellington miał smutny wyraz twarzy starego psa, niezdolnego do kontrolowania swoich odruchów.

Sylwetka Berniego mająca na tle szerokiego okna we wnęce, za którym zapadał zmierzch, powoli osuwała się na obrotowe krzesło przy biurku. Miał chyba sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu - a więc był wyższy ode mnie o jakieś dwa centymetry - ale wyglądał, jakby był o kilka centymetrów niższy. Prawie czterdzieści lat spędzonych nad prawniczymi księgami zrobiło swoje. Samotna kępka czarnych włosów kontrastowała ze śnieżną bielą na skroniach. Głowa i ręce Wellingtona były nieproporcjonalnie duże, a jego baryton zdradzał efekty długotrwałego używania dobrej whisky. Pochodził z zacnej rodziny bostońskich prawników-cywilistów, lecz zdradził tradycję, wybierając prawo karne tuż po skończeniu uczelni wiele, wiele lat temu.

W tamten piękny październikowy poniedziałek Bernie nagrał mi wiadomość na automatycznej sekretarce, prosząc o spotkanie w swoim biurze o piątej po południu. To znaczy po zakończeniu posiedzenia sądu.

Usiadłem. Kątem oka widziałem, jak Wellington paznokciem środkowego palca prawej ręki drapie odstający kawałek skóry na oparciu fotela.

- Kopa lat, Johnie Francisie Cuddy.

Nie widziałem Berniego od pięciu miesięcy, kiedy prowadziłem dochodzenie w sprawie jego klienta oskarżonego o rabunek z bronią w ręku.

- Co dla mnie masz, Bernie?

- Michaela Monettiego.

Na trzeciej stronie czasopism „Globe” i „Herald” ukazały się ostatnio artykuły o Monettim, notorycznym opryszku oskarżonym o usiłowanie morderstwa jakiegoś „wspólnika w interesach”.

- Jego proces ma się wkrótce rozpocząć - odparłem.

- Wybraliśmy skład ławy przysięgłych w zeszły piątek.

- Trochę późno jak na dochodzenie.

- Można by tak przypuszczać, ale... - Coś najwyraźniej nie dawało Berniemu spokoju.

- Pozwolisz na krótką dygresję, John?

- Pewnie.

Wellington odchrząknął. Robił to zawsze w sądzie, kiedy chciał zwrócić na siebie uwagę, nie podnosząc głosu.

- Jak pewnie wiesz, stan Massachusetts był jednym z nielicznych stanów Unii, których prawo nie pozwalało adwokatowi na przeprowadzenie voir dire kandydatów na sędziów przysięgłych.

Sięgnąłem pamięcią do roku spędzonego w szkole prawniczej. Voir dire to francuskie wyrażenie oznaczające „mówić prawdę”.

- Ale przecież sędzia zadaje im pytania, prawda?

- Tak, ale adwokatowi, który nie może spotkać się z przysięgłym twarzą w twarz, trudno podjąć decyzję o ewentualnych wykluczeniach. W typowym kwestionariuszu znajdują się tylko informacje o zawodzie, stanie cywilnym i wieku dzieci. Dlatego postanowiłem przeprowadzić ten eksperyment.

- Eksperyment?

- Nasze nieocenione ciało ustawodawcze przyjęło ustawę o projekcie pilotażowym, który ma być prowadzony w trzech okręgach. Przewiduje on, że adwokat ma trzydzieści minut na zadawanie przysięgłym pytań. Przez ten czas ma wyrobić sobie zdanie o ich temperamencie, uprzedzeniach et cetera, et cetera.

Ciekawe.

- Niewiele czasu, ale jednak może się przydać, jeśli masz bronić takiego opryszka, jak Monetti.

Wellington wyglądał na urażonego.

- Mój klient nie jest opryszkiem, John.

- Nie przypominam sobie, żeby jakiś szanujący się sędzia zwolnił go za kaucją.

- To parodia sprawiedliwości, zwłaszcza gdy odgrywano ją na oczach jego licznej rodziny siedzącej w pierwszych rzędach. Jego dumny ojciec był kiedyś murarzem, a kochająca matka nauczycielką. Starsza siostra Michaela świetnie sobie radzi w zawodzie kosmetyczki. Michael wspominał też o karierze pewnego kuzyna, który jest satyrykiem scenicznym, takim jak...

- Bernie...

- Co?

- Może powinieneś zachować argument „oskarżony pochodzi z dobrej rodziny” na mowę kończącą.

Wellington rzuca na mnie spojrzenie ciężkie jak kamień. W sądzie zawsze lepiej sobie radził niż w biurze.

- No dobrze - mruczy w końcu.

- Bez urazy, Bernie, ale nadal nie rozumiem, do czego mnie potrzebujesz na tym

etapie procesu.

Wellington siada na sfatygowanym fotelu, na którym tysiące razy rozważał skomplikowane kwestie strategii i taktyki.

- Niepokoi mnie jeden z przysięgłych, John.

- Co to znaczy?

- Ta sprawa została objęta projektem pilotażowym, więc przygotowałem całą serię doskonałych pytań. Ale Michael nalegał, żeby mężczyznom-kandydatom na przysięgłych zadawać pytania przygotowane przez niego.

- Sam przygotował pytania?

- Tak. Mój klient chciał wiedzieć, czy kandydaci na przysięgłych służyli kiedyś w siłach zbrojnych, byli aresztowani lub pracowali w przemyśle strategicznym.

Nic z tego nie rozumiałem.

- Mogę sobie wyobrazić, że Monettiego interesowało, czy kandydaci byli wcześniej aresztowani, ale pozostałych pytań nie rozumiem. Co to wszystko może mieć wspólnego z usiłowaniem morderstwa?

- Nic. Co gorsza, propozycja Michaela nie pozwoliła mi nawet poprawić nastawienia przysięgłych wobec niego.

- I co się z nimi stało?

- Z męskimi kandydatami na przysięgłych?

- Tak.

- Okazało się, że dwóch było aresztowanych, więc prokurator zażądał ich wykluczenia.

- Czyli pytania Monettiego pomogły przeciwnikom wybrać tych, których chcieli wykluczyć?

- Znow trafieś - potwierdził Wellington, krzywiąc usta. - Spośród pozostałych jeden był w armii, drugi w marynarce. Michael kazał mi pozbyć się obydwu.

- Dlaczego?

- Tego nie powiedział.

Nadal nie rozumiałem strategii Monettiego.

- Co z pozostałymi kandydatami na przysięgłych?

Wellington przymknął oczy.

- Jeden uczestniczył w pracach zespołu naukowego ministerstwa obrony, więc mój klient uznał, że jego także należy wykluczyć. Trzej pozostali, którzy odpowiedzieli przecząco na wszystkie pytania Michaela, zostali.

- Ponieważ ani prokurator, ani ty nie zgłosiliście do nich zastrzeżeń.

- Zgadłeś - przytaknął Wellington. - Ale wierz mi, jednego z nich chętnie bym się pozbył, mianowicie niejakiego Artura Duranda.

- Podejrzewam, że to on właśnie cię niepokoi.

- Nie spodobał mi się od samego początku. Z kwestionariusza wynikało, że pan Durand nigdy nie pracował, nigdy się nie ożenił i nie ma dzieci. Przy spotkaniu od razu rzuciło mi się w oczy jego stare ubranie, a także charakterystycznie drapanie się po nosie i wiercenie na krześle. - Wellington zademonstrował oba gesty. - Nosi długie, zaniedbane włosy i brodę, a oczy ma takie, jakby się naćpał.

- Nie bierz mi tego za złe, Bernie, ale z twojego opisu wynika, że to wymarzony przysięgły dla Monettiego.

Wellington znów robi obrażoną minę.

- Z tą różnicą, że Michael goli się maszynką za sto dolarów i nosi garnitur za tysiąc. Tak czy owak, choć mnie nie spodobał się pan Durand, mój klient kazał go zostawić.

- I co?

Wellington westchnął ciężko.

- Zakończyliśmy wybieranie składu w piątek po południu, a pan Durand znalazł się wśród przysięgłych jako ostatni. Potem przysięgli zostali zwolnieni na weekend.

- Sędzia nie wydał nakazu odosobnienia?

- To tylko usiłowanie morderstwa, John. - Kolejne westchnienie. - Wznawiamy posiedzenie dzisiaj rano, i zgadnij, co się stało?

- Nie mam zielonego pojęcia, Bernie.

- Zjawili się wszyscy przysięgli, łącznie z panem Durandem. Ale ponieważ jest to dopiero pierwszy dzień przesłuchań, nie znam ich jeszcze zbyt dokładnie.

- Nie znasz ich?

- Tak. Po kilku dniach procesu - nawet bez przesłuchań eliminacyjnych - twarze i numery krzeseł przysięgłych wbijają ci się w pamięć.

- Bo patrzysz na nich, kiedy prokurator przesłuchuje świadka?

- Albo kiedy sam ich przesłuchujesz. Ale na pierwszym posiedzeniu nie rozpoznałbym nawet pięciu, gdyby stanęli w szeregu wśród innych.

- Z wyjątkiem pana Duranda.

Wellington pochyla się ku mnie na krześle.

- I tak, i nie. Patrzę na niego i widzę, że obciął włosy i ogolił się. Ubranie jest to samo, ale kiedy chodzę po sali, spogląda na mnie przytomnym wzrokiem, jakby naprawdę zwracał

uwagę na to, co się dzieje. Nadal wierci się i drapie po nosie, ale coś... coś mnie niepokoi, chociaż ciągle nie wiem co.

Potrząsam głową.

- Bernie?

- Tak?

- Czy ty aby czegoś przede mną nie ukrywasz?

Wellington odchyła się i powolnym ruchem obraca na krześle o dwadzieścia stopni.

- Jestem adwokatem Michaela od prawie dwudziestu lat, John. Mimo nadludzkich starań, jakich dokładałem przez cały ten czas, kolejny wyrok w połączeniu z recydywą oznaczałby dla niego dożywocie.

- I co wtedy?

Kolejne ciężkie westchnienie.

- Wiele lat temu Michael wysłał dwóch swoich lojalnych współpracowników, aby spróbowali „wplynąć” na świadków objętych rządowym programem ochrony.

Chryste Panie.

- To bardzo błyskotliwe posunięcie.

- Michael liczył na to, że zmiana zeznań tych świadków doprowadzi w najgorszym razie do ponownego procesu, a prokurator być może odstąpi od ścigania lub drugi skład ławy przysięgłych wyda werdykt uniewinniający.

- I udało mu osiągnąć to zamierzenie?

- Nie, ale obawiam się, że mój klient zapomniał o tej lekcji, John.

No cóż.

- Jak rozumiem, obawiasz się, że ludzie Monettiego złożyli wizytę Arturowi Durandowi.

Wellington zamyka oczy.

- Kiedy Michael próbował tej sztuczki ostatnim razem, sprawa omal się nie wydała, a wywołałoby to skandal jakich mało. Na szczęście świadek zadzwonił do mnie, a nie do prokuratora.

- Do ciebie?

- Żeby poprosić o „odszkodowanie w gotówce” za „straty moralne”.

Zdawało mi się, że lepiej znam Berniego.

- Chyba mu nie zapłaciłeś.

Oburzenie.

- Ależ skąd. Niestety, z tego powodu musieliśmy przyjąć warunki ugody o trzydzieści

procent gorsze od tych, które prokurator pierwotnie zaproponował. „Nigdy więcej”, rzekłem do Michaela i zagroziłem, że z nami koniec.

Z punktu widzenia etyki adwokackiej położenie Wellingtona nie było godne pozazdroszczenia.

- A więc jaka jest moja rola?

Wellington opiera się na podglówku z popękanej skóry. Znow zaczyna skubać odstający strzęp na bocznym oparciu.

- Sam nie wiem, John. Myślę, że mógłbyś przyjść jutro do sądu, przyrzeć się panu Durandowi, a później pochodzić za nim trochę. Może dzięki temu przekonaliśmy się, czy Michael znow nie przeholował.

- Bernie, czy chcesz, żebym śledził przysięgłego?

- Chyba że masz lepszy plan.

Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy w ogóle brać się za tę sprawę. Ale smutne, psie spojrzenie Berniego sprawiło, że odrzuciłem tę opcję.

- Jutro po lunchu? - spytałem.

- Nie możesz wcześniej?

- Chcę kogoś odwiedzić rano.

Bernard Wellington już miał zapytać, kogo, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Dwa

Po tej stronie wzgórze nie ma wielu drzew, które mogłyby pozółknąć i zbrązowieć jesienią, ale za to trawa stara się to nadrobić ze wszystkich sił, zamieniając letnią zielen na wyblakły brąz. Od zatoki wieje rześka bryza i dobiega krzyk żerujących mew - to właśnie tutaj, w południowej części Bostonu Beth i ja dorastaliśmy, tu się pobraliśmy i nadal spędzamy razem czas.

Powiedzmy.

Rozkładałam przenośny stołek, żeby nie nadwyręzać obolałego kolana. Napis na płycie ciągle ten sam. ELIZABETH DEVLIN CUDDY. Niełatwo nań patrzeć.

John, czemu nie jesteś w pracy?

Z uśmiechem rozsiadam się na stołku.

- Uważasz, że twój przedsiębiorczy mąż nie może mieć klientów na cmentarzu?

Beth milczy przez chwilę.

Coś cię trapi.

- Żadnemu mężczyźnie nie uda się wyprowadzić w pole dobrej żony.

Co nie znaczy, że się nie starałeś. Chcesz o tym pogadać?

Okazuje się, że owszem, chcę.

Słuchała cierpliwie, jak zawsze.

Masz pewnie jakiś problem w związku z klientem albo ze sprawą, powiedziała.

- Po trosze i z tym, i z tym. Nie mam nic przeciwko Berniemu Wellingtonowi. Nawet go podziwiam za ten upór, z jakim trzyma się swoich zasad etycznych. Ale nie mam ochoty pracować dla Michaela Monettiego i nie chcę ryzykować utraty licencji, śledząc przysięgłego, który bierze udział w toczącym się właśnie procesie.

Ale przecież pracujesz dla Wellingtona, nie dla Monettiego?

- Teoretycznie tak.

Dosłownie. A zatem wszystko, czego się dowiesz, może tylko pomóc systemowi sprawiedliwości, a nie zaszkodzić. Więc nie robisz nic złego.

Nie znalazłem na to kontrargumentu.

- Czy zgodzisz się wystąpić w roli mojego adwokata, gdyby system sprawiedliwości ocenił moje postępowanie inaczej?

Milczenie. Ale tym razem takie, które zapada, gdy rozmówca próbuje zmusić się do uśmiechu.

Gdybym tylko mogła, Johnie Cuddy. Gdybym mogła.

Gdzieś wysoko przeleciała mewa.

- Amen - powiedział ktoś.

Dotarwszy do mojego biura przy Tremont naprzeciwko budynku Boston Common, zadzwoniłem do znajomej imieniem Claire, która dysponowała przeglądarką pewnego miliardera z Microsoftu. Odpowiedziała po trzecim sygnale. Poprosiłem, żeby weszła do swojej „bazy danych” (tak to nazywa) i sprawdziła hasło Durand, Artur. Claire powiedziała, że zadzwoni później, więc poprosiłem, aby nagrała wiadomość na sekretarce. Zamknąłem drzwi na klucz, zszedłem na dół i ruszyłem w stronę przejścia podziemnego ulicy Park.

Michael Monetti próbował zabić współnika w Cambridge, a nie w Bostonie, dlatego proces odbywał się w stosunkowo nowoczesnym sądzie okręgowym Middlesex po drugiej stronie rzeki Charles, a nie w wysłużonym budynku sądu w Suffolk. Trolejbus zielonej linii dowiózł mnie do stacji Lechmere we wschodniej dzielnicy Cambridge, a stamtąd już tylko trzy przecznice dzieliły mnie od budynku z szarego kamienia. Po przejściu przez wykrywacz metalu na parterze wjechałem na szóste piętro.

Na podłodze sali o łukowatym sklepieniu leżała wykładzina w pastelowym kolorze, a ławy wykonane były z drewna dębowego. Dzięki takiemu sklepieniu sala miała doskonałą akustykę, tak że żaden z widzów nie musiał wyęczać słuchu podczas zeznań świadków. Niestety, przez to słyhać było nie tylko słowa świadka, ale praktycznie każdy szept - nawet z ław obrony i oskarżenia.

W czasie przerwy na lunch zająłem miejsce obok przejścia po tej stronie, gdzie znajdowała się ława prokuratora. Pierwszy rząd po przeciwnej stronie zajęła rodzina Monettiego. Między starszym mężczyzną z bliznami na dłoniach a matroną o surowym wyrazie twarzy siedziała kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat, podobna do rodziców. Widzowie w drugim rzędzie dodawali im otuchy skinieniami głowy i delikatnymi uściskami.

Raptem drzwi w bocznej ścianie sali otworzyły się i wkroczył Bernie Wellington. Za nim podążał gładko uczesany, starannie ubrany mężczyzna około czterdziestki, prowadzony przez dwoje strażników. Rozpoznałem Michaela Monettiego od razu, bo w prasie widziałem zdjęcia z procesu. Rysy twarzy członków rodziny Monettich były mocne i wyraziste, Mikey zaś - choć do nich podobny - wyglądał jak rekin wbity na siłę w dwurzędowy garnitur.

Podczas gdy wymienialiśmy spojrzenia z Bernim Wellingtonem, Monetti odwrócił się na krześle, by pokiwać witającej go serdecznie części widowni. Uśmiechnął się i powiedział, żeby się nie martwili. Więziennicze jedzenie nie jest takie złe, jadał już gorsze, jak minął im

lunch, i tak dalej. Akustyka sali sprawiała, że słyszałem każde słowo.

Kiedy stenografistka i woźny zajęli miejsca, otworzyły się drzwi w lewej ścianie sali i pojawiła się sędzia, dość młoda Afroamerykanka. Usiedliśmy, a strażniczka, która eskortowała Michaela Monettiego, zapukała w drzwi po prawej stronie. Po chwili przysięgli zaczęli jeden po drugim zajmować miejsca w swoich ławach. Strażniczka usiadła przy stoliku z telefonem po naszej stronie widowni.

Wellington wstał i poprosił o chwilę przerwy. Sędzina pozwoliła, więc Bernie otworzył bramkę w barierce i zbliżył się do mnie.

Bernie nachylił się i szeptem tak cichym jak pocałunek kochanków powiedział: „Dzięki, John. Durand zajmuje miejsce numer dwanaście, po tej stronie, koło strażniczki”.

Skinąłem głową, ale poczekałem, aż Wellington wróci na swoje miejsce. Monetti, który pisał coś w notesie, pociągnął Berniego za rękaw. Odczekałem chwilę i zerknąłem na strażniczkę po naszej stronie widowni. Za nią, w ostatnim rzędzie, siedział kościsty mężczyzna, drapiący się po nosie wskazującym palcem. Miał ciemne włosy, które istotnie wyglądały na świeżo obcięte, sfatygowaną marynarkę i koszulę z kołnierzykiem, ale bez krawata. Nagle chudzielec poruszył się lekko na krześle, zasłonił usta dłonią, którą się przed chwilą drapał, i szepnął coś do młodej przysięgłej po jego prawej stronie. Kobieta natychmiast podniosła dłoń, aby stłumić śmiech.

Sędzia obrzuciła ich spojrzeniem, które świadczyło o tym, że nie było to ich pierwsze takie zachowanie. Po chwili prokurator - piegowaty rudzielec wyglądający najwyżej na szesnaście lat - wezwał pierwszego świadka.

Była nim kobieta, technik laboratoryjny. Elokwentnie opowiedziała o włóknach znalezionych na miejscu przestępstwa. Wyłączyłem się i zerknąłem na przysięgłych. Na pierwszy rzut oka rzeczywiście wyglądało na to, że Artur Durand zwraca uwagę na to, co dzieje się w sądzie.

Prokurator powołał następnego świadka, tym razem mężczyznę, specja od balistyki, który zeznał, że trzy pociski wyciągnięte z ciała ofiary pochodziły z pistoletu sig sauer kaliber dziewięć milimetrów, noszonego przez Michaela Monettiego wbrew temu a temu paragrafowi. Wyszedłem z sali w chwili, kiedy biegły kończył składanie zeznań; chciałem znaleźć się poza budynkiem, aby móc podążyć za przysięgłym Durandem - pieszo, taksówką, trolejbusem lub autobusem, w zależności od sytuacji.

Tuż po piątej Durand przedarł się przez tłum przy drzwiach sądu i ruszył w stronę stacji Lechmere; jego buty wydawały dźwięk podobny do stukania taniej klawiatury

komputerowej. Nie wsiadł jednak do metra, lecz wskoczył w autobus do Arlington Heights, a ja za nim wraz z tabunem innych podróżnych. Autobus przejechał przez East Cambridge, a potem Somerville. Durand wysiadł w nędznej dzielnicy pół mili przed Arlington.

Wyskoczyłem za nim i poszedłem drugą stroną ulicy. Durand minął kilka skrzyżowań, na których stały duże pojemniki na śmieci, lekko przepełnione. Skręcił w następną, szerszą przecznicę z szeregiem drewnianych dwupiętrowych domków.

Poczekalem, aż zatrzymał się przed domem pomalowanym na szarobiały kolor. Gdyby Durand nie skinął głową w stronę samochodu zaparkowanego w poprzek ulicy, pewnie bym ich wcale nie spostrzegł.

Na przednich siedzeniach beżowego forda crown victoria z białymi kręgami na oponach siedziało dwóch mężczyzn. Z tej odległości nie mogłem rozróżnić ich twarzy, ale widziałem, że mężczyzna przy kierownicy pił przez słomkę jakiś napój z dużego kubka. Ten drugi siedział bez ruchu, jeśli nie liczyć pociągnięcia za ucho, identycznego, jakim Carol Burnett kończyła swój słynny monolog.

Artur Durand zniknął w dwupiętrowym domku w kolorze lawendy, a ja poszedłem jedną przecznicę dalej.

Znalazłem się o pół przecznicy od samochodu, ale niestety nie mogłem odczytać numerów na tablicy rejestracyjnej, ponieważ zasłaniała mi ją ciężarówka. Przez lata służby widziałem i zapamiętałem wiele takich pojazdów.

Był to ulubiony nie oznakowany samochód policjantów w cywilu w tym stanie, choć ci przeważnie używali czarnych opon.

Nie rozumiałem, dlaczego policja miałaby ochraniać przysięgłego Artura Duranda, o ile wcześniejszy wyczyn Michaela Monettiego z zastraszaniem świadka nie wyszedł na jaw. Warto jednak poświęcić trochę czasu i upewnić się.

Przeszedłem na drugą stronę, skąd mogłem zobaczyć głowy mężczyzn, ale nie tablicę. Kierowca przestał sączyć napój i powiedział coś do kolegi, odwracając głowę w jego stronę. Miał proste jasne włosy, a ten drugi ciemne i kręcone. Tylko tyle mogłem dostrzec, nie zwracając na siebie uwagi.

Zatrzymałem się przed jakimś spokojnym domkiem, gdzie nie było ruchu.

Dochodziła północ, a ja zaczynałem umierać z głodu, gdy kierowca znowu zwrócił się do kolegi, który skinął głową i pociągnął się za ucho. Samochód zawarczał i ruszył.

Nie dość jednak szybko, aby uniemożliwić mi odczytanie numeru rejestracyjnego.

Trzy

- Kogo tam...? - odzywa się nieprzytomny głos.
- Claire, to ja, John Cuddy - odpowiadam do słuchawki.
- Która godzina?
- Na moim zegarku siódma.

Claire podnosi głos o ton.

- Siódma? O tej godzinie budzi się farmerów, do jasnej cholery. My cybernetyczni czarodzieje, wstajemy tak trochę bardziej koło południa.

- Przepraszam, Claire, ale mam dzisiaj huk roboty, a wiadomość mogłem odebrać dopiero o północy.

- Aha. Zaczekaj chwilę.

Z drugiej strony linii dochodzi jakiś niezidentyfikowany dźwięk, a potem „O kurczę”.

Głos Claire zbliża się ponownie do słuchawki.

- Cholerny telefon. Powinnam sobie sprawić zestaw głośno mówiący, tylko czy komuś z was przyszło do głowy zapłacić mi kiedyś choć połowę tego, co warte są te rzeczy, które dla was znajduję?

- Tyle złota ile ważysz, Claire.

- To jakiś przytyk?

- Nie, to był...

- Straciłam w zeszłym miesiącu pięć funtów, i nie lubię jak ktoś...

- To komplement, Claire.

- Że co?

- To nie był przytyk, tylko komplement. Chciałem powiedzieć: „Jesteś warta tyle złota, ile ważysz”.

- No dobra, będę pamiętać przy wypisywaniu czeku. - Szelest papieru. - Zaraz, zaraz...

Durand, Artur, tak?

- Zgadza się.

- Bez drugiego imienia nie wiedziałam, ilu znajdę. Trzech ze Springfield, dwóch z północnego Worcester - pewnie ojciec i syn - i tylko jeden w naszym starym Somerville.

- Okropne. Daj mi tego z Somerville.

- Durand, Artur G., jak George. - Szelest papieru. - Popatrzmy... żadnych odsiadek, aresztowań.

A więc Durand podał w formularzu prawdziwe informacje.

- Ma prawo jazdy, ale nie widzę zarejestrowanego samochodu. Jest też numer książeczki ubezpieczeniowej... chcesz?

- Niekoniecznie. Czy były jakieś operacje na koncie?

- Nic od czasu, gdy stracił pracę. Tylko... tak. Odbiera zasiłek od trzech miesięcy.

Taki przysięgły może być wyjątkowo podatny na propozycję łapówki.

- A przedtem?

- Pracował w sklepie wideo.

- A w przemyśle strategicznym?

- Na przykład w ministerstwie obrony?

- Tak.

- Cuddy, wydaje mi się, że przeceniasz pana Artura G. Duranda.

- A zapis operacji bankowych?

- Zwykle oszczędności i opłata czynszu. Nic ciekawego.

- Masz nazwisko odbiorcy?

- Tak. Stralick, Rhonda M.

- Adres?

- Ten sam co Duranda, w Somerville.

Pewnie właścicielka domu.

- Karty kredytowe?

- Brak.

- Pożyczki z banku?

- Nie potwierdzam. Ale muszę ci powiedzieć, Cuddy, że nie wiem, jak ten gość jest w stanie zapłacić za cokolwiek poza zrobieniem tatuażu.

- Masz coś jeszcze, Claire?

- Żadnych małżeństw, rozwodów, dzieci. Facet jest samotny i całkowicie przegrany.

- A więc pewnie do więzienia?

- Nie jestem aż tak zdesperowana, dziękuję. Pozwól, że cię podliczę.

- Zaczekaj.

- Na co?

- Mam tu numery rejestracyjne i chciałbym, żebyś je sprawdziła.

- Rany boskie, Cuddy, masz pojęcie, czym to grozi? Teraz, po wprowadzeniu nowej ustawy federalnej, ci z urzędu rejestracyjnego podnoszą straszny krzyk.

- Jakiej ustawy?

- Tej, która ma zapobiec sprawdzaniu numerów rejestracyjnych samochodów za

pośrednictwem komputera. Ale jeśli urząd stanowy nie ratyfikuje...

- Claire?

- Co?

- Tylko ta jedna rejestracja, proszę.

Mruknięcie.

- Czemu nie? Zerwałeś mnie z łóżka o świcie, więc mam mnóstwo czasu, żeby cieszyć się dniem i sprawdzić rejestrację, która jest dla ciebie taka ważna.

Poczekalem, aż sąd wznowi rozprawę o dziewiątej, i dopiero wtedy zszedłem na dół do mojej starej hondy prelude stojącej przed budynkiem. Dotarcie do miejsca zamieszkania Artura Duranda będzie znacznie łatwiejsze samochodem niż trolejbusem lub autobusem, a w ciągu siedmiu godzin obserwacji poprzedniego wieczoru przejechały tamtędy tylko dwie taksówki.

Pojechałem do Somerville trasą przez most na Western Avenue i plac Central Square. Skręciwszy w uliczkę, przy której mieszkał Durand, przejechałem koło lawendowego dwupiętrowca, ale nie zauważyłem nigdzie znajomego forda crown victoria. Przy następnej przecznicy znalazłem parking i tam się zatrzymałem.

Idąc ulicą, przyjrzałem się budynkowi. Jeśli pominąć nieszczęsny kolor, fasada domu była dobrze utrzymana, zwłaszcza w porównaniu z sąsiadującymi budynkami. Wszedłem na schody. Trzy dzwonki obok drzwi wejściowych oznaczone były numerami, a nie nazwiskami lokatorów.

Pomyślałem, że właściciel będzie mieszkać na parterze, aby móc korzystać z dobrodziejstw podwórka, zacząłem więc od jedyńki. Po upływie trzydziestu sekund zadzwoniłem znów. Poczekalem jeszcze raz, i znowu nic.

Już miałem nacisnąć dzwonek ponownie, gdy drzwi otwały się cicho. Dzięki gumowemu uszczelnieniu przylegały doskonale do futryny. Kobieta po drugiej stronie najwyraźniej bardzo się starała, żeby wyglądać na czterdzieści lat. Platynowe włosy otaczały jej głowę jak cukrowa wata, nie całkiem jednak zasłaniając trochę za duże uszy. Rysy twarzy wylewały się spod kilku warstw makijażu, i nawet dobry manikiur nie był w stanie ukryć żył nabrzmiałych na dłoniach. Miała na sobie bluzę i spodnie od dresu, a na nogach futrzane pantofle.

- Coś ty za jeden, kotku?

Nieznacznym brytyjskim akcentem.

- John Cuddy.

- Ach, John. - Przekrzywiła głowę, zasłaniając oczy rzęsami. - Przystojniak z ciebie,

co?

- Pani Stralick?

Wyraz znużenia pojawił się na twarzy kobiety.

- Znasz moje nazwisko?

- Rhonda M. Stralick.

Wyjmuję swój identyfikator.

- Prywatny detektyw?

- Zgadza się.

- Nic o niczym nie wiem.

- W porządku. Przyszedłem w imieniu pewnego pracodawcy, który chciałby zatrudnić pani lokatora.

Znużenie ustępuje miejsca zdumieniu.

- Artura?

- Chyba tak. Artura G. Duranda.

Pani Stralick nie wyglądała na przekonaną.

- Kto chce go zatrudnić?

- Obawiam się, że to poufna informacja. Ale nie zajmę pani wiele czasu.

Kolejna zmiana wyrazu twarzy.

- świetnie. Dzięki temu zostanie nam więcej czasu na zapoznanie się, prawda?

Rzekł pająk do muchy.

- Mogę wejść?

Pani Stralick wykonuje prawą ręką szeroki zapraszający gest.

Zamyka drzwi i prowadzi mnie korytarzem do wejścia koło schodów wiodących na piętra domu.

- Przepraszam za bałagan, John.

I rzeczywiście, jest za co. Stolik telewizyjny słabo spełnia rolę półki na gazety, bo brukowce z supermarketu walają się na całej powierzchni dywanu o wypukłym wzorze, jakie były modne dwadzieścia lat temu. Naprzeciwko kwiecistej kanapy szerokoekranowy telewizor sony z wyłączoną fonią. Trzy nastolatki - biała, czarna i latynoska - siedzą niezgrabnie na scenie, podczas gdy mężczyzna z rozwianym włosom telewizyjnego kaznodziei przechodzi z mikrofonem od jednego widza do drugiego. W lewym dolnym rogu ekranu jaskrawoczerwony napis PASIERBICE W CIAŻY Z OJCZYMAMI.

Co z matkami, które kochają ich oboje?

- Mówiłeś coś, John? - pyta stojąca za mną pani Stralick.

Chyba głośno myślałem.

- Nie, nic.

Obok telewizora stoi fotel z wypukłym wzorem w kształcie chevroleta model tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dwa. Siadam na nim, a gospodyni zajmuje miejsce na kanapie. Tak blisko, że nasze kolana prawie się stykają.

Znów mam okazję podziwiać sztuczkę z rzęsami.

- A więc o czym chciałeś porozmawiać?

- Pan Durand zaznaczył w swoim kwestionariuszu, że w chwili obecnej nie jest zatrudniony.

- Od trzech miesięcy.

- Przykro mi.

- Nie szkodzi, kochanie. - Oblizuje wargi. - Chciałam powiedzieć, że Artur od pewnego czasu nie płaci komornego.

- Rozumiem. A czy przedtem wywiązywał się z obowiązków wobec pani?

- Jeśli chodzi o pieniądze, tak.

- A z innych?

Wzruszenie ramion.

- Artur pomaga mi przy zabezpieczaniu okien, odśnieżaniu i w takich sprawach. - Skromny uśmiech. - Ale jeśli chodzi o te ważniejsze rzeczy, to nie jest duszą towarzystwa.

- Trzeźwy, odpowiedzialny mężczyzna z pewnością będzie lepszym pracownikiem.

- Nic nie rozumiesz, John. Po rozwodzie z tą kupą gnoju, która przyciągnęła mnie do twojego kraju, czuję się nieco samotna. Artur jest cichy jak myszka.

Pani Stralick robi pauzę, pewnie po to, żebym załapał. Szybko zauważa, że jednak nie zrozumiałem.

- Tygodniami nawet go nie słyhać, nie mówiąc o tym, żeby zobaczyć. Artur nie wykazuje najmniejszej ochoty do zabawy. - Oblizuje usta. - Jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Mój klient będzie zadowolony.

Pani Stralick zwęża oczy w szparki.

- Mam nadzieję, że nie jesteś takim nudziarzem, jak twój „klient”, kochanie.

Uśmiecham się przymilnie.

- Czy zna pani jakiś powód, dla którego pan Durand nie powinien być zatrudniony?

- Tylko jeśli oznaczałoby to, że nie możesz zostać ze mną dłużej.

Pani Stralick ma nie lada apetyt.

- Czy mógłbym wobec tego zerknąć na jego mieszkanie?

Znużenie.

- Po co?

- Chciałbym zobaczyć, jak mieszka przyszły pracownik mojego klienta. To pomoże mi wzbogacić nieco mój raport, może nawet zarekomendować pana Duranda.

- Bóg mi świadkiem, że to przydałoby się Arturowi. Ma u mnie zaległości z czynszem, że aż strach.

- I jeśli to możliwe, wolałbym, żeby ta wizyta pozostała naszą małą tajemnicą, zgoda?

- Lubię małe tajemnice jak każda dziewczyna, ale najpierw mam pytanie.

- Tak?

Nieśmiałość.

- Jeśli wiesz, że Artur nie pracuje, to dlaczego sądzisz, że nie ma go na górze?

- Ponieważ pan Durand uprzedził mojego klienta, że przez pewien czas będzie przebywał w sądzie jako przysięgły.

To chyba przekonało panią Stralick.

- No dobrze. Ale muszę tam z tobą pójść.

- Ma się rozumieć.

- To go fascynuje, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Rhonda Stralick zdołała otrzeć się o mnie trzy razy w czasie naszej wspinaczki po schodach. Mieszkanie Artura Duranda składa się z pokoju stołowego z oknem we wnęcie, sypialni, łazienki i kuchni. Jedyne umeblowanie stanowi stary komplet z wytartym obiciem, a mieszkanie lśni czystością, jakby było niedawno wysprzątane. Niewiele tu dla mnie wskazówek.

Znacznie bardziej wymowne jest to, czego tu brak: żadnych sprzętów, bibelotów, nawet fotografii, jak w dużym, spartańsko urządzonym pokoju hotelowym.

Za to kuchnia wygląda zupełnie inaczej.

- O cholera! - Pani Stralick podchodzi do zlewozmywaka z papierowym ręcznikiem z dozownika i rozgniała kilka karaluchów buszujących wokół pudełka po pizzy. - Artur jest przeważnie schludny aż do bólu.

Na blacie walały się puszki po piwie i inne odpady.

- Może pan Durand zaprosił kogoś wczoraj wieczorem i zapomniał posprzątać.

- Wykluczone. Żadnej rodziny, żadnych gości, żadnej osobowości.

Złapała kubek za krawędzie, żeby go podnieść.

- Może lepiej będzie, jak zostawi go pani na swoim miejscu - powiedziałem.

- A to dlaczego?

- Żeby pan Durand nie domyślił się, że ktoś był w jego mieszkaniu.

- Masz rację, kotku. - Puściła kubek, a potem zmysłowym ruchem wytarła ręce o uda. -

Mam nadzieję, że ten incydent z robactwem nie zepsuje nam nastroju.

Dostrzegłem swoją szansę.

- Obawiam się, że tak. Mam wrażliwy żołądek.

- Taki już mój los. - Pani Starlick spróbowała zrobić beztroską minę. - No cóż, trudno.

Następnym razem, jak będziesz w okolicy, zjrzij do mnie koniecznie.

Zmrużyła oczy.

- Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Chyba wiedziałem.

Ledwie zdążyłem włożyć klucz w zamek samochodu, gdy zauważyłem beżowego forda, zaparkowanego tym razem po drugiej stronie skrzyżowania. Schyliłem głowę, ale i tak na pewno widzieli, jak wychodzę z domu w lawendowym kolorze.

Wykonałem nawrót na trzy razy, żeby nie przejeżdżać koło nich; zerknąłem w lusterko wsteczne. Zamiast pojechać za mną, jasnowłosy kierowca obserwował mnie zmrużonymi oczami i mówił coś do kolegi, który pilnie notował.

Prawdopodobnie numery rejestracyjne mojej hondy, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Cztery

Po powrocie do biura zadzwoniłem do Berniego Wellingtona. Sekretarka powiedziała, że jest jeszcze w sądzie, co mnie wcale nie zdziwiło. Poprosiłem, aby zadzwonił, jak wróci.

Zastanawiałem się, czy zadzwonić do Claire, ale uznałem, że dwa razy dziennie to przesada. Zająłem się więc papierkową robotą; trwało to aż do trzeciej. Wtedy odezwał się telefon.

Dźwięk był równie ostry jak głos Claire.

- John Cuddy.

- Masz ołówek?

- Jestem gotów, Claire.

- A więc... Rejestracja należy do firmy wypożyczającej samochody.

To mi nie pasowało, choć z drugiej strony tłumaczyłoby obecność białych opon.

- Jesteś pewna?

- Czuję się obrażona, ale nie tak, jak czuliby się ludzie, do których należy samochód z tymi numerami.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wspominałam ci o nowych przepisach ograniczających dostęp do baz danych, prawda?

- Tak.

- A więc poprosiłam o to znajomego, który pracuje w urzędzie rejestracyjnym. Mówi, że podane przez ciebie numery znajdują się na tablicy forda crown vic w jakimś śmiesznym beżowym kolorze, a samochód należy do, cytuję: „Best-Ride Car Rentals, Inc.”, która mieści się na lotnisku. Oto adres.

Nazwa i adres - prawie osiem kilometrów od mieszkania Artura Duranda - nic mi nie mówiły.

- Claire, słyszałaś kiedyś o tej firmie?

- Ja nie, ale mój znajomy tak.

- W jakim kontekście?

- W kontekście „powiązań”.

Aha.

- Pranie pieniędzy mafii?

- Albo coś w rodzaju filii, która włącza się do zabawy, kiedy chłopcy z ferajny nie chcą się pokazywać. Pomogłam ci?

- Może tak, może nie. Ale dzięki.

- Cuddy, zrobisz coś dla mnie?

- No co?

- Wyślij mi czek, zanim wybierzesz się z wizytą do firmy „Najlepsza Przejazdka”, dobrze?

Nie powinienem mieć jej za złe, że o to prosi.

Zostawiłem dwie wiadomości dla Berniego Wellingtona, a że nie doczekałem się telefonu, postanowiłem odłożyć odwiedzinę w wypożyczalni samochodów do jutra. Zamknąłem biuro kwadrans po piątej i zszedłem na parking na tyłach budynku. Rozpoczęła się właśnie godzina szczytu. W strumieniu samochodów popłynąłem do południowej dzielnicy Bostonu, prosto do tawerny „U Jacka Pod Latarnią”.

Część tej dzielnicy w pobliżu ulicy Broadway przechodzi właśnie proces generalnej, i to niezbyt łagodnej modernizacji. Stare knajpy dla średnio zamożnych klientów są masowo wykupywane wraz z koncesjami na sprzedaż alkoholu przez duże firmy, które zakładają wielkie bary szybkiej obsługi. Oświetlony na pomarańczowo lokal „U Jacka” to swoisty kompromis: dobre miejsce na zjedzenie kolacji z żoną i dziećmi po pracy, a potem od dziewiątej przystanek dla prawdziwych ciem barowych.

Może to wczesna godzina uśpiła moją czujność.

Siedziałem na taborecie przy barze, kończąc stek i popijając dwoma piwami nalanymi wprawną ręką Eddiego Kiernana. Wzrostu metr sześćdziesiąt pięć i chudy jak pogrzbacz, Eddie grał w baseball w amatorskiej lidze, a potem wrócił na stare śmieci i otworzył knajpę. Jedząc kolację, słuchałem, jak Eddie użala się na konkurencję nowych sąsiadów oraz wywindowane przez nich do niebotycznych wysokości sumy opłat za ubezpieczenia.

Zerknąłem na zegarek; była siódma trzydzieści. Wyszedłem do toalety i przy okazji chciałem zadzwonić jeszcze raz przed powrotem do domu do Berniego Wellingtona. Gdy odsuwałem się od baru, jakiś facet wstał ze stołka, wpadł na mnie i szybko się cofnął. Miałem wrażenie, że uczynił to w nieco teatralny sposób.

Mocno zbudowany, wzrostu mniej więcej metr osiemdziesiąt, miał proste jasne włosy i złamany nos.

- Co z tobą, frajerze?

Wstrzymałem oddech.

- Zdaje mi się, że to pan na mnie wpadł.

- A żebyś wiedział - odezwał się drugi mężczyzna oparty o bar. Był tego samego

wzrostu co blondyn, ale miał ciemne kręcone włosy i prosty nos. Zrozumiałem, co jest grane, gdy pociągnął się za ucho.

Blondyn zamachnął się prawą ręką, mierząc w lewą stronę mojej twarzy. Sparowałem niezręczny cios, zakładając lewą rękę na prawe ramię napastnika i ściskając jego pięść pod pachą, jednocześnie pociągając mocno w górę jego łokieć. Raczej poczułem niż usłyszałem przesuwającą się kość, ale za to wyraźnie słyszałem wrzask bólu.

Czarny wyrzucił lewą pięść w chwili, gdy zgiąłem prawe ramię, żeby zasłonić głowę i kark, ale wiedział już, że musi się postarać, aby cios doszedł celu. Zatoczyłem się na stolik, przy którym siedziało czterech mężczyzn. Wstali, kiedy zaczęła się bójka. Blondyn skulił się na podłodze i jęczał z twarzą wykrzywioną grymasem bólu. Gdy czarny postąpił krok do przodu, by zadać cios prawą ręką, oparłem się na stoliku, żeby nie nadwyręzać kolana, a prawą nogą kopnąłem w łydkę jego lewej nogi, bo na niej opierał się cały ciężar ciała przeciwnika.

Tym razem wyraźnie usłyszałem trzask, po którym czarny runął ciężko jak ścięte drzewo i z równie wielkim hałasem. Eddie wyskoczył tymczasem zza baru z pałką w dłoni. Właśnie przymierzałem się do zadania facetom kilku pytań, gdy Eddie dźgnął mnie pałką jak bagnetem prosto w splot słoneczny.

Wylądowałem wśród hamburgerów, które czterej faceci zostawili na stole.

Nim zdążyłem złapać oddech, blondyn pozbierał się i podniósł czarnego. Na trzech zdrowych nogach, podtrzymując się trzema zdrowymi rękami wytoczyli się z knajpy w październikową noc.

Eddie stał koło mojego lewego uda z pałką opuszczoną jak flaga do połowy masztu.

- Dlaczego mnie?

- Przeraziłem się jak diabli, że rozpieprzysz tych drani. Wtedy mógłbym się pożegnać z ubezpieczeniem.

Udało mi się w końcu złapać oddech.

- To dlaczego... nie przywaliłeś im najpierw?

Eddie rzucił na mnie obrażone spojrzenie.

- Powiedziałem, że jestem ubezpieczony, a nieszalony.

Eddie Kiernan obiecał czwórce klientów nowe hamburgery. A ja uznałem, że jego też nie powinienem winić.

Kiedy odzyskałem zdolność oddychania, wyszedłem z knajpy i ruszyłem do mojej hondy. Stała na swoim miejscu nienaruszona. Wsiadłem, pojechałem do domu i powoli

wdrapałem się po schodach, dziękując Bogu, że nie muszę wylizywać się z cięższych ran.

Po wejściu do domu włączyłem automatyczną sekretarkę. Bernie prosił, żebym skontaktował się z nim jutro rano przed rozpoczęciem rozprawy.

Nastawiłem kompakt z nagraniem miękkiego, kojącego saksofonu sopranowego świętej pamięci Arta Portera. Wyciągnąłem się na kanapie, próbując pozbierać myśli. Na razie wiedziałem tylko tyle, że wpakowałem się w sytuację, która nie ma nic wspólnego ani z miękkością, ani z łagodnością.

Tak, to wymagało namysłu.

Obudziłem się nagle w ciemności, ale ból w piersiach nie pozwolił mi się podnieść. śniłem - wstyd przyznać - o Rhondzie Stralick. Nagle przypomniałem sobie jedną z jej uwag wypowiedzianych podczas mojej wizyty i ni stąd, ni zowąd skojarzyłem z tym, co mówił Bernie Wellington.

Jeśli się nie myliłem, dziwaczne pytania Michaela Monettiego podczas przesłuchań kandydatów na przysięgłych miały sens. Zrozumiałem też, dlaczego faceci śledzący lawendowy dom napadli mnie u Jacka.

Musiałem jednak znaleźć jeszcze jeden kawałek tej układanki - i nawet miałem już pomysł, jak to zrobić.

Pięć

W czwartek następnego dnia bardzo ostrożnie opuszczałem dom, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, mój splot słoneczny nadal odczuwał skutki zetknięcia z pałką Eddiego. Po drugie, jeśli blondyn i czarny również mieli znajomego w urzędzie rejestracyjnym, wówczas oni - albo ich zmiennicy - mogli ustalić mój adres domowy.

Na parkingu zajrzałem pod moją hondę, żeby sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie dołączył do zapłonu jakichś „dodatkowych opcji wyposażenia”. Postanowiłem ominąć biuro, bo to właśnie tam chłopcy Monettiego czekali, aby przyjechać potem za mną do Jacka.

Nasze muzeum sztuk pięknych przy Huntington Avenue obok doskonałych ekspozycji stałych prezentuje w tej chwili wystawę fotografii Herba Rittsa. Na obejrzenie wszystkiego nie starczyłoby całego dnia. Około jedenastej, wiedząc, że Bernie będzie w sądzie, zadzwoniłem do jego sekretarki z automatu w muzeum. Bez podawania nazwiska poprosiłem, żeby zadzwonił do mojego biura po lunchu.

Wolałem nie narażać Berniego na utratę prawa wykonywania zawodu.

Z muzeum pojechałem przez Charles do East Cambridge. Zaparkowałem samochód kilka przecznic od sądu i dyskretnie pokręciłem się trochę przed głównym wejściem do budynku. O wpół do piątej w tłumie wylewającym się z sądu spostrzegłem Artura Duranda. Ludzie w tym tłumie - zbyt niedbale ubrani jak na prawników - niewątpliwie byli „obywatelami wezwanymi do spełnienia swego obowiązku”. Durand szedł w towarzystwie młodej kobiety, która siedziała obok niego w ławie przysięgłych, i mówił coś, gestykulując głową i rękoma. Roześmiała się, tym razem nie zasłaniając ust jak podczas rozprawy; machnęli sobie ręką na pożegnanie i rozeszli się. Durand podrapał się po nosie palcem wskazującym lewej ręki.

Odprowadziłem go wzrokiem do stacji Lechmere. Kobieta ruszyła w kierunku północnym, a ja poszedłem za nią, trzymając się w przyzwoitej odległości.

Czasem człowiek ma szczęście.

Za rogiem kobieta wsiadła do dużego osobowego samochodu marki Subaru. Za kierownicą siedział mężczyzna w jej wieku, a na tylnym siedzeniu zauważyłem przypasane do fotelika małe dziecko.

Moje szczęście polegało zaś na tym, że tuż przede mną zahamowała taksówka, z której wysiadło dwoje starszych ludzi. Zdążyli już zapłacić kierowcy.

Samochód z przysięgłą włączył się do ruchu, a ja kazałem kierowcy jechać za nim.

- Daj spokój, Marjorie. Wolisz ten zestaw rodzinny, czy tamten drugi?

- Przestań, Phil. Od poniedziałku muszę słuchać świadków i prawników. Nie wygląda na to, żebyśmy mieli prędko skończyć, a ten Monetti to nie jest O. J. Simpson.

Phil tak łatwo nie rezygnował.

- Tak? To spróbuj codziennie po południu odbierać Troya ze żłobka.

- A czy nie robię tego co drugi tydzień?

Podśluchiwałem dyskretnie ich rozmowę, gdy powoli przesuwaliliśmy się wzdłuż kontuaru restauracji „Boston Chicken”. Czarująca Marjorie i Phil spierali się, które danie wybrać. Było ich wiele, między innymi pieczony indyk i szynka. Mały Troy stał między rodzicami, a jego głowa odwracała się to w jedną, to w drugą stronę jak podczas ważnego meczu tenisowego.

Marjorie zdecydowała się w końcu na zestaw z indyka, a Phil zapłacił i zaniósł tacę do najbliższego stolika dla czworga. Ja usiadłem przy pustym stoliku naprzeciwko.

- Może zmienimy temat? - zaproponował roztropnie mąż.

- Dobrze - odparła Marjorie niechętnym tonem, krojąc brokuły dla Troya.

Phil nadział na widelec kawałek indyka.

- Nadal nie wolno ci rozmawiać o procesie?

- Dopóki sędzia nie pozwoli, to znaczy do ogłoszenia werdyktu. Ale powiem ci jedno. Gdyby nie Artur, to chyba bym do tej pory oszalała.

- Ten facet, który siedzi koło ciebie?

- Tak. - Marjorie zabrała się wreszcie za swój posiłek. - Sędzia już dwa razy zwrócił mu uwagę, żeby nie żartował podczas przesłuchań, bo niby Artur mnie rozprasza.

Przypomniało mi się, jak Rhonda Stralick podsumowała charakter swojego lokatora.

- Żartuje w czasie sprawy o morderstwo?

- O usiłowanie morderstwa. - Marjorie wypła łyk coli. - Gdyby nie Artur i jego parodie, nie wiem, co by się stało ze wszystkimi przysięgłymi.

Phil wepchnął do ust duży kęs indyka.

- Parodie czego?

- Nie czego, tylko kogo. Artur potrafi naśladować Sylvestra Stallone i Arnolda Schwarzeneggera...

- Tego z telewizji, mamó? - spytał mały Troy, który dotąd milczał, zadowolając się rozsmarowywaniem po buzi ziemniaków purée.

- Tak, kochanie. Z filmów telewizyjnych. - Zwracając się do męża, Marjorie dodała: -
A Johnny'ego Carsona robi lepiej niż ten facet.

- Jaki facet?

- No wiesz, ten komik.

- Który komik?

- Ten, który parodiował prezydenta Nixona. Daj spokój, przecież wiesz, o kim mówię.
Mąż Marjorie twierdził, że nie wie, za to ja byłem pewien, że wiem.

- Mówi Wellington.

- Bernie, to ja, John Cuddy.

- Wielkie nieba, John, gdzie się podziewałeś?

- Miałem trochę roboty.

- Ty miałeś trochę roboty? Prokurator ma jutro skończyć przesłuchanie świadków, a to
oznacza, że ja muszę zacząć w poniedziałek. Próbowałem cię złapać...

- To długa historia, i lepiej, żebyś jej w ogóle nie słyszał.

Chwila milczenia.

- Jest aż tak źle?

- Pozwól, że najpierw cię o coś spytam.

- Słucham.

- Kiedy wybieraliście skład ławy, czy zdarzyło się coś niezwykłego?

- Niezwykłego? Poza dziwnymi pytaniami Monettiego?

- Mam na myśli Artura Duranda.

- Można tak powiedzieć. - Wahanie. - Ale to nie było dziwne. Właściwie nic
szczególnego.

- Opowiedz mi o tym.

Wellington zbiera myśli.

- Po zadaniu panu Durandowi ostatniego pytania z listy Michaela wróciłem do stolika,
żeby naradzić się z klientem. Właśnie wtedy ktoś z rodziny Michaela na widowni głośno
wytarł nos, czym rozbawił wszystkich obecnych. - Ton głosu Berniego zdradzał znużenie. -
Wierz mi, John, to była jedyna chwila wytchnienia dla mnie w tym całym procesie.

- Czy właśnie wówczas Monetti zdecydował o zatrzymaniu Duranda w składzie?

- Tak, to wtedy Michael powiedział, żeby go nie eliminować. I muszę ci wyznać, że
ten facet nie powinien być w składzie. Bardzo często zdarza się teraz, że adwokaci są
oskarżani przez swoich klientów o nie dość aktywną postawę podczas wyboru przysięgłych,

jeśli ława wydaje wyrok skazujący, a tymczasem mój klient każe mi...

- Bernie?

- Co?

- Zadzwoń do ciebie później.

- John...

Sześć

Następnego ranka wstałem o szóstej. Splot słoneczny prawie zupełnie przestał boleć. Założyłem stare ubranie, wsiadłem do samochodu i trasą przez Western Avenue i Central Square dotarłem do ulicy, gdzie mieszkał Artur Durand. Ani śladu facetów w beżowym fordzie, ale to nie znaczy, że zrezygnowali.

Zostawiam wóz i pieszo docieram do skrzyżowania. Robię jeszcze dziesięć kroków i przykucam za pojemnikiem na śmieci.

Czekam.

O siódmej czterdzieści słyszę charakterystyczne stukanie kroków pewnej osoby dochodzące od strony domu Rhondy Stralick. Wracam na skrzyżowanie. Gdy człowiek, który drapał się po nosie i wiercił na krześle, zbliża się, chwytam go za szyję.

Osunął się, ale nie zemdlął.

Łapię go za kołnierz i wlokę za pojemnik, nim się całkiem ocknie. Opieram go o ścianę. Powoli kieruje na mnie spojrzenie.

- Co się dzieje?...

- Przyjacielu, musimy trochę pogadać przed jutrzejszym posiedzeniem sądu.

Opiera dłonie na ziemi i próbuje się pozbierać.

Kładę mu ręce na barkach.

- Wpakowałeś się w głębokie bagno, chłopcze.

- Kim ty, kurwa, jesteś?

- Najpierw mówię ja, potem ty. Zrozumiałeś?

Cisza.

- Przestępcza kariera Michaela Monettiego dobiega końca. Jeszcze jeden wyrok skazujący i do końca życia będzie oglądał słońce z więziennego wybiegu. Jest oskarżony o usiłowanie morderstwa, więc trzeba coś zrobić. Kiedyś Mikey próbował podsłuchiwać świadka chronionego przez prawo, ale nie wyszło mu to na dobre. Zbiera więc wszystkich swoich przyjaciół i ogłasza burzę mózgów.

Spoglądam mu w oczy, przypominając sobie gadkę Berniego Wellingtona o „dobrej rodzinie”.

- Najważniejsza rola przypadła właśnie tobie, utalentowanemu kuzynowi oskarżonego.

- Nie wiem, o czym...

- Cierpliwości, jeszcze nie skończyłem. Mikey ułatwił ci zadanie. Siedziałeś razem z

całą rodziną w pierwszym rzędzie widowni przez pierwszy tydzień przesłuchań. Potem zaczęła się selekcja przysięgłych. Umówiliście się, że jeśli odpowiedzi któregoś z kandydatów spodoba się Michaelowi, rozważycie jego kandydaturę pod innymi względami. Chodziło o to, czy jest podobnego do ciebie wzrostu oraz wagi i czy ma jakieś charakterystyczne gesty, które łatwo można naśladować.

Teraz uwaga mojego słuchacza skierowana jest na mnie niepodzielnie.

- Facet nazwiskiem Artur Durand spełnia te wymagania prawie idealnie, tym bardziej że zaniedbane włosy odwróciły uwagę wszystkich od rysów jego twarzy. A więc, gdy przychodzi czas eliminacji kandydatów, wysyłasz Michaelowi subtelny sygnał „zatrzymaj go”. Kaszel, a może wytarcie nosa?

Oczy kuzyna rozbłyskują.

- A teraz przypomnijmy sobie, co stało się tydzień temu wieczorem. Zbiry twojego kuzyna idą za Durandem do domu Rhondy Stralick. W tym czasie siostra Mikeya, kosmetyczka, obcina ci włosy, tak żeby nikt się nie dziwił, że „Durand” zgolił także brodę. Twoje niewielkie podobieństwo do faceta i spory talent dokonają reszty, zwłaszcza wobec przysięgłych, którzy nigdy wcześniej nie widzieli prawdziwego Duranda.

- Ale ja jestem... Arturem Durandem.

- Nie słuchasz mnie, przyjacielu. Chłopcy Mikeya uprowadzają Duranda z domu, zabierają wszystkie zdjęcia i podstawiają ciebie w jego miejsce. Następnego dnia, w poniedziałek rano, wśród przysięgłych znajduje się jeden, którego zadanie polega na tym, aby doprowadzić do unieważnienia procesu. Może nawet uda ci się zdobyć przyjaźń kilku przysięgłych. Masz przecież talent do parodiowania sławnych ludzi, potrafisz też we właściwym momencie poklepać kogoś po plecach. Tak jak słynny komik Rich Little. Prawdziwy Durand ma całkiem inną osobowość, ale czy to ważne? Chodzi o to, żeby zdobyć kilka głosów za uniewinnieniem. Wystarczy, że będziesz słuchał uważnie zeznań i w czasie narady przysięgłych przytoczysz kilka dobrych argumentów. Prokurator dobrze by się zastanowił przed wniesieniem powtórnego oskarżenia, gdyby kilku przysięgłych zagłosowało „niewinny”. A gdybyś się dobrze postarał, może nawet udałoby ci się doprowadzić do uniewinnienia Michaela.

- Powtarzam, że nazywam się Artur Durand.

Potrząsam głową.

- Jesteś trochę zdenerwowany, co?

Cisza.

- Prawda?

- Prawda.

- No widzisz. Kłopot w tym, że zapomniałeś drapać się w nos, tak jak to robi Durand.
A właściwie - robił.

- O czym mówisz?

- Niech zgadnę. Mikey powiedział ci, że zgarniecie Duranda na czas procesu, a potem odstawicie tam, skąd go wzięliście, i wszystko wróci do normy, prawda?

- Nic nie powiem.

- No to słuchaj. W kwestionariuszu znajdują się pytania dotyczące takich spraw jak praca, rodzina i tak dalej. I co się okazuje? że Durand nikogo nie ma. Na pierwszy rzut oka wygląda więc na to, że wszystko układa się po myśli twojego kuzyna, bo w czasie procesu nikt nie zauważy nieobecności Duranda. Mikey postawił nawet swoich żołnierzy przed domem Artura, być może jako twoich opiekunów - po to, żebyś za bardzo nie brykał w nocy, co mogłoby cię zdemaskować. Ale dlaczego twój kuzynek umieścił cię w mieszkaniu Duranda na cały tydzień?

Brak odpowiedzi.

- Mikey ci to dokładnie wytłumaczył, prawda? „Rozumiesz, kuzynie, ktoś musi się tam kręcić, robić trochę hałasu, żeby właścicielka słyszała lokatora”. Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku. Ale co się stanie, jeśli pani Stralick wpadnie na ciebie na schodach? Albo zapuka do drzwi, żeby upomnieć się o czynsz? Dobrze zna swojego lokatora, niełatwo jej wmówić, że ty to on. A to o wiele większe ryzyko niż podejrzana cisza w mieszkaniu.

Oczy kuzyna zaczynają biegać nerwowo to w jedną, to w drugą stronę.

- Zastanówmy się więc. Mikey mówi ci, że przez jakiś czas musi z Durandem współpracować. Tylko skąd twój kuzyn może mieć pewność, że po wszystkim Durand nie podzieli się z innymi swoją tajemnicą?

Cisza.

- A jeśli Durand nie zamierzał mówić - bo dostał ładną sumkę albo zwyczajnie został zastraszony - to dlaczego zadawać sobie trud podstawiania cię w jego miejsce? Dlaczego po prostu nie skłonić prawdziwego Artura Duranda, żeby zagłosował „niewinny” i zapewnił Mikeyowi drugi proces?

Żadnej odpowiedzi, tylko spojrzenie oczu błyszczących niczym świetliki w nocy.

- Nie musisz uważać się za głupca, przyjacielu. Ja też nie od razu się w tym połapałem. Po pierwsze, dowiedziałem się, że twój kuzyn sparzył się, próbując kombinować ze świadkiem w tamtym procesie. Potem skojarzyłem to z pytaniami, jakie Mikey kazał adwokatowi zadać kandydatom. Pytał o armię, aresztowania i pracę w przemyśle

zbrojeniowym. Durand odpowiedział na wszystkie przecząco. Może mi powiesz, co te trzy rzeczy mają ze sobą wspólnego?

Kuzyn potrząsa głową.

- No dobrze, ja ci powiem, bo czas płynie: wszyscy, którzy służą w armii, pracują w przemyśle zbrojeniowym i są aresztowani, muszą złożyć w archiwum odciski palców. Durand odpowiedział przecząco na te trzy pytania, a więc jego odcisków palców nie ma w archiwum. Wydaje mi się, że twoich też nie.

Przetyka głośno ślinę. Może zrozumiał, do czego zmierzam.

- Dochodzimy do sedna: jeśli żołnierze Mikeya siedzieli w samochodzie przed domem, to...

- Ale wczoraj ich tam nie było.

Pierwszy raz do czegoś się przyznał.

- Nie dziwi mnie to. Zauważyli mnie w środe, dowiedzieli się, kim jestem, a wieczorem chcieli dopaść w barze.

Kuzyn potrząsa głową.

- Ale ty nie wyglądasz na...

- Zniechęciłem ich.

Obrzuca mnie badawczym spojrzeniem.

- Ale wróćmy do pytania, które postawiłem. Jeśli chłopcy twojego kuzyna pilnowali ciebie, odkąd zwinęli prawdziwego Duranda, a reszta klanu Monettich - łącznie z tobą - siedziała grzecznie w sądzie, kto zostaje do pilnowania ofiary?

Oczy kuzyna skaczą, jakby miały wyjść z orbit.

- Tak, przyjacielu. Artur Durand nie żyje, prawdopodobnie zabity przez zbirów Michaela tydzień temu. Ale po zakończeniu rozprawy - czyli powiedzmy za tydzień - zniknięcie przysięgłego, który brał udział w tak ważnym procesie, zostanie dokładnie zbadane przez policję, czym twój kuzyn nie będzie zachwycony. Zwłaszcza że gospodyni Duranda zezna, iż jej lokator jest cichy jak myszka, a pozostali przysięgli powiedzą, że to pierwszorzędny klaun. Najlepiej więc, gdyby ciało Duranda szybko się odnalazło, a śmierć nastąpiła w wyniku jakiegoś „niezwykłego i tragicznego wypadku”. W czym problem? Żaden lekarz sądowy, który dokona oględzin dwutygodniowych zwłok, nie kupi historyjki, że Artur Durand żył do zakończenia procesu. Dlatego podejrzewam, że Mikey będzie potrzebował świeżego trupa w miejsce ciała Duranda.

- Ale... czyjego?

- I tak wracamy do pytania, dlaczego twój drogi kuzyn umieścił cię w mieszkaniu na

drugim piętrze. Ważysz mniej więcej tyle samo, co Durand i jesteś podobnego wzrostu, ale raczej nie masz takich samych zębów. A więc po wypadku, w wyniku którego nastąpi poważne uszkodzenie ciała, trzeba będzie dopasować niewygodne ciało do cech fizycznych zaginionego Artura Duranda. Zgadniesz, w jaki sposób? Odciski palców trupa będą się zgadzać z odciskami znalezionymi w mieszkaniu Duranda.

- Chcesz powiedzieć, że Michael zamierza mnie zabić?

- Spójrz na to z jego punktu widzenia. Po zakończeniu procesu staniesz się niewygodnym świadkiem, potencjalnie bardzo kłopotliwym. Co się stanie, jeśli zrobisz karierę jako komik sceniczny i jeden z przysięgłych, który spędził w sądzie dwa tygodnie z „Arturem Durandem”, rozpozna cię? Możliwe, że on albo ona uzna, że należy podzielić się tą informacją z władzami.

- Ale Michael... w naszych żyłach płynie ta sama krew.

- Założę się, że twojego kuzyna bardziej obchodzi własna przyszłość. Chociaż z drugiej strony, znasz go lepiej ode mnie. A więc jak myślisz, co będzie dla niego ważniejsze?

Nie widzę wątpliwości w jego oczach, ale jeśli jakieś mu pozostały, nie zawadzi ich wyeliminować.

- Z trzeciej zaś strony, założmy, że mylę się w ocenie stosunku Mikeya do rodziny. Ale wtedy, mój przyjacielu, pozostają jeszcze ja, a nie zamierzam trzymać w tajemnicy waszej małej maskarady. Zostaniesz oskarżony o współudział w morderstwie Artura Duranda.

Spuszcza oczy.

- To co mam, kurwa, robić?

- Pójdiesz ze mną rano do sądu, gdzie odbędziesz szczerą rozmowę z sędzią i prokuratorem.

W rozszerzonych oczach pobłyskują jasne białka.

- Odbiło ci? Jeśli sypnę Michaela, to tak, jakbym podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Opowiesz o tym, co zrobił Mikey, a wymiar sprawiedliwości zaopiekuje się tobą w ramach programu ochrony świadków.

- I to ma zapewnić mi bezpieczeństwo? Chłopcy Michaela już raz pokazali, że mają to w nosie.

- Ale wczoraj połamali sobie kończyny w barze. Teraz pewnie ktoś zakłada im gips.

- Więc Michael przyśle kogoś innego. Jakie będę miał wtedy szanse?

- Większe niż teraz.

Kuzyn Monettiego spuszcza wzrok.

- A więc... - Odkasłuje dwukrotnie, a po policzkach spływają mu łzy. Już nie drapie

się w nos. - A więc mam iść do sądu i powiedzieć prawdę.

- W terminologii prawniczej nazywa się to voir dire.

- Co?

- Mniejsza z tym.

Posłowie

Zanim zacząłem wykładać prawo i pisać książki, pracowałem jako adwokat w Bostonie. W owym czasie ustawodawstwo stanu Massachusetts nie pozwalało prawnikom przesłuchiwać kandydatów na przysięgłych. Przy okazji jednej ze spraw zrozumiałem, że na początku każdego procesu kobiety i mężczyźni zgromadzeni w ławie przysięgłych zlewają się w jednolitą masę bez twarzy. Mniej więcej do drugiego dnia przesłuchań dwanaście osób, które miały zdecydować o losie mojego klienta, było dla mnie równie obcych, jak zamaskowani przebierańcy w czasie Halloween.

Zapisałem to spostrzeżenie na kartce i umieściłem w teczce zatytułowanej POMYSŁY LITERACKIE. Dwadzieścia lat później, gdy Bill Bernhardt zadzwonił do mnie w sprawie tej antologii, szczęśliwy traf sprawił, że znalazłem ten skrawek papieru. Mam nadzieję, że spodobała się wam opowiedziana tu historia.

Jeremiah Healy

JOHN GRISHAM

Urodziny

Niemal każdy ma swoją ulubioną książkę Johna Grishama, lecz wśród prawników największą popularnością cieszy się powieść Czas zabijania dzięki brutalnemu realizmowi, z jakim autor przedstawił swoje postacie i trzymającej w napięciu akcji, która toczy się w sądzie. Opowiadaniem Urodziny Grisham pokazuje, że potrafi zbudować podobne napięcie na kilku stronach, a zarazem daje próbkę swojego talentu do kreślenia prawdziwych postaci, który sprawia, iż pozostają one z Czytelnikiem długo po zakończeniu lektury.

Zacny doktor zbudził się w ciemności tuż przed południem. Promień słońca jakimś cudem przedarł się przez zamalowane czarną farbą okna, odbił od ściany i padł bladym kręgiem na dywan. Doktor odwrócił się od niego, jęknął i zabębnił palcami w metalową ramę pod brudnym materacem.

Oczy go paliły, ale ich nie dotknął. Zamrugał raz i drugi, wbrew wszystkiemu licząc, że uda mu się oszukać ból. Mózg pulsował jak szalony pod czaszką - skutek upojenia wódką za pięć i pół dolara.

Dzisiaj wypadają kolejne urodziny. Poczta przyjdzie o drugiej. Każdego ranka przeklinał wódkę - stało się to już niemal rytuałem. To były już ósme urodziny. Znalazła go rok temu w nędznej przyczepie, jego getcie na czterech kółkach, wśród pozbawionych silników pikapów stojących na ulicy niczym zapomniane pomniki, przy których sikały wałęsające się bez opieki dzieci, i gdzie telewizory wyły non stop dzień i noc. Nawet tam go wytropiła. Ona zawsze wiedziała, jak go odszukać.

Podjął pracę jako sprzedawca lekarstw i wprowadził się do bliźniaka, gdzie nikt nie powinien go znaleźć. Szóste urodziny były w niedzielę; spał właśnie, śniąc o czymś, gdy ktoś zapukał do drzwi. Nawet nie zauważył, kiedy przyszła - znalazł tylko kolejną kopertę z urodzinową fotografią chłopca, teraz chudszeo, jakby skurczonego, bardziej groteskowego. Żadnej kartki. Rozplakał się nad zdjęciem i rzucił w wir narkotyków. Obudził się trzy dni później bez pracy.

Odsiedział trzy miesiące za kradzież w sklepie i ostatni raz pożyczył pieniądze od matki. Znalazł tę przyczepę. Sprzedał trochę lekarstw, żeby kupić coś do jedzenia.

Łyknał wódki i po raz setny przeczytał w gazecie historię lekarza, który się stoczył na dno. Przysięgli przyznali Jeffreyowi cztery miliony odszkodowania, a sąd apelacyjny utrzymał werdykt. Żona wzięła przy rozwodzie, co chciała, a resztę stracił. Znaczona nadużyciami kariera zakończyła się zapłaceniem pół miliona małemu Jeffreyowi, a po bankructwie nic nie zostało na koncie. Dziennikarz napisał, że doktor uwielbiał grać w tenisa.

Siódme zdjęcie wyglądało najgorzej. Głowa Jeffreya była o wiele za duża w stosunku

do ciała; pozostało tylko kwestią czasu, kiedy urodziny skończą się na zawsze. W zeszłym roku po otwarciu koperty siedział przy stole i płakał nad zdjęciem, aż w końcu nie wytrzymał i zwymiotował.

Nagle ogarnął go chłód. Szczelniej otulił się szlafrokiem i wsunął ręce głęboko w kieszenie. Teczka zawierała także dokumenty rozwodowe, listy od adwokatów, korespondencję z rady lekarskiej. Przeczytał to wszystko tysiące razy, ale słowa się nie zmieniały. Wpatrywał się bez końca w fotografię chłopca i prosił bez nadziei Boga, aby na kolejnym zdjęciu pozwolił mu ujrzeć zdrowego, uśmiechniętego dzieciaka na nowym rowerze, który dostał na urodziny. Łkał nad tymi zdjęciami, upijał się, tańczył niczym Cyganka, nienawidził ich, oglądając je planował samobójstwo. Ale zawsze chciał zobaczyć następne. Może tym razem będzie inne.

Teraz był pijany. Opróżnił plastikowy kubek i upuścił na podłogę. Zebrał zdjęcia, ścisnął plik gumką i wstał. Ręce mu drżały i mamrotał coś do siebie, gdy usłyszał słabe pukanie do drzwi. Znieruchomiał. Stukanie powtórzyło się. Oparł się o stół.

- Doktorze Green? - odezwał się kobiecy głos.

Podszedł do drzwi i uchylił je powoli. Kobieta stała na schodach. Wyrzał ostrożnie przez szparę. Minęło siedem lat, od kiedy się widzieli. Postarzała się, ale ładnie. Miała na sobie czerwoną sukienkę i długi ciemny płaszcz. Oczy wilgotne od łez. Słyszał silnik samochodu pracujący na jałowym biegu, niezbyt daleko. Niczego nie miała w rękach, żadnej koperty.

- Nie przyniosłam zdjęcia - powiedziała.

Poczuł, że zbiera mu się na mdłości. Oparł się o drzwi, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Urodziny się skończyły.

- Jeffrey zmarł dwa miesiące temu - rzekła z rezygnacją osoby pogrążonej w żalu, lecz świadomej tego, że najgorsze minęło. Otarła łzę z policzka.

- Przykro mi - powiedział głosem tak cichym i drżącym, że prawie niesłyszalnym. Spróbował jeszcze raz. - Tak bardzo mi przykro.

- Tak, wiem - odparła. Z oka spłynęła się kolejna łza. Nagle kobieta uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko. - Jestem zmęczona nienawiścią do pana, doktorze Green. Nienawidziłam pana przez osiem lat, a teraz wszystko skończone. Jeffrey nie żyje. Teraz jest mu lepiej, a ja muszę coś zrobić z resztą życia. Prawda?

Udało mu się skinąć lekko głową. Trzymał za klamkę od wewnętrznej strony drzwi.

- A więc przestałam pana nienawidzić. Nie będę już pana szukać ani wysyłać zdjęć. I przykro mi, że to robiłam. - Przerwała. - Chcę, żeby mi pan wybaczył.

Zatoczył się i upadł na podłogę, szlochając żałośnie. Kobieta uklękła na podłodze w drzwiach. Patrzyła, jak zasłania sobie oczy rękami.

- Proszę mi wybaczyć, doktorze.

- Tak mi przykro - wykrztusił między jednym spazmem a drugim. - Tak bardzo mi przykro.

Przetoczył się na bok i skulił jak niemowlę. Kobieta popatrzyła jeszcze przez chwilę, a potem odeszła. Doktor leżał dalej na podłodze, trzęsąc się i jęcząc wśród szlochów.

Obudził się kilka godzin później. Drzwi były nadal otwarte; z zewnątrz dochodziły krzyki dzieci bawiących się i jeżdżących na rowerach. Doktor słyszał też głośny dźwięk telewizorów. To otyłe gospodynie domowe jak co dzień oglądały program Oprah Winfrey.

Był zbyt pijany i słaby, by wstać, więc poczołgał się po wytartym zielonym dywaniku, a potem przez brudny parkiet w kuchni do sypialni.

Zamknął drzwi pokoju, jak gdyby ktoś mógłby wejść i go powstrzymać. Pistolet leżał pod materacem. Doktor wiedział, że nie ma dość odwagi, by go użyć, lecz jakaś przemożna siła pchała go do niego. Nie mógł się oprzeć pragnieniu - musiał chociaż potrzymać go w dłoni.

PHILLIP FRIEDMAN

Droga

Postacie z powieści Phillipa Friedmana zaliczają się do najlepiej skonstruowanych psychologicznie w całej współczesnej literaturze, nie tylko popularnej. Jednym z zarzutów najczęściej wysuwanych wobec opowiadań jest to, że ze względu na niewielką objętość autorzy kładą nacisk na akcję, upraszczając rysunek psychologiczny postaci. W przedstawionym tu opowiadaniu o prawniku, stającym oko w oko ze swą przeszłością w niezwyklej okolicznościach, Friedman pokazuje, że wspomniany zarzut nie zawsze bywa uzasadniony.

Wczoraj w nocy, kiedy usłyszał tę szaloną propozycję przejechania samochodem prawie tysiąca mil, by stawić się w sądzie i uratować od śmierci jeszcze jednego nieznanego, wydała mu się ona całkiem sensowna. Zaplanował sobie nawet zajęcia na drogę: poćwiczyć poranne wystąpienie i przemyśleć sprawy, którymi będzie musiał zająć się po powrocie.

Ale konstruktywne myśli uleciały teraz bardzo daleko, jakby rozplynęły się w oparach czarnej lury, którą podano mu podczas tankowania na stacji benzynowej. Właściwie nie było żadnego konkretnego powodu, dla którego się spóźnił, tylko seria drobnych niepomysłnych zbiegów okoliczności. Zaczęło się od tego, że godzinę później niż planował udało mu się wyjechać z hotelu w nieznanym mieście i stanie; potem na długości ponad kilometra musiał się przeciskać jednym pasem jezdni obok robotników w jaskrawych pomarańczowych kombinezonach z napisem ZAKŁAD KARNY, pracujących przy wymianie chodnika - wszystko to sprawiło, że trafił w sam środek porannej godziny szczytu, której tak bardzo chciał uniknąć.

Teraz, nawet gdyby wszystko dalej poszło zgodnie z planem, dojedzie na miejsce i nie będzie miał czasu na sen ani nawet porządną drzemkę - trzeba będzie wysiąść z samochodu, może wziąć prysznic i coś zjeść, ulżyć kiszkom, podkręcić mózg kolejną filiżanką kawy i wyjść na scenę.

A przedstawienie będzie nie byle jakie. Z reguły rozprawy w sądzie apelacyjnym nie stanowią okazji do dramatycznych wystąpień, ale ta sprawa wywoływała dramatyczne reakcje od samego początku - nie tyle z powodu samej zbrodni, co ze względu na wyrok śmierci na tak młodego i przystojnego człowieka, który nigdy wcześniej nie był karany. Dzięki temu martwe zazwyczaj wnętrza budynku sądowego ożywią skandowania zwolenników przeciwnych stron i krzątania dziennikarzy z całego świata. I jak zawsze w takich przypadkach, mowy oskarżenia i obrony przyciągną dwa kręgi zrozpaczonych: pogrążoną w żalobie rodzinę ofiary i rodzinę oskarżonego, kurczowo trzymającą się wątłej nadziei, że jakiś

sądowy cud lub magia słów adwokata zapobiegnie ich żałobie.

Wiele mil dalej, nieco z prawej strony - za niezmierną połącią ziemi, której monotonię zakłócały jedynie rozrzucone z rzadka domy farmerów, samotne silosy i smukłe kształty nowoczesnych młynów - piętrzyły się czarne, szare i srebrne bałwany chmur, przetykane słupami światła. Tu i ówdzie atramentowe brzuchy chmur ocierały się prawie o ziemię, co było widowym zwiastunem ulewy, której rozmiarów można było się tylko domyślać. Dzień, tak bardzo przesycony gorącem i wilgocią, że nawet najwięksi entuzjaści świeżego powietrza schronili się w domach, kuśił teraz fałszywą obietnicą wytchnienia burzy, której jedynym usprawiedliwieniem jest piękno uwolnionych sił natury.

Pamiętał, kiedy po raz pierwszy ujrzał podobne pejzaże przetaczającej się po bezkresnym niebie pogody: było to podczas młodszej wyprawy z jednego końca kraju w drugi, w drodze z domu do college'u. Drodze, która urwała się w połowie. Pruł po szosie w Newadzie - w tamtych czasach praktycznie nie obowiązywały żadne ograniczenia prędkości - rozpędziwszy swojego brytyjskiego roadstera do stu pięciu mil, aż zatarły się cylindry. Przebrnął jakoś góry w stanie Utah i dowlókł się do małego miasteczka w Wyoming, niedługo przed pierwszym jesiennym śniegiem. Liczył na to, że ktoś zdoła naprawić mu samochód, a jeśli nie naprawić, to chociaż doprowadzić do takiego stanu, żeby udało się dociągnąć do Rock Springs albo jakiegokolwiek większej miejscowości z prawdziwym warsztatem, który mógłby zamówić części.

Ale nic z tego nie wyszło. Wszyscy udawali życzliwość, ale on wiedział, że uważają go za jakiegoś hipisa z zagranicznym wozem i za długimi włosami, choć przyjaciele uważali, że jest obcięty prawie na jeża. Gapili się na samochód, wsadzali głowy pod maskę, cmokali, ale nie mieli części, które by doń pasowały - „mówiłeś, że niby skąd ta bryka?”

W końcu na ostatniej stacji, do jakiej się dowlókł, musiał zamienić wóz na dwudziestoletniego pikapa, który nie widział szosy od lat. Wynegocjował z właścicielem stacji, że półciężarówka musi być na chodzie, choć określenie to, jak się później przekonał, było raczej względne.

Ruszył więc chroboczącym pojazdem na międzystanową autostradę, o niecały dzień wyprzedzając złą pogodę. Bagaże oparł o drzwi od strony pasażera, żeby zatkać przeżarte przez rdzę dziury, w których świstał wiatr. śnieżycy dopadła go w Green River, więc na trzy dni zadekował się w trzeciorzędnym przydrożnym motelu i czekał, aż burza przesunie się na wschód, a pługi śnieżne oczyszczą drogę.

Kiedy wychylił nos z motelu, okazało się, że pikap wyzionął ducha. Z początku wydawało mu się, że to tylko akumulator, ale nawet wymiana na najlepszy, jaki udało mu się

kupić, nie dokonała cudu. Problem okazał się znacznie poważniejszy niż brak prądu, ale niestety miejscowi mechanicy byli równie bezradni, jak gdyby mieli do czynienia z brytyjskim roadsterem. Był studentem prawa i jego zasoby finansowe, choć znacznie bogatsze niż większości kolegów, nie pozwalały na kosztowną reanimację półciężarówki, której nie miał zamiaru dalej używać.

Dźwięk klaksonu z tyłu przywołał go do rzeczywistości. Jechał dwadzieścia kilometrów ponad dozwoloną prędkość, ale nie miał ochoty zagradzać drogi temu smokowi, który groził pożarciem tylnego zderzaka. Oglądał Pojedynek na szosie trzy razy i zawsze z ochotą poddawał się paranoicznej wizji wywołanej widokiem osiemnastokołowej ciężarówki we wstecznym lusterku, tak bliskiej, że można było policzyć muchy rozmazane na siatce chłodnicy. Czmychnął więc na wolniejszy pas, kątem oka zauważył niebieski znak baru przy następnym zjeździe i w tej samej chwili poczuł ssanie w żołądku. Nie licząc nędznych przekąsek, które zabrał na drogę, i kwaśnej kawy na stacji benzynowej, nie miał nic w ustach od świtu, kiedy przejechał przez góry.

Tego ranka w Wyoming, jakże dawno temu, zjadł obfite śniadanie, żeby przygotować się do potyczki z kolejnym właścicielem warsztatu, tym razem młodszym, z twarzą nieodkrytego gwiazdora filmowego; mężczyzna wyglądał tak, jakby w stajni za garażem trzymał konia, którego wykorzystywał jako środek transportu zamiast zawodnych czterokołowych pojazdów, przydatnych tylko dlatego, że dzięki ich dolegliwościom mógł opłacić czynsz i postawić jedzenie na stole.

Tym razem zdobył bilet autobusowy do Denver, czyli mniej więcej we właściwym kierunku, choć nie taką trasę sobie wyznaczył. Tam właśnie wybierał się mechanik z żoną, aby odwiedzić chorą matkę; w negocjacjach nie było mowy o pieniądzu - od samego początku wiedzieli obaj, że będzie to wymiana barterowa. W końcu właściciel warsztatu wręczył mu bilet z nieukrywaną ulgą, najwyraźniej zadowolony, że żona pojedzie sama.

Po kolejnej nocy w pokoju tak zimnym, że nie sposób było się porządnie wyspać, wsiadł do autobusu i zajął wolne miejsce przy oknie, mniej więcej w połowie długości pojazdu. Nawet nie uświadamiał sobie, że oczekiwał, iż miejsce obok zajmie żona mechanika. Bilety były kupione razem, ktoś wspominał o rezerwacji miejsc, więc pomylił autobus z samolotem albo z teatrem na Broadwayu. A może zdawało mu się, że bilet poplamiony olejem samochodowym, który trzymał w kieszeni, uprawniał go do zajęcia na czas podróży miejsca pierwotnego właściciela w sensie o wiele szerszym i głębszym niż tylko siedzenie w środku lokomocji zmierzającym do określonego punktu przeznaczenia.

Podświadomie oczekiwał przybycia żony odpowiadającej urodą nieprzyzwoicie przystojnemu mechanikowi - równie wysokiej i szczupłej, lecz o rysach subtelniejszych, długich blond włosach i oczach niebieskich jak chłodna toń jeziora, nogach mocnych od ściskania końskich boków, marzącej o wyrwaniu się z klatki sterylnej życia nie do zbolącej matki, lecz do jasnych świateł miasta Denver ze stumetrowym holem w Brown Palace Hotel. Zdumiał się więc niezmiernie, gdy obok usiadła rosła kobieta w zatłuszczonej opończy, która miała na oko nie mniej niż sześćdziesiątkę, o twarzy upstrzonej ciemnymi znamionami, z worami pod pustymi oczyma i kosmykami siwych włosów, zaplecionymi w nibywarkocze. Mógł jednak zrozumieć, że wzięwszy pod uwagę życie w tym surowym klimacie, pracę na ranchu, gotowanie posiłków dla kierowców ciężarówek, czy co tam jeszcze robiła, a także urodzenie nie wiadomo ilu dzieci - kobieta mogła mieć pięćdziesiąt, czterdzieści albo nawet mniej lat. Sądząc zaś po zapachu, myślała się nie częściej niż przy okazji prania lepkiej od brudu opończy i czerwonej sukienki, której kołnierzyk otaczał ciemną od brudu szyję.

W ostatniej chwili, gdy autobus zawarczał i powoli zaczął odpływać od stanowiska, nie mając na pokładzie nikogo, kto choćby w minimalnym stopniu przypominałby żonę mechanika, przed autobusem zahamował pikap - bez wątpienia ten sam, choć trudno było uwierzyć, że ktoś mógł go ożywić - prowadzony przez mężczyznę, którego bilet skasował kilka minut temu kierowca. Czy to możliwe, aby właściciel warsztatu odkrył, że samochód jednak chodzi, i przyjechał po to, aby odebrać swój bilet, wsiąść do autobusu z żoną, długonogą blondynką, a półciężarówkę zwrócić prawowitemu właścicielowi?

Poruszył się już nawet na siedzeniu. W myślach dokonał przeglądu bagażu i przygotował się do wysiadania. Zauważył jednak, że kierowca siedzi dalej za kierownicą pikapa; poza naprawieniem samochodu mechanik zamontował przy tylnym oknie uchwyt na broń, gdzie spoczywała teraz strzelba i karabin, które - nawet z pewnej odległości, widziane przez szybę autobusu - lśniły od częstego używania i troskliwej pielęgnacji.

Z pikapa wysiadła kobieta, zostawiając otwarte drzwi, wiszące krzywo na zardzewiałych zawiasach, podbiegła do autobusu i mocnym uderzeniem pięści dała znać, że chce wsiąść. Po chwili przeciskała się już między rzędami siedzeń. Wyglądała zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażał. Spojrzał z ciekawością, wiedząc od pierwszej chwili, że to na pewno jest żona mechanika. Uznał, że może rzeczywiście jedzie do chorej matki, choć patrząc na to teraz, z perspektywy czasu, jako adwokat, dostrzegł wiele znaków wykluczających takie przypuszczenie. Fakt, że dwoje ludzi jedzie razem pikapem, to o wiele za słaby dowód, iż są małżeństwem, nawet jeśli rzecz dzieła się w Wyoming ćwierć wieku temu.

Spojrzał raz i nie mógł oderwać oczu. Niska, ciemnowłosa, miała puciołowate policzki i usta stworzone do uśmiechu, choć w tej chwili się nie uśmiechała. Była w jej kształtach jakaś krągłość, ale gdy tak przesuwiała się między siedzeniami, w rozpiętej kurtce z owczej skóry - trochę bokiem, jak gdyby nie chciała się o nic i nikogo ocierać - zdawało się, że szczupłą talię można objąć dłońmi. Spojrzenie jej oczu, ciemnych i głębokich, o tęczęwkach tak dużych, że prawie nie było miejsca na białka, i tak samo zatroskanych jak usta, spoczęło na nim na chwilę, wywołując drzenie serca, i umknęło.

Wspomnienie tych oczu, ich pociągającej miękkości, i dziwnie wąskiej talii, nawiedzało go przez wiele lat, nie stale, lecz od czasu do czasu, w najbardziej zaskakujących chwilach. Nie wiedział, co je przywoływało. W końcu obraz rozplynął się, a wraz z nim wyobrażenie nieskończonych możliwości otwierających się przed nim tamtego dnia: jej włosy rozpostarte na białej poduszce, bogactwo ciała przesyconego wonią morza, spieniona biel fal w promieniach słońca - wszystko to nie miało żadnego związku z rzeczywistością. Tego dnia, kiedy ją zobaczył, przeszła po prostu obok, nie zatrzymując się, i znalazła miejsce gdzieś z tyłu.

Zaburczało mu w żołądku; głód obwieścił swoją brutalną przewagę nad mrzonkami przeszłości. Zerknął na zegarek, choć właściwie nie było potrzeby: wiedział, że nie starczy mu czasu na posiłek. Bak był do połowy pełny; liczył, że uda mu się przejechać resztę drogi z jeszcze tylko jednym przystankiem na tankowanie. Schylił się, sięgnął po plastikową torebkę i położył ją na fotelu pasażera. Zawartość torebki stanowiły teraz w większości odpady - skórki od bananów i puste puszki po konserwach - ale znalazł jeszcze jeden, niewielki, owinięty w folię gruby baton masy składającej się z owsa, miodu, orzeszków i jeszcze czegoś, twardy jak beton i niewiele smaczniejszy.

Uspokoił głód, ale to nie wystarczyłoby utrzymać myśli przy procesie, który zmusił go do wyruszenia w tę długą drogę. Na szczęście pęcherz nie domagał się opróżnienia, bo nie chciał się zatrzymywać. Jeśli będzie trzeba, wysika się w pustą butelkę po wodzie mineralnej, podskakującą przed fotelem pasażera.

Tamtego dnia, po pół godzinie jazdy z Green River do Denver wstał, by skorzystać z cuchnącej chemikaliami autobusowej toalety, z lepką podłogą; szedł powoli, opierając się dla utrzymania równowagi o siedzenia, ze wzrokiem utkwionym w nią. Siedziała przy oknie w przedostatnim rzędzie, intensywnie wpatrując się w bielejący pustką krajobraz z górami na horyzoncie. Zerknęła nań i zaraz odwróciła głowę; krótkie spojrzenie nie zatrzymało się ani na chwilę, nie wyczytał w nim zaproszenia.

Wytrzymał całą podróż do Denver, każdej sekundy świadom obecności kobiety siedzącej sześć rzędów dalej. Nie wstał, bo prócz pasażerki siedzącej obok w autobusie nie było żadnej, która wyglądała lepiej od jego sąsiadki; nie zmienił też miejsca, bo byłoby to zbyt wyraźne okazanie niechęci kobiecie w opończy. W tamtych czasach był wyczulony na takie zachowania, jako sprawca i jako ofiara.

Wytrzymał też upokarzający telefon z Denver do rodziców z prośbą o zarezerwowanie biletu na samolot za pośrednictwem biura podróży, które załatwiało ich coroczne wakacje w Toskanii. I jeszcze większe upokorzenie: milczący wyrzut ojca z powodu straty samochodu, pieniędzy, które był wart lub po prostu niepoprawnej lekkomyślności syna. Co z niego będzie za prawnik, jeśli nie potrafi dać sobie rady z najprostszymi sprawami, jeśli niszczy silnik podczas zwykłej jazdy z domu na uczelnię?

Został przyzwoitym prawnikiem, choć nie takim, jakiego wymarzył sobie ojciec: w trzyczęściowym garniturze, białej koszuli, za biurkiem bardzo ważnej kancelarii prowadzącej interesy wielkiej FIRMY. Firmy pisanej dużymi literami, rzecz jasna, czyli kompleksu budynków pełnych maszyn i ludzi, którymi ojciec władał z nieznoszącą sprzeciwu, spokojną pewnością feudalnego pana.

On wybrał pracę w biurze prokuratora, wierząc naiwnie, że system jest tak silny, jak jego najsłabsze, najbardziej problematyczne ogniwo. Chociaż szybko uświadomił sobie, jak szalony był to pomysł, spędził tam cztery lata, starając się wchłonąć całą wiedzę o działaniu prokuratury i wykonując swoją pracę bez entuzjazmu, ale z pedantyczną dokładnością. Potem, gdy wskoczył do innego pociągu i został adwokatem (powinien był to zrobić od razu), mógł korzystać ze znajomości mocnych i słabych stron prokuratury. Jako adwokat pracował niezamordowanie, szybko zyskując sławę nie tylko zwycięzcy, ale wręcz wędrownego mistrza. Wkrótce jego czas stał się tak cenny, że mógł zajmować się tylko najważniejszymi, najpilniejszymi sprawami.

Zawsze było więcej pracy niż zdołałby wykonać. Nie potrafił już dłużej udawać, że lubi swoją robotę. W ilu procesach był konsultantem, w ilu wziął udział osobiście? W ilu sądach wystąpił, przed iloma sędziami?

Nadchodził czas - właściwie już nadszedł - żeby spojrzeć prawdzie w oczy. Nie szło wyłącznie o doktrynerów z ciał ustawodawczych, lecz o prawdziwą wolę przeważającej części Narodu. Egzekucje rozpowszechniły się bardziej niż kiedykolwiek od czasu, gdy rozpoczął praktykę, może nawet od dnia, w którym się urodził. Nie wyroki śmierci, ale egzekucje w majestacie prawa. Ta tendencja nadwyrężyła nawet jego wiarę w fundamentalną słuszność prawa i możliwość jego udoskonalania, a wiedział, że będzie jeszcze gorzej.

Wiedział też, że taka tendencja niesie w sobie potencjalną możliwość jej odwrócenia: prędzej czy później zdarzy się sprawa tak potworna, że Narodowi zbierze się na wymioty, dojdzie do tak rażącego złamania zasad sprawiedliwości, że wahadło zmieni kierunek. Wtedy jego praca stanie się odrobinę łatwiejsza i trochę - nie po raz pierwszy przyłapał się na tej myśli - trochę mniej niewdzięczna.

Ale to złe, albo przynajmniej powinno się to uważać za złe. Wzdrygnął się uświadomiwszy sobie, że to, co nazwał „niewdzięcznością”, wcale nią nie było. Często nikt nie umiał zdobyć się na podziękowanie mu za to, co zrobił, bo przeważnie zostawał ostatni na scenie w sprawie, która już była beznadziejna. Mógł więc jedynie liczyć na krótką jak mgnienie oka wdzięczność ludzi kochających tego, którego on nie zdołał ocalić, wdzięczność wyrażoną szczerze, ale tak przelotną, że prawie nieodczuwalną.

A mimo to nie zdjął nogi z pedału gazu, pędząc ku oczekującym go zdesperowanym ludziom, naprzeciw odległej burzy, która na razie stanowiła tylko ornament krajobrazu. Miał nadzieję, że tam pozostanie, że nie zmusi go do zatrzymania się na poboczu, choć wiedział, że przydałaby mu się teraz krótką nawet drzemka. Ostatnio przyzwyczyił się do popołudniowego zmęczenia, niewywołanego żadną szczególną przyczyną. Po prostu od pewnego czasu nie sypiał dobrze, pracował zbyt ciężko, nie odżywiał się tak, jak ponoć powinno się odżywiać, nie trenował tak jak kiedyś, wmawiając sobie, że to z powodu chorego kolana - choć wiedział, że mógłby doskonale wykonywać niektóre ćwiczenia, i wiedział też, że ćwiczenia są bardzo ważne. Prawda była taka, że żałował na to czasu - miał zbyt wiele ważnych spraw, żeby tracić czas na jazdę do jakiegoś basenu na peryferiach miasta, a potem wracać. Dlatego latem wynajął ten dom z basenem, chociaż i tak udawało mu się go nie używać.

Może życie byłoby bardziej racjonalne, bardziej uporządkowane, gdyby się ożenił. Jego życie uczuciowe przypominało tę przerwana podróż sprzed lat: niespełnione fantazje, kobiety, które brały go w posiadanie, a jednocześnie się wymykały, i inne kobiety, które co jakiś czas bezczelnie zajmowały miejsce koło niego i nie chciały go nikomu odstąpić, a od których uwalniał się z bolesną, autodestrukcyjną powolnością. Przeczytał kiedyś zdanie, które doskonale ujmowało jego doświadczenia: „Niestałości kobiet, które kocham, dorównuje jedynie stałość kobiet, które mnie kochają”. Cytat z George’a Bernarda Shawa, wykorzystany jako motto powieści, z której lektury zapamiętał tylko tyle, że śmiał się od początku do końca. Shaw nie powiedział jednak, albo nie dopowiedział, jak trudno strząsnąć z siebie tę piekielną stałą miłość, albo jak zniechęcić do siebie miłość tak, aby sama rozplynęła się w powietrzu.

Ciemniejące niebo przypominało mu o rzeczywistości. Chmury stawały się częścią

najbliższego otoczenia, a nie odległym wyobrażeniem świata z pocztówki, obok którego przejechał samochodem. Jeśli już będzie musiał się zatrzymać, lepiej wybrać miejsce, gdzie będą mogli napełnić mu bak i żołądek. Nie miał najmniejszego zamiaru jechać przez burzę. Spóźni się jeszcze bardziej, ale należy się z tym pogodzić, jeśli alternatywą może być niedojechanie w ogóle.

W tej chwili jednak, mimo że bardzo się starał, nie mógł uzmysłowić sobie, dlaczego właściwie zależy mu, żeby stawić się tam osobiście. Dokumenty zostały złożone na czas, zespół opracował wspólnie linię obrony przy użyciu telefonu, poczty elektronicznej i faksu, czyli całego arsenału współczesnej komunikacji. Nie powinno mieć znaczenia, kto wstanie i wygłosi mowę na sali rozpraw. Jednak w ostatniej chwili drugi obrońca uznał, że sędziowie jednak nie odbiorą źle faktu, że jest adwokatem z wielkiego miasta; jego umiejętność przekonywania i doświadczenie w takich sytuacjach mogą przeważać niechęć południowców do Jankesa. Oto miara ich bezradności, pomyślał, chęci uchylecia się od odpowiedzialności, jeśli werdykt okaże się dla nich niepomysłny.

Zjechał z autostrady na widok kolejnego niebieskiego znaku, tym razem obiecującego posiłek i paliwo. Nieco dalej stał znak stopu i rozpoczynała się dwupasmowa asfaltowa szosa. Na zielono-białym drogowskazie zauważył nazwy dwóch miast, o których nigdy wcześniej nie słyszał; jedno znajdowało się po prawej, a drugiej po lewej stronie. Nie było żadnych innych informacji; rozglądając się w obie strony nie zauważył niczego, co mogłoby wskazać drogę do baru czy stacji benzynowej. Wokół falowały wzgórza, a właściwie pagórki dość wysokie, aby ograniczyć pole widzenia, które jeszcze godzinę temu zdawało się nie mieć kresu; światło uleciało z nieba, a wisząca w powietrzu wilgoć, przednia straż nadciągającej burzy, uniemożliwiała ocenę, która z dróg skracających w mrok jest bardziej obiecująca.

Był już zbyt głodny - i wyczerpany - by chciał mu się rzucić monetę. Postanowił skręcić w prawo, nawet gdyby jedyną korzyścią miało być to, że nie przejedzie pod autostradą.

Jak zauważył z góry na skrzyżowaniu, droga skręcała niemal natychmiast, a potem znowu w przeciwną stronę, i jeszcze raz. Wznosiła się i opadała powoli, wiła się i cofała, zarośnięta z obu stron niskimi krzakami zasłaniającymi wszystko, co znajdowało się dalej. Pamiętał, żeby zerknąć na licznik. Gdyby z jakiegoś powodu musiał wrócić na autostradę w deszczu, nie chciał przeoczyć wjazdu.

Jechał powoli, wyciągając szyję w poszukiwaniu jakichś śladów cywilizacji. Mijał ogrodzenia, stodoły i zabudowania gospodarcze przy drodze, ale żadnych barów, billboardów, śladów ludzkiego życia.

Niebo coraz bardziej ciemniało, a chmury się opuszczały, tak że nawet przy włączonych światłach miał wrażenie, iż jedzie krętym, niekończącym się tunelem, którego ściany nie zawsze są widoczne, a sklepienie cały czas grozi zawaleniem. Był u progu rozpacz, przekonany, że wybrał niewłaściwą drogę, gotów zawrócić i pojechać w lewo, z nikłą nadzieją, że dotrze do stacji lub do baru przed nadejściem burzy. Inaczej pozostałoby mu zatrzymać się na poboczu i przeczekać burzę tam, gdzie się znalazł.

Przygnębiony, wściekły, wymyślając sobie od najgorszych idiotów, zaczął się rozglądać za miejscem, gdzie mógłby zawrócić, nie ryzykując manewru na krętej, ciemnej drodze. Oddychając powoli i głęboko, powiedział sobie, że jego niepokój przynajmniej częściowo wywołany jest przez głód i zmęczenie. Jest tam, gdzie jest, i żadne narzekanie nie poprawi sytuacji. Za kolejnym zakrętem zamajaczyło coś, co wyglądało na zjazd w prawo, i po chwili okazało się, że rzeczywiście znajduje się tam szeroka, półkolista zatoka parkingu, a za nim pompy stacji benzynowej i niski budynek supermarketu z przeszklonym frontem i neonem na dachu.

Odetchnął z ulgą, zwolnił i wjechał na parking za pompami, przy wejściu do sklepu. Koła samochodu zdążyły przekroczyć linię oddzielającą teren prywatny od publicznego, gdy błysk pioruna rozświetlił wszystko, na ułamek sekundy zostawiając na siatkówce oka ślad obrazu. Niemal w tym samym momencie trzask pioruna zachwiało samochodem i z nieba lunęły strumienie deszczu. Jechał dalej, kierując się bardziej tym, co ujrzał w blasku pioruna niż tym, co widział w tej chwili, szczęśliwy, że za chwilę będzie mógł się zatrzymać.

Jeden wóz stał zaparkowany przy pompie, dwa koło drzwi, a między nimi motocykl. Szerokim półkolem ominął drugi samochód i stanął. Siedział przez chwilę w wozie chłostanym strumieniami ulewy. Sprawdził, czy okna są zamknięte, silnik i wszystkie urządzenia elektryczne wyłączone, przesunął się na fotel pasażera, żeby nie musieć obiegać samochodu, zebrał się w sobie i otworzył. Dotknął ziemi nogami już w biegu, zatrzasnął za sobą drzwiczki, ale nie zamykając ich na klucz. Przemknął jak na skrzydłach dziesięć metrów do drzwi smaganych grubymi kroplami, popchnął je i wpadł do środka. Zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu i ocieknąć z wody. W kolanie czuł bolesne pulsowanie; był cały przemoczony, woda spływała mu po włosach i twarzy aż za kołnierz. Miał ochotę otrząsnąć się jak pies po wyjściu z kałuży.

Rozejrzył się. Był to średniej wielkości sklep samoobsługowy. Na półkach piętrzyły się puszki z żywnością i olejem silnikowym, w chłodziarkach stały rzędy napojów bezalkoholowych i piwa. Wszystko to, zalane jaskrawym światłem jarzeniówek, wydawało się nierealne po smolistej ciemności, jaką otuliła świat matka natura. Nikt nie krzątał się

między półkami. Zrobił kilka kroków, zostawiając za sobą mokry ślad. Odchrząknął, chciał powiedzieć „dzień dobry, jest tu kto”, ale powstrzymał się, bo kątem oka ujrzał jakiś ruch po drugiej stronie.

Była to kobieta, ta sama, którą zapamiętał z podróży autobusem do Denver dwadzieścia lat temu, żona mechanika samochodowego, choć wydawało się to niemożliwe - ta wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a tamta powinna mieć dwa razy tyle. Gdyby nie to, przysięgłby, że to ta sama osoba: miała obfitszą fryzurę, ale te same pucołowate policzki i łagodny łuk warg, wyraźnie zaznaczoną krągłość piersi i bioder, i tę samą wąską talię. A co najdziwniejsze - te same duże, ciemne oczy o głębokim spojrzeniu. Takie same, ale nie te same, bo gdy w nie spojrział, nie odwróciła się. Wykonała tylko krótki ruch ręką, by zwrócić uwagę na pistolet, z którego doń mierzyła.

Gdy tak stał, ociekając wodą, obrzuciła go spojrzeniem od góry do dołu. Co zobaczyła - starca? Ale on nie był stary, był w sile wieku. A jednak włosy mu posiwiały, przerzedziły się, szczupła sportowa sylwetka zaokrągliła się w biodrach, nosił okulary... Instyntownie zapragnął wciągnąć brzuch, wyprostować się mimo bólu w kolanie, ale powstrzymał ten impuls - to jest napad, a nie konkurs piękności.

Lufą skierowała go na tyły sklepu, gdzie czterech ludzi leżało na brzuchu na podłodze, równo, jeden obok drugiego. Na ten widok wstrzymał oddech, ale po chwili spostrzegł, że wszyscy oddychają: żyli, na ich ciałach nie było widać ran. Zauważył, że mają głowy zwrócone w lewą stronę, pewnie po to, aby nie mogli się porozumiewać i widzieć, co się dzieje w sklepie. A więc miał dołączyć do nich jako piąty w szeregu. Nie bał się niewygody, ale jeśli kobieta każe mu schylić się bardzo szybko, może to pogorszyć i tak już niepokojący stan jego kolana. To znaczy, że jutro rano w sądzie, kiedy przyjdzie mu przemawiać, będzie musiał zmagać się z bólem lub, co gorsza, z wyczerpaniem i ośpieniem po zażyciu środków przeciwbólowych.

Zbliżył się do leżącej na posadzce czwórki - mniej więcej osiemnastoletniej, pulchnej kasjerki, trzydziestokilkuletniego mężczyzny w roboczym ubraniu, nastolatki o szarobrązowych włosach, ubranej jakby wyszła prosto ze sklepu z używaną odzieżą, i mężczyzny w wieku dwudziestu paru lat, mocno zbudowanego, w dżinsach i czarnej skórzanej kurtce, najpewniej właściciela motocykla. Zdumiało go, że nie widzi współnika kobiety. Raczej nie działała na własną rękę - wydawało się to mało prawdopodobne lub zgoła wykluczone, bo w jej postawie dało się wyczuć coś w rodzaju wyczekiwania.

Szła przed nim, obserwując go uważnie, z pistoletem wymierzonym w środek ciała. Stała i zgodnie z tym, czego się spodziewał, ruchem dłoni pokazała, że ma się położyć

obok tamtych. Skinął głową, próbując się uśmiechnąć. Ręce trzymał nieco z boku, z dłońmi ku górze, by pokazać, że nie stanowi zagrożenia. Czuł się idiotycznie, serce waliło mu jak po długim biegu, a strach sparaliżował klatkę piersiową. Pochylił się, zapominając o bólu, niezbyt ostrożnie; obawa o kolano prysła, ustępując miejsca strachowi przed reakcją na niezdarną powolność ruchu.

Centralnym zagadnieniem jego życia w dającej się przewidzieć przyszłości stała się obawa, by nie nadwyrężyć cierpliwości kobiety, a nie troska o stan chronicznie obolałego kolana i z pewnością nie absurdalne dywagacje, czy jutro w sądzie zdoła wykrzesać z siebie moc przekonywania, w sądzie, do którego wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dotrze, gdy będzie już po wszystkim, by wysłuchać pospiesznych relacji uczestników - o ile w ogóle dotrze.

Mimo strachu przed poddaniem się panice, musiał dopuścić do siebie myśl, że to może skończyć się źle; dopuścić świadomość, że ludzie leżący w szeregu tak jak ci są czasem zabijani strzałem w tył głowy - przestępcy chcą sobie w ten sposób ułatwić ucieczkę, a utrudnić zadanie policji.

Leżąc na podłodze w zbierającej się kałuży wody, z policzkiem przyciśniętym do zimnej, szorstkiej posadzki, chyba od dawna nie mytej, starał się uporządkować rozbiegane myśli. Jak ma się zachować w takiej sytuacji, schwytany w pułapkę, zniewolony, na łasce ludzi, o których myślach i motywach nie wiadomo absolutnie nic? Spędził wśród takich ludzi pół życia, walcząc w ich obronie - bronił nawet uczestnika podobnego napadu, kierowcę bandy rabującej przydrożne sklepy. Jeden z tej bandy, nie jego klient, pewnego dnia zabił czterech ludzi, strzelając im w tył głowy, tak że z ich twarzy zostało niewiele. Ale chociaż przeprowadził z nimi wiele rozmów, uporczywie zgłębiając ich motywy i osobowości, nie przychodziło mu do głowy nic, co mogłoby się przydać w tej sytuacji, nic, co mógłby powiedzieć lub zrobić, by zwiększyć szanse przeżycia.

Błyskawica rozświetliła znów niebo na zewnątrz, trzasnął piorun. Usłyszał ciężkie kroki i szorstki męski głos.

- Jakież kłopoty?

Cisza. Wyobraził sobie przeczący ruch głowy kobiety: wszystko w porządku. Lub skinienie głowy w jego kierunku - na znak, że szereg powiększył się o jednego człowieka.

Usłyszał jakieś szuranie za sobą i głos młodej kobiety - kasjerki lub klientki:

- Niech nas pan puści, proszę. Nikomu nie powiemy.

- Gdzie pieniądze? Nie znalazłem żadnych pieniędzy.

A więc kasjerka.

- Pewnie kierownik zabrał, proszę pana. Przyszedł, żeby policzyć i...

- I to ma być wszystko, ty tłusta krowo?

- Ja naprawdę pana proszę...

Zwielokrotniony echem huk wystrzału przeciął słowo wypowiedziane cienkim, piskliwym ze strachu głosem, zagłuszając odgłos trafienia; w tej samej chwili rozległo się szlochanie młodej klientki.

- Nie zabijajcie mnie, nie mnie, nie chcę umierać...

- Zamknij się! - wrzasnął mężczyzna z pistoletem. Kolejny wystrzał, a po nim jakiś straszny dźwięk, zarazem twardy i płynny, którego źródła wołał się nie domyślać.

Krzyk, a raczej wycie. Teraz ktoś potracił go nogą w głowę.

- Stój! - zawołał napastnik.

Robotnik przebiegł tylko dwa kroki; zatoczył się po pierwszym strzale, po drugim zwałił na ziemię.

Odgłosy walki. Przeturlał się po podłodze. O kilka kroków dalej spostrzegł kobietę, z przerażeniem w oczach patrzącą, jak motocyklista mocuje się z jej współnikiem, próbując wyrwać mu duży srebrny pistolet automatyczny.

Poderwał się, zapominając o bólu, i rzucił na kobietę, która zatoczyła się pod jego ciężarem. Sięgnął po jej broń, gdy ona próbowała go odepchnąć. Widział tylko pistolet, nic innego nie było już w całym wszechświecie; ani motocyklisty, ani mordercy, ani tych skrwawionych... szczątków na podłodze... tylko ten pistolet, który raptem znalazł się w jego rękach. Kobieta cofnęła się, a w tej samej chwili morderca uwolnił się od motocyklisty i strzelił, a potem jeszcze raz, aż ciało mężczyzny złamało się wpół pod naporem uderzeń kul.

Trzymał w dłoni pistolet i naciskał spust, bez rezultatu, coraz mocniej, jakby to miało znaczenie. Morderca odwracał się w jego stronę...

Rozpaczliwym ruchem pociąga zamek, który przesuwa się płynnie i cofa sam na miejsce wprowadzając nabój do komory. Iglica podnosi się; obie dłonie na kolbie, wycelować w mordercę, nie słyszeć krzyku kobiety, nacisnąć spust trzymając mocno broń, żeby nie odskoczyła, zapomnieć o bólu w kolanie, patrząc na czerwony kwiat na brudnej koszulce ze znaczkiem wyścigu samochodowego, gdy morderca zatacza się do tyłu w stronę motocyklisty i opada na posadzkę.

Nie słyszał nic, tylko dzwonienie w uszach. Kolano, cała noga, cała lewa strona ciała zamieniła się w ból. Ledwie trzymał się na nogach. Odwrócił się powoli do kobiety, nadal ściskając w dłoni pistolet, aż krew uciekła z kostek. Zdjął ze spustu drżący palec. Stała bez ruchu, nie spuszczając z niego ciemnych oczu.

Patrząc na nią widział całą resztę, każdy nieunikniony moment, od początku do końca: proces, wyrok skazujący na śmierć za zabicie kasjerki i klientów - dokładnie to wszystko, co spotkało kierowcę, jego klienta nazwanego mordercą, mimo że w ogóle nie wysiadł z samochodu. Inne obrazy: włóczęga skazany na śmierć za zabicie człowieka, którego - jak przysięgał - nigdy nie spotkał; niepiśmienny dozorca, którego obrońca zjawiał się pijany na każdym posiedzeniu procesu, zakończonego po trzech dniach...

Deszcz lejący się z czarnego nieba nadal bębnił w szklaną fasadę sklepu. Daleko na horyzoncie ukazało się jasne, bładniebieskie pasemko. Opuścił broń.

Kobieta stała bez ruchu.

Czekał z pistoletem wymierzonym w ziemię.

W końcu, okropnie powoli zrobiła krok w lewo. Potem drugi. Nie patrzyła na niego; jej ramiona trzęsły się ze strachu.

Pozwolił na chwilę zamknąć się powiekom, wyczerpany tak bardzo, że niemal przestał odczuwać ból w nodze. Otworzył oczy i zobaczył ją w połowie drogi między półkami, zmierzającą prosto do celu. Przed drzwiami zatrzymała się i popatrzyła na niego - spojrzenie było niemal tak bolesne, jak kobiety w autobusie. Potem otworzyła drzwi i wybiegła.

Kolano puściło. Zachwiał się i oparł o najbliższą półkę, rozsypując aspirynę i chrupki śniadaniowe. Utrzymał jednak równowagę i usiadł powoli. Położył pistolet na podłodze i oparł się o ścianę, żeby poczekać na policję.

LISA SCOTTOLINE

Ukryty wspólnik

- Tom Moran to klasyczny adwokat-bohater. Szybko myśli, podczas przesłuchania umie wycisnąć ze świadków absolutnie wszystko, nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach. Lisa Scottoline przypomni Czytelnikom, że prawnicy także są ludzkimi istotami. Mniej lub bardziej.

Dochodziła siódma rano. Asystent prokuratora okręgowego Tom Moran był już spóźniony do sądu. Ogolił się tak szybko, że w każdej chwili groziło to śmiercią lub kalectwem, i wskoczył w garnitur, przez cały czas w kółko powtarzając w myślach pytania do świadka. Jeśli nie zdoła go dzisiaj złamać, przegra jak amen w pacierzu. Włożył buty i pognął w dół po schodach, z krawatem powiewającym jak flaga na wietrze.

Tom chwycił walizkę z podłogi, jakby to była pałeczka na ostatniej zmianie. Wyćwiczył przekazywanie pałeczki w szkole i jeszcze brzmiał mu w uszach ryk tłumu, gdy wpadał na taśmę. Nagle uświadomił sobie, że to nie krzyk kibiców, lecz płacz jednego z bliźniąt dochodzący z kuchni. Dzieci miały trzy miesiące i dużo płakały. Marie nazywała to gastric reflux, ale Tom uważał, że te dwa słowa nigdy nie powinny występować obok siebie.

Zatrzymał się z ręką na klamce. Płacz przybierał na sile. Tom zerknął na zegarek: była siódma dwanaście. Poczul falę wyrzutów sumienia wielką jak tsunami. Pracował w biurze przez całą noc, a Marie była sama z dziećmi. Nie może tak po prostu wyjść, nie sprawdzwszy, co się dzieje. Rzucił walizeczkę i pomknął do kuchni. Na widok żony zamarł ze zdumienia: Marie spała na stojąco, kołysząc dziecko w ramionach:

- Kochanie, zbudź się! - zawołał.

Marie zamrugła powiekami.

- Czy ma pani coś w kolorze błękitnym? - spytała nieprzytomnie.

- Marie, obudź się!

Tom podskoczył do żony i wyjął jej z rąk płaczące dziecko. To była Ashley, jego ulubienica, mimo iż Marie kazała mu przysiąc, że żadnej z bliźniaczek nie będzie faworyzować.

- Spałaś.

- Nie, robiłam zakupy - odparła.

Marie oparła się o blat. Jej niebieskie oczy były podkrążone, a jasne włosy nieuczesane. Nie straciła jeszcze nadwagi po urodzeniu dzieci, więc na koszulkę nakładała szeroki jak namiot szlafrok. Nie wyglądała już jak ta dziewczyna, z którą się ożenił, lecz Tom był zbyt wrażliwym mężczyzną, żeby mieć jej to za złe. Przyjemnie będzie się znów kochać.

- Usiądź, jesteś wyczerpana - poprosił. - Spałaś w ogóle tej nocy?

- Czuję się dobrze, naprawdę. Spałam trochę, dobrze się czuję, naprawdę.

Marie opadła na krzesło, potrącając kuchenny stół. Różowe smoczki podskoczyły, a pusta plastikowa butelka stoczyła się na podłogę. Na środku stołu leżała na wyściełanym leżaczkę druga bliźniaczka, Brittany, drzemiąc spokojnie mimo zamieszania.

- Ashley jest przeziębiona, ma katar i kaszel. Trzy razy zakładałam jej w nocy atomizator.

- Co to jest atomizator?

- To. - Marie wskazała szarą maszynę na blacie. Z korpusu urządzenia wychodził plastikowy wąż zakończony ustnikiem jak dla lalki. - Dostałam to wczoraj od pediatry, ale nie pomogło. Jutro muszę znów zabrać dziecko do jego przychodni w Cherry Hill. To znaczy dzisiaj.

- Cherry Hill? Jak zabierzesz dwoje dzieci do Cherry Hill? Jesteś ledwo żywa.

- Jakoś dam sobie radę. Nie byłoby problemu, gdybym tylko znalazła kogoś, kto posiedziałyby przy Brittany.

- A twoja mama? Nie mogłaby pomóc?

- We wtorek? Przecież tego dnia gra w golfa.

Tom zagryzł wargi. Ta suka teściowa, święta Teresa z nieodłącznym papierosem w zębach.

- A twoja siostra?

- Wyjechała z miasta.

- Znów?

Zjawiała się tylko po to, żeby pożyczyć pieniądze. Niech to szlag. Tom zakołysał Ashley w ramionach i skrzywił się, bo dziecko robiło taki hałas, że trudno było zebrać myśli.

- Tak bardzo chciałbym ci pomóc - powiedział. Marie spojrzała na niego wzrokiem pełnym przywiązania. Właśnie tak na niego patrzyła, kiedy się kochali.

- Mógłbyś? - ucieszyła się. - Ale przecież idziesz do sądu.

- Co? - spytał skonfundowany Tom. Brittany nadal wrzeszczała na całe gardło, a jego myśli krążyły wokół seksu.

- Jak zabierzesz ze sobą Brittany, jeśli idziesz do sądu?

- Kogo zabiorę?

- Brittany. - Marie nadal patrzyła na niego tym wzrokiem; Tom przełknął ciężko ślinę.

- Ja mam zabrać Brittany?

- Zdawało mi się, że to właśnie zaproponowałeś. - Spojrzenie zniknęło, jak ręką odjął.

- Ty zająłbyś się Brittany, a ja mogłabym zabrać Ashley do lekarza. Czy nie o tym mówiłeś?

Co? Czy ona oszalała?

- Oczywiście, jasne, że tak.

Jak mógł odmówić? Nie miał czasu, żeby się nad tym zastanowić. Coś wymyśli. W biurze prokuratora pracuje ze trzydzieści tysięcy sekretarek. Któraś z nich musi mieć laktację.

- Cudowny jesteś, Tom. Ja już odchodzę od zmysłów. Naprawdę możesz to zrobić?

- Nie martw się. To żaden kłopot. Niczym nie trzeba się przejmować - powiedział Tom.

Zakręciło mu się w głowie. Wolał nie myśleć, o ile dłużej potrwa jazda do centrum z dzieckiem w samochodzie. Samo przypasanie do siedzenia zabiera chyba z godzinę.

- Ale dzisiaj masz tę ważną rozprawę, prawda?

- Nie martw się, myśl o Ashley. Jestem już spóźniony, muszę iść. - Posadził Ashley na kolanach żony i zdjął Brittany z krzeselka. Głowa małej opadła na lewą stronę. Tom podniósł dziecko i pocałował żonę w policzek.

- Bohater ze mnie, co?

- Zabierz pieluszki.

- Bohaterowie obywają się bez pieluszek - odparł Tom i wybiegł z kuchni. Starał się trzymać małą tak, żeby nie obśliniła mu garnitur.

- Weź mój samochód! - zawołała za nim Marie. - Kluczyki leżą na stole!

- Mam!

Tom popędził do wyjścia, przyklękając na chwilę, by podnieść walizeczkę i kluczyki Marie. Na dworze świeciło słońce. Tom biegł schylony, żeby głowa dziecka nie podskakiwała. Na szczęście była wiosna, ciepło, a Brittany spała otulona becikiem.

Samochód Marie, ford expedition, wielki prawie jak ich dom, stał przy trawniku. Tom otworzył drzwi i wrzucił walizeczkę, a potem zdjął dziecko z ramienia i posadził je tyłem na fotelu pasażera. Głowa Brittany podskakiwała leciutko, ale mała nie otworzyła oczu, gdy zawiązywał paski na zwykły supeł. Nie miał czasu, żeby się bawić w wymyślne węzły.

Wskoczył do wozu, włączył silnik samochodu i położył dłoń na brzuszku Brittany. Małeńka pierś unosiła się w regularnym oddechu. Puszyste śpioszki były miękkie i ciepłe. Pachniała mlekiem i spała, jak to dziecko.

Tom uśmiechnął się. To będzie bułka z masłem.

- Uaaaaa! - zawodziła Brittany. Zatraskany Tom Moran zatrzymał się pod znakiem zakazu parkowania przed biurem prokuratora okręgowego.

- Uaaaaa!

Płacz dziecka wypełniał całe wnętrze samochodu; Tom miał wrażenie, że za chwilę pękną mu bębenki.

- Cicho, kochanie, nie płacz - uspokajał Brittany, mocując się z węzłami. Palce mu się trzęsły, pod czaszką pulsowała krew. - Wszystko będzie dobrze, tylko nie płacz. - Tom nie słyszał już własnego głosu, widział tylko ruch warg we wstecznym lusterku.

- Uaaaaa! - płakała Brittany, zamknawszy oczy. Jej buzia niebezpiecznie poczerwieniała, a z mokrych usteczek wydobywał się dźwięk niczym z trąb archanioła Gabriela.

Tom zaczął się pocić. Zerknął na zegarek na tablicy rozdzielczej: ósma dwadzieścia jeden. Musi być w sądzie przed dziewiątą, a nie może zabrać tam Brittany w takim stanie. Nie mógł też czekać. Co robi prawnik w takiej sytuacji?

- Uaaaaa!

Rozejrzał się nieprzytomnie. Czy nie ma tu nic, czym można by ją zabawić? Jakichś grzechotek, gumowych piszczących lalek? Zaglądał wszędzie, zasłoniwszy uszy dłońmi. Nic. Niech to szlag trafi! Marie za bardzo dbała o porządek. Wzrok Toma spoczął na stacyjce. Kluczyki. Dzieci uwielbiają kluczyki. Wyrwał kluczyki i zakołysał nimi przed buzią Brittany.

- Hop, hop, Brittany, kluczyki! - zawołał.

- Uaaaa! - płakało dziecko. Tom zakołysał mocniej.

- Patrz, kluczyki! Zobacz, jakie fajne! Przecież uwielbiasz kluczyki. Te są prawdziwe, nie jakieś tam podrabiane!

- Uaaa! - płakała dalej Brittany, ale jakby z trochę mniejszym przekonaniem. Patrzyła na kluczyki załzawionymi oczkami.

- Prawdziwe kluczyki od samochodu! Ilość ograniczona, proszę zamawiać od razu! - Tom zakołysał jeszcze raz i dziecko w końcu wyciągnęło rączkę. - Tak!

Uszczęśliwiony Tom włożył kluczyki w rączkę małej. Brittany poruszyła z wysiłku ustami, starając się uchwycić metalowy przedmiot. Tom przełożył drobny paluszek przez kółko. Płacz ustał równie nagle, jak się zaczął.

- Jezu, dzięki - westchnął Tom.

Wyjął Brittany, złapał walizeczkę i wyskoczył z samochodu. Nie zamknął go, bo nie chciał ryzykować płaczu Brittany wyrывая kluczyki. Niech go ukradną, niech odholuje go policja. Przemknął przez obrotowe drzwi z dzieckiem w ramionach. Liczył na to, że przywita go głos szalowej recepcjonistki Luz Diaz. Nie zawiódł się.

- Dziecko! Przyniosłeś dziecko! - pisnęła, rozchylając lśniąca od szminki usta. Luz, o czarnych lśniących lokach i pięknym ciele, jeszcze nie miała dzieci; pewnie dlatego tak się

ucieszyła na widok córki Toma.

- Luz, przedstawiam ci Brittany! Przywitaj się! - Tom przecisnął się pospiesznie przez zatłoczoną poczekalnię i włożył Brittany w ramiona zaskoczony dziewczyny. Odpowiedzialność za każdą rzecz spoczywa na osobie, którą ją posiada. To jedna z fundamentalnych zasad prawa.

- O, jaka ona śliczna. - Luz uśmiechnęła się do różowego puchowego kłębka, ale zaraz mina jej zrzedła. - Tom, ona je kluczyki.

- Ona uwielbia kluczyki. - Zerknął na ścienny zegar: ósma dwadzieścia dziewięć. - Nie waż się ich dotykać.

- Ale ona wkłada je do buzi - odparła przerażona Luz. Rzeczywiście, Brittany ssła kluczyk. No i co z tego? Jak był mały, jadł robaki.

- Słuchaj, Luz. Potrzebuję twojej pomocy. Ja idę do sądu, więc ty zajmiesz się Brittany. Tylko dzisiaj.

- Co? - Luz spojrzała na Toma jak na obłąkanego. - Cały czas siedzę przy biurku w recepcji. Nie mogę tego zrobić.

- Więc daj ją komuś innemu.

- Komu?

- Komuś, komu możesz zaufać. Którejś sekretarce. Tylko nie Janine.

Janine trzymała erotyczne zabawki w szufladzie.

- Nie chcę stracić pracy. - Luz wepchnęła Brittany w ramiona Toma. - Poproś którąś z dziewczyn z twojego biura.

- Dobrze, dobrze. Mimo wszystko dzięki.

Pomknął korytarzem, mijając kolegów spieszących w przeciwnym kierunku.

- Moran, czy ty przypadkiem nie prowadzisz sprawy Ranelle? - spytał Stan Kullman.

- Zgadłeś - odparł Tom, nie zatrzymując się. Czas uciekał. Może któraś z dziewczyn w wydziale procesowym mu pomoże. Sekretarka Toma wzięła tydzień urlopu, ponieważ on miał być cały czas w sądzie. Przeskakiwał po dwa stopnie, podtrzymując główkę Brittany. Dziecko zaczynało znowu kwilić. Brzęczenie kluczyków ustało. Bóg jeden wie, gdzie są.

Tom wbiegł na drugie piętro i minął puste biurka sekretarek. Wszyscy poszli na kawę do baru, gdzie i on by teraz był, gdyby nie miał na głowie sprawy o morderstwo i dziecka, którego należało się pozbyć. Skręcił w lewo do maleńkiego pomieszczenia przesyconego zapachem perfum i kawy.

- Dziewczynka! - wyjaśnił, zwracając się do kobiet, które otoczyły go wianuszkami, pochylając się nad dzieckiem.

- Jaka malutka! - powiedziała Rachel.

- Jaka śliczna! - zachwyciła się Sandy.

- Jaka słodka! - dodała Franca.

- Tak, to najmiłsze dziecko na świecie - zgodził się Tom. - Jest malutka, śliczna i słodka. Dużo śpi, uwielbia kluczyki od samochodu. Czy ktoś może jej dzisiaj popilnować?

Sekretarki spojrzała na Toma jak na wariata.

- Tom, my tu pracujemy - odparła najstarsza z nich, Rachel, uprzejmym, lecz zdecydowanym tonem.

- Może zajmowałybyście się nią na zmianę, każda po godzinie? Przysięgam, że zapłacę. Każdą cenę, wszystkim. Zapłacę tak jak za nadgodziny.

Rachel potrząsnęła głową.

- To niemowlę, Tom. Ona potrzebuje ciągłej uwagi. Nie mogłabym pisać, trzymając ją na kolanach.

Sandy, Franca i Juddy kiwnęły przytakująco głowami. Tom przeraził się. Wszystkie przeciwko niemu?

- Ale to nagły przypadek. Potrzebuję pomocy, a ona naprawdę nie sprawia kłopotów. Cały czas śpi. W każdym razie dużo.

- Mój szef wyjechał - odezwał się z tyłu kobiety głos. Serce Toma zabiło żywiej.

- Kto to powiedział? - Stanął na palcach. Sekretarki rozstąpiły się. Oczywiście, Janine. W czarnej spódniczce mini i w szpilkach. Wielbicielka kajdanek. Tom poczuł, że zasycha mu w gardle. Spoglądał to na czarną spódniczkę, to na różowe zawiniątko, które trzymał w ramionach.

- Nie, dzięki, może sam sobie jakoś poradzę - rzucił, wybiegając z baru.

Brittany zakwiliła, kiedy biegł korytarzem. Umysł Toma pracował jak szalony. Na zegarze była ósma czterdzieści dwa. Musiał coś wymyślić, i to szybko. Wpadł do biura, zatrzasnął drzwi nogą, upuścił walizeczkę na podłogę i położył dziecko na stosie korespondencji. I właśnie wtedy to poczuł. Kupa. Nic dziwnego, że Brittany grymasiła. Tkwiła w gównie po kolana. Czyli wiedziała już, jak się czuje asystent prokuratora okręgowego.

Tom rozsunał śpioszki i wyjął nóżki, odsłaniając pampersa. Cuchnęło nie z tej ziemi. I wyglądało tak samo. Brittany będzie potrzebowała nowej pieluszki i ubrania, ale on nie miał żadnej z tych rzeczy.

- Boże dopomóż - mruknął. Nie miał teraz czasu na myślenie, trzeba było działać.

Zdjął przesiąkniętego pampersa razem ze śpioszkami, wziął pierwszy lepszy papier,

wytarł dziecko, zawinął kupę i wrzucił do kosza. Brittany, mały cherubinek, zamachała nóżkami i uspokoiła się natychmiast. Tom poczuł, że ma nową ulubienicę.

Ale jego ulubienica była goła. Jak miał wziąć w ręce nagie od pasa w dół dziecko, nie do końca czyste? Potrzebował pieluszki, a nie miał jej. Trzeba ją zrobić. Już! Złapał leżący na biurku wniosek o oskarżenie o zatajenie dowodów, nikomu już niepotrzebny, i podarł wzdłuż na kawałki. Złożył skrawki razem i wsadził dziecku między nogi jak pieluszkę.

- Szybka akcja, co? - powiedział do Brittany, która odpląciła uśmiechem.

Ale jak przytrzymać pieluszkę, żeby nie spadła? Gumka jest za mała. Wzrok Toma padł na zwój taśmy klejącej. Odciął długi kawałek skocza i owinął Brittany w pasie. Dziecko cały czas kopało beztrosko nóżkami, ale teraz zadrżało.

- Zimno ci? - spytał Tom, marszcząc brwi. Nie miał czym jej owinąć nóg.

Zrzucił buty, ściągnął czarne skarpetki, założył na nóżki Brittany, a następnie przypiął je spinaczem do zaimprovizowanej pieluszki. Rozprawa zaczyna się za piętnaście minut. Pot spływał mu z czoła grubymi kroplami, a dziecko wierciło się, szeleszcząc papierami. Maleńka buzia otwarła się, a brwi zmarszczyły. Aha. Tom wiedział, co to znaczy. Mała była głodna.

Cholera! Niektórych rzeczy nie da się zaimprovizować. Można spróbować ją ukołysać, to wszystko. Tom zastanowił się przez chwilę. Brittany była za mała na normalną żywność, a jedynym płynem w biurze był napój gazowany. To na nic. Co dała dziecku do jedzenia Marie, kiedy zabrakło jej pokarmu? Herbata. Tom lubił herbatę i miał jej pod dostatkiem.

Skoczył za biurko, wlał trochę wody do kubka, wrzucił saszetkę Liptona i włożył grzałkę. Gdy zakładał buty, była minuta po dziewiątej. Szybciej. Sprawdził wodę końcem palca. Nie za gorąca, nie za zimna. Doskonale! Proszę, i gotować też umie.

Tom wyjął grzałkę i torebkę z kubka i po chwili stał już przy Brittany, z której buzi wydobywało się ciche cmokanie. Podniósł dziecko i już miał przyłożyć jej kubek do ust, gdy raptem przerwał ten ruch w połowie. Jak on to sobie wyobrażał? Przecież karmił bliźniaczki niejednym razem i wie dobrze, że nie umieją jeszcze pić z kubka. Hmm. Kolejna przeszkoda, ale Tom za młodu był niezłym płotkarzem.

- Wiem! - zawołał. Złapał brązową słomkę do mieszania kawy, wytarł do sucha o spodnie i zanurzył w herbacie. Kiedy ciecz napełniła słomkę, przycisnął górny koniec palcem i zbliżył do buzi Brittany, którą trzymał w zagłębieniu ramienia.

- Pij, maleńka - zachęcił. Odsłonił otwór i wypuścił herbatę do buzi dziecka. Brittany skrzywiła usta, ale niemal natychmiast zacisnęła je na słomce jak na sutku.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił córkę Tom; napełnił słomkę ponownie i wypuścił

ciecz do buzi dziecka. Brittany ssała chciwie już trzecią porcję, gdy zadzwonił telefon. Tom w pierwszej chwili postanowił go zignorować, ale po chwili zmienił zdanie. To mogła być sekretarka. Włączył telefon.

- Jesteś tam, Moran? - zagrzemiał męski głos. Tom podskoczył na równe nogi, rozlewając Liptona na papierowe pieluszki Brittany. To był Bill Masterson, sam prokurator okręgowy. Jezus Maria, Józefie święty. Tom upadłby niezawodnie na kolana, gdyby nie trzymał dziecka.

- Moran, jesteś?

- Tak, panie. To znaczy, proszę pana.

- Jesteś w biurze, Moran?

- Tak, proszę pana.

- Co ty tam, kurwa, robisz, do ciężkiej cholery? Masz być całkiem gdzie indziej, w sądzie. A ty siedzisz sobie w biurze? Co się dzieje?

- Musiałem zabrać kilka dowodów.

- Nic mnie to nie obchodzi. Myślisz, że mnie to obchodzi? Nic nie rozumiem. Masz prowadzić sprawę, a ty siedzisz w biurze. Ja jestem w sądzie, a ciebie tu nie ma.

- Pan jest w sądzie?

- Ja jestem tutaj, a ty tam. Ja w sądzie, a ty w biurze. Nie pierwszy raz ci się coś takiego zdarza. Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego?

- Zaraz wyjeżdżam, proszę pana.

- Co ty robisz w biurze, do kurwy nędzy? Masz być w sądzie, nie w biurze. Ja nie prowadzę sprawy, a jestem w sądzie. Ty ją prowadzisz, a jesteś w biurze. Nie rozumiem, Moran... a ty rozumiesz? No, dlaczego?

- Zaraz tam będę, proszę pana. Już wychodzę.

- Co się dzieje, Moran? - rzucił na koniec Masterson i odłożył słuchawkę.

Tom drżącą ręką wyłączył telefon. Masterson będzie obserwował rozprawę. O, w mordę. Trzeba się dostać do sądu, i to już. Spojrzał bezradnie na Brittany leżącą w żłobku zbudowanym z jego korespondencji, ubraną w czarne skarpetki i odrzucony wniosek. Nie może jej tu zostawić. Nie może jej też nikomu wcisnąć. Jest jej ojcem. Dziecko mruczało zadowolone, czując pełny brzusek.

Mógł zrobić tylko jedno.

Tom zbliżył się do recepcji z neseserem w jednej ręce i dużą czarną walizką w drugiej. Walizka przypominała nieco te, jakie noszą akwizytorzy, i musiał przyznać, że analogia ta była całkiem na miejscu. Tom wypchał ją starymi aktami, żeby Brittany było miękko.

Uważny obserwator zauważyłby z pewnością otwory w górnej części walizki, ale ludzie zgromadzeni w poczekalni nie zaliczali się do uważnych obserwatorów. W końcu byli tylko świadkami oskarżenia: widzieli to, co kazano im widzieć.

- Tom, gdzie dziecko? - spytała Luz.

- W bezpiecznym miejscu - odparł. Wyśliznął się przez obrotowe drzwi i stanął na chodniku. Policyjny samochód holował jego forda. Tom zamknął oczy, by się pomodlić, ale szybko zmienił zamiar. Przecież i tak zgubił kluczyki. Zamachał ręką na taksówkę.

- Stop! - krzyknął i żółty wóz podjechał do krawężnika. Tom wsiadł szybko ze swymi walizkami. - Do sądu.

- Uiii - odezwało się z torby.

- Co to? - zainteresował się taksówkarz. Był to krępy starszy mężczyzna z kilkudniowym zarostem i poplamioną czapką baseballową na głowie.

- Nic.

- Coś słyszałem. Coś jakby zapiszczało.

- To moje nowe buty - wyjaśnił Tom; wiedział, że dźwięk się powtórzy. Brittany nie wytrzyma całego dnia w walizce. Ale Tom był doświadczonym ojcem i wiedział, co zrobić.

- Niech się pan zatrzyma przed sklepem i poczeka chwilę.

Wyskoczył z torbą i wpadł do sklepu, kątem oka zerkając na zegarek. Była dziewiąta jedenaste. Gdzie to jest? Zmusił się do myślenia. Wnętrza wszystkich sklepów są do siebie podobne. Podbiegł do półki, chwycił paczkę i skoczył do kasy. Rzucił banknot dziesięciodolarowy i powiedział:

- Reszta dla pani.

- Uiii - potwierdziła walizka i wybiegli ze sklepu.

Tom wsiadł do taksówki, położył walizę na podłodze, otworzył i podniósł Brittany. Wierciła mu się w rękach, jakby dostała kolki. Wrócili w samą porę.

- Pańskie buty, co? - spytał taksówkarz.

- To nie jest tak, jak pan myśli.

- Akurat.

- Jedź pan.

Tom ułożył sobie dziecko na kolanach. Wyjął z torby zakup i zdarł celofan. Na opakowaniu widniał napis TYLENOL DLA NIEMOWLĄT.

Zerwał zębami wieczko i wyjął maleńki zakraplacz. Dzięki jednej kropli Tylenolu dziecko będzie drzemać przez trzy godziny. Miał wyrzuty sumienia, ale to była konieczność. Lekarstwo nie zaszkodzi Brittany, tylko ją uśpi. Po jednej porcji teraz i drugiej w czasie

lunchu, mała będzie spać do końca rozprawy, aż do ogłoszenia werdyktu.

- Skąd pan wziął to dziecko? - spytał kierowca, zerkając w lusterko.

- To moje.

- Więc czemu wozi je pan w walizce?

- Nie pańska sprawa.

- A pan nie jest na bezludnej wyspie, kolego.

- Pogadamy, jak urodzą się panu bliźnięta, profesorze.

Tom ujął w palce zakraplacz, zanurzył w buteleczce i zassał kroplę płynu. Na zakraplaczu widać było podziałkę milimetrową; Tom nabrał osiem milimetrów, ale nie miał pojęcia, czy to wystarczy. Wiedział tylko, że tyle dawała dziecku Marie.

- To co z tym dzieckiem, chore? - spytał taksówkarz.

- Nie, tylko śpiące.

- Nie wygląda na śpiące.

- Ale jest - odparował Tom. Wpuścił kropelkę syropu wzbogaconego sokiem wiśniowym do buzi Brittany, która chętnie przełknęła.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział Tom.

Kochana mała! Pocałował Brittany na dobranoc i umieścił z powrotem w walizce w chwili, gdy taksówka zatrzymała się przed budynkiem sądu. Tom wręczył taksówkarzowi dziesięciodolarówkę.

- Reszta dla pana - powiedział, ale tamten odwrócił się ze złą miną.

- To brudne pieniądze - warknął. Tom rzucił banknot na przednie siedzenie i zatrzasnął drzwi.

Na chodniku roіło się od policjantów w granatowych mundurach, którzy chodzili i rozmawiali, paląc papierosy; czekali na wezwanie. Zwykle Tom czuł się wśród nich swobodnie i pewnie, ale nie dzisiaj, gdy niósł w walizce swoje dziecko. Któryś z policjantów zamachał ręką; Tom odpowiedział skinieniem głową i szybko schronił się w budynku ze swoim żywym bagażem.

W holu tłoczyli się ludzie w kolejce do wykrywaczy metalu. Zegar pokazywał czternaście po dziewiątej. A więc spóźnienie. Przeciskał się przez tłum z przepaszającym uśmiechem. Jeśli nie znajdzie się za chwilę na sali, zostanie oskarżony o obrazę sądu, potem zapłaci grzywnę i straci pracę.

Przyspieszył kroku i po chwili znalazł się przy wejściu dla prawników obok posterunku straży sądowej. Jako prawnik Tom miał prawo obejść wykrywacz i strażników, i tylko dzięki temu zdołał przemycić na salę rozpraw swoją pociechę. Żaden oficer straży nie

przewidział, że jakiś prawnik będzie na tyle szalony, aby zrobić coś takiego. Przeniesienie prawników nie jest w dobrym tonie.

Tom podszedł do pokrytych mosiądzem nowoczesnych drzwi windy, przed którymi ustawiała się kolejka mężczyzn w garniturach. Jakiś adwokat potrącił Toma.

- Uważaj - rzucił Tom.

- To nie jego wina - powiedział drugi adwokat; drzwi się otworzyły. Tom wpuścił tamtych i wszedł na ostatku. Drzwi zamknęły się tuż przed jego nosem, więc mógł się przejrzeć w lustrzanej powierzchni. Wysoki, szczupły Irlandczyk z potarganą czupryną i niebieskimi oczami przestępcy, z aktówką pełną dokumentów i dzieckiem w walizce. Co z niego za ojciec? Żeby nosić dziecko w walizce? Usypiać syropem wiśniowym? Jakby tego było mało, faworyzował jedną z córek. Będzie się z czego spowiadać, oj będzie.

Winda zadzwoniła i Tom znalazł się w jeszcze większym tłumie. Drugie piętro, sprawa Ranelle. Aż do dzisiaj myślał o tym procesie jako o swoim „dziecku”. Przepchnął się przez szpaler reporterów, prawników, świadków i widzów, którzy nie wylosowali miejsc w czasie porannej loterii. Na drugim końcu korytarza stał Masterson, górując nad morzem głów jak przystało na koszykarza-środkowego, którym był w drużynie uniwersytetu Bishop Neumann.

Tom poczuł ściskanie w żołądku; ręce zaczęły mu się pocić. Przegra sprawę, straci prawo wykonywania zawodu, a dziecko nabawi się klaustrofobii. Zgubił też kluczyki do samochodu Marie. Zadrżał, ale od razu się opanował.

- Moda na spóźnianie się, co, Moran? - zagrzmiał Masterson. Musiał być wściekły jak cholera.

Tom, wdzięczny teraz za telefon szefa, zbliżył się doń niedbałym krokiem, jakby byli na koktajlu.

- Idziemy? - spytał z udaną beztroską.

- Pewnie - odparł zaskoczony prokurator. Tom ruszył w kierunku sali numer dwieście sześć, opędzając się przed dziennikarzami. Nie lubił robić wokół siebie szumu, co oznaczało, że nie czeka go wielka kariera. Tom został prokuratorem, bo chciał pracować w słusznej sprawie. Niewielu takich zostało na świecie.

- Poproszę o komentarz, panie Moran - rzucił reporter z otwartym notesem.

- Jakże ma pan plany na dzisiaj?

- Jaką przyjmie pan strategię na Hammera?

- Uda się panu doprowadzić do wyroku?

- Bez komentarza - odparł Tom, trzymając walizkę przy boku. Żaden z reporterów nie

zauważył otworów w skórzanej ścianie walizki. Nie było wśród nich Sherlocka Holmesa.

- Oczywiście, że doprowadzi do wyroku - zagrział Masterson, rozkładając ramiona.
- Jak możecie wątpić w jednego z naszych najlepszych i najinteligentniejszych prokuratorów?

Tom nie patrzył już na nich. Otworzył drzwi i wszedł do sali, gdzie właśnie zaczynała się rozprawa.

Tom nienawidził każdego sterylnie czystego centymetra sali numer dwieście sześć, która wyglądała dokładnie tak samo, jak wszystkie inne sale rozpraw w tym sądzie. Była nowoczesna, obrzydliwie wymuskana i przestronna; ściany, podest i ławy przysięgłych pokrywało popielate płótno, a ławki na widowni wykonano z palisandru. Tom wołał stary sąd w Ratuszu: wiktoriański budynek z trzeszczącymi podłogami, wytartymi mosiężnymi klamkami i zakurzonymi kaloryferami. Tom lubił, żeby wszystko było po staremu. Żałował, że księża nie odprawiają już mszy po łacinie.

Poruszył się niepewnie na krześle przy ławie oskarżyciela. Walizka chrapała cichutko; Tom opiekuńczym gestem przysunął czubek buta bliżej główki dziecka. Postanowił, że podczas przesłuchania nie będzie zapuszczał się daleko od ławy, nawet gdyby miała na tym stracić teatralna strona jego wystąpienia. Czaszka Brittany jest ważniejsza. Tom miał ustaloną hierarchię ważności spraw.

W czasie przesłuchania obrońcy porządkował myśli. W porannym zamęcie starannie przygotowany scenariusz uleciał mu z głowy, a notatki zostawił przypadkowo w walizce, gdzie leży teraz Brittany. Westchnął. Dobrze chociaż, że dziecko śpi. Zmusił się do niemyślenia o niej i skupienia uwagi na wystąpieniu obrony.

- Tak, pracuję na pół etatu na strzelnicy - powiedział świadek Elwood „Elvis” Fahey, menel o białej jak kokaina twarzy i atramentowoczarnych włosach. Na czarnej koszulce z napisem TYLKO DLA CZŁONKÓW KLUBU odznaczały się zebra. Ciekawe, do jakiego to klubu należy Elvis. Tom zakonotował sobie, żeby przypadkiem nie zapisywać się do tego samego.

- Czym się pan zajmuje na strzelnicy? - spytał obrońca Dan Harrison. Harrison był dobrze trzymającym się czterdziestolatkiem, niewysokim, ale nieźle zbudowanym. Miał na sobie włoski garnitur, bez kamizelki, lecz elegancki. Adwokaci broniący handlarzy narkotykami zawsze nosili włoskie garnitury. Coś takiego jak TYLKO DLA CZŁONKÓW KLUBU z dyplomem prawniczym. TYLKO DLA CZŁONKÓW RADY ADWOKACKIEJ.

- Na strzelnicy? Sprzątam, podaję słuchawki, pomagam przy tym i owym.

Harrison skinął głową.

- Czy to stała praca?

- Pewnie. Od trzech lat, trzy razy w tygodniu.

- Poznał pan denata, Guillermo Juareza, na strzelnicy, prawda?

- Tak. Kumplowaliśmy się, ja i Chicken Bill.

Harrison skrzywił się.

- Chicken Bill to przydomek denata, Guillermo Juareza?

- No. Guillermo to ten de... de... no, nieżywy - odpowiedział Elvis, tłumiąc gardłowy śmiech.

Przysięgli nie wyglądali na rozbawionych, chociaż nie krwawiły im serca po wspomnianym Guillermo Juarezie. Dziewięć kobiet i trzech mężczyzn wiedziało już, że Chicken Bill handlował narkotykami. Nikt nie płakał po jego śmierci, a najmniej oskarżony James Ranelle, który słuchał uważnie; jego dziecięcą niemal twarz pokrywały piegi, a krótkie włosy miały barwę chipsów. Ranelle wyglądał bardziej jak cherubin z ołtarza niż jak dealer narkotyków, ale Tom nie dał się nabrać. Był prawdziwie wierzącym katolikiem, w przeciwieństwie do wielu innych.

- Czy mógłby pan własnymi słowami opowiedzieć przysięgłym, co stało się w nocy dwunastego sierpnia około jedenastej?

- A więc... - zaczął Elvis, ujmując mikrofon jak jego wielki imiennik. Spędził niejeden rok w więzieniu, a dzięki wielokrotnym pobytom w sądzie nabrał swady w publicznych wystąpieniach. - Słyszę strzał na dole, budzę się i lecę po schodach.

- Gdzie pan wówczas był?

- W sypialni, spałem. No więc słyszę strzał, lecę na dół, a tam piekło. Jasno jak w dzień. Dookoła płomienie. Czuję dym i benzynę. Wszystko żółte i gorące. Od razu widzę, że pożar.

A więc jest to klub dla geniuszy, domyślił się Tom.

- A co robili pozostali mieszkańcy domu, proszę pana?

- Krzyczom, wrzeszczom, latajom. - Elvis wzbogacił swoją tyradę gestykulacją. - Sammy i jego dziewczyna Raytel, a potem Jamal. Wyskakujom raz-dwa, żeby się nie przysmażyć.

- Kiedy spostrzegł pan Chicken Billa?

- Zaraz jak zszedłem. Leżał na podłodze. Podeszłem, żeby zobaczyć, co z nim, a on już ledwo dyszy.

- Co pan zrobił, kiedy ujrzał Chicken Billa umierającego na podłodze?

- Podniosłem go i przytrzymałem w ramionach, o tak.

- Czy powiedział pan coś do niego?

- No pewnie. Spytałem: „Kto zapalił ten ogień, Chicken? Widziałeś, kto to był?”

- Czy Chicken Bill udzielił panu odpowiedzi?

Tom poderwał się.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Pogłoska.

Harrison wykonał dobrze wyćwiczony półobrót w stronę sędziego.

- Wysoki Sądzie - odezwał się Harrison. - Wydaje mi się, że słowa wypowiedziane przez Chicken Billa... pana Juareza... można uznać za wyznanie na łożu śmierci, a to zalicza się do wyjątków od reguły pogłoski.

Wyznanie na łożu śmierci? Tom nie wierzył własnym uszom. Ostatnio słyszał o czymś takim na uczelni. Kompletny absurd.

- Wyznanie na łożu śmierci, Wysoki Sądzie?

- Wyznanie na łożu śmierci, panie Harrison? - powtórzył powoli sędzia Amelio Canova. Canova był niskim, krępy m sześćdziesięcioletkiem; jego łysa głowa wystawała z togi niczym głowa żółwia, gdy pochylał się nad stołem.

- Tak, Wysoki Sądzie - potwierdził Harrison. - Wczoraj biegli określili przybliżony czas śmierci, jeśli pan pamięta. Pan Juarez zmarł w wyniku oparzeń trzeciego stopnia około godziny jedenastej w nocy. Wszystko, co powiedział wówczas do świadka, podpada pod wyjątek od reguły pogłoski.

Sędzia zamrugał powiekami.

- Dopuszczam - powiedział w końcu znużonym głosem. Tom opadł na krzesło.

Harrison zwrócił się znów do świadka.

- Zanim prokurator panu przerwał, zamierzał pan powtórzyć, co powiedział Chicken Bill przed śmiercią.

- Tak, zamierzałem. - Elvis poprawił mikrofon. - A więc tak, Chicken ledwo mówi, gardło ma poparzone, tylko szepce. Mówi: „Kowboj Ron mi to zrobił, Elvis. Kowboj Ron podpalił”.

Przysięgli poruszyli się na ławie, rzucając na siebie niepewne spojrzenia. Nie darzyli sympatią Elvisa, ale Tom wiedział, że trudno im będzie całkowicie zlekceważyć jego zeznanie. Elvis był jedynym świadkiem oprócz chóru biegłych powołanych przez obronę. Tom pamiętał, że biegli potrafią uwieść nawet najinteligentniejszych przysięgłych.

Krew zagotowała się w żyłach Toma. Wiedział, jak było naprawdę, i musiał to tylko udowodnić: to Ranelle podpalił konkurencyjną melinę Chicken Billa. Chicken Bill zginął zgodnie z planem, a wszyscy inni przeżyli, łącznie z Elvisem, który w śmierci kumpla

dostrzegł życiową szansę. Jeśli uda mu się uwolnić Ranelle'a od oskarżenia o morderstwo, będzie miał zapewnioną posadę w jego siatce do końca życia. Dla jednego grób, dla drugiego wrota do szczęścia - ta reguła sprawdza się nawet wśród handlarzy narkotykami.

Harrison oparł się na barierce.

- Czy wie pan, kogo miał na myśli Chicken Bill, mówiąc o Kowboju Ronie?
- Tego fagasa, co nosi kowbojski kapelusz. Mieszka na sąsiedniej ulicy.
- Czy Kowboj Ron trudni się handlem narkotykami?
- Tak, słyszałem o tym. Kowboj Ron był konkurencją dla Chicken Billa.
- Czy Kowboj Ron znajduje się na tej sali?

Elvis rozejrzał się.

- Nie, proszę pana.
- Czy oskarżony James Ranelle nazywany jest Kowbojem Ronem?
- Nie. Oskarżony nie jest Kowbojem Ronem. Kowboj Ron to ktoś inny. Nie ma go tutaj.
- Rozumiem.

Harrison zastygł w bezruchu przed ławą przysięgłych. Udawał, że myśli, ale chodziło mu tylko o to, żeby słowa świadka utrwaliły się w pamięci przysięgłych. Harrison nie zrobił w życiu niczego, jeśli przedtem tego nie przećwiczył przed lustrem. Dzięki temu był doskonałym obrońcą.

- Dziękuję panu.

Tom zerwał się na równe nogi.

- Chciałbym zadać świadkowi kilka pytań, Wysoki Sądzie.

Zatrzymał się widząc, że strażnik szepcze coś sędziemu do ucha.

Canova machnął pomarszczoną ręką.

- Jeszcze nie teraz, panie Moran. Proszę usiąść.

Tom zerknął na zadowolonego Harrisona. Każda chwila działała teraz na jego korzyść.

- Panie i panowie - zwrócił się sędzia do przysięgłych. - Proszę mi wybaczyć. Muszę wyjść na chwilę do gabinetu. To nie potrwa długo, a nie chcę teraz ogłaszać przerwy, żebyście państwo nie musieli później wracać. Proszę wstać, sąd idzie, jak mawiają w telewizji.

Przysięgli uśmiechnęli się i odprężyli po wyjściu sędziego. Tom nie mógł sobie na to pozwolić. Tak długo, jak oni tam byli, trwało jego przedstawienie. Harrison zaimprovizował rozmowę z Ranellem, który wyglądał jak kandydat do święceń kapłańskich. Tom

przepowiadał sobie w myślach plan przesłuchania. Był wdzięczny sędziemu za przerwę, ale i zaniepokojony. Tylenol nie będzie działał zbyt długo. Ukradkiem zerknął na zegarek: dziesiąta piętnaście.

Trzeba się jednak trochę odprężyć. Do jedenastej czterdzieści pięć nie ma się czym martwić, a to szmat czasu.

Ale o jedenastej czterdzieści pięć sędziego nadal nie było. Przysięgli drzemali w ławach, a strażnik czytał sportową kolumnę w gazecie. Stenotypistka czyściła czarne klawisze maszyny specjalnym płynem. Widzowie rozmawiali półgłosem. W sali wyczuwało się atmosferę oczekiwania.

Tylko Tom walczył z opanowującym go przerażeniem. Jego koszula przesiąkła potem. Zamazał gryzmołami całą kartkę w notesie, zakładał nogę na nogę. Nagle usłyszał szelest dochodzący z torby. Chryste Panie. Czyżby Brittany się zbudziła?

Schylił się i niby od niechcienia otworzył walizkę. Na twarz dziecka padła plama światła. Brittany zmarszczyła buzię i otworzyła oczy, ale w tej samej chwili Tom przymknął jej powieki. Co robić? Gdzie się podział sędzia?

Rozejrzał się, zdesperowany. Masterson siedzący w pierwszym rzędzie widzów, pochylił się i podał mu kartkę: „Moran, do kurwy nędzy, co się z tobą dzieje?”

Tom wsunął kartkę do kieszeni i zamknął oczy. Ojcze, wybac mi, bo zgrzeszyłem. Zgubiłem notatki, a dziecko zamknąłem w walizce. I nie wiem, ile to jest milimetr. Otworzył oczy, gdy sędzia wsunął się do sali z zafrapowaną miną.

- Panie i panowie - rzekł, zanim jeszcze dotarł do krzesła. - Proszę o wybaczenie. Zostałem wezwany w ważnej sprawie natury administracyjnej. Zdawało mi się, że potrwa to nie więcej niż pięć minut. Ale sami państwo wiedzą, jak to jest.

Sędzia usiadł. Twarz miał zaczerwienioną. Przysięgli uśmiechnęli się wyrozumiale. Canova ruchem ręki dał znak Tomowi.

- Panie Moran, proszę kontynuować. Chciałbym zobaczyć jakiś postęp, zanim pójdziemy na lunch.

- Oczywiście, panie sędzio.

Tom poruszył się niepewnie na krześle. Musiał skończyć przesłuchanie, zanim Brittany się zbudzi.

- A więc, panie Fahey, był pan w domu Chicken Billa tamtej nocy, tak?

- Byłem.

- Czy pan tam mieszkał?
- Nie, wpadłem tylko z wizytą.
- Po co pan tam poszedł?

Elvis zerknął na Harrisona, ten jednak nie zaprotestował.

- Tak sobie.
- To znaczy po co?

Tom wstał. Z walizki znów dobiegł szelest. To chyba papierowe pieluszki Brittaney. Serce zabiło mu mocniej w piersi.

- Często wpadałem do domu Chicken Billa.
- Żeby popalić trawkę, prawda?
- Sprzeciw! - wrzasnął Harrison, zrywając się z krzesła.

- Wysoki Sądzie - powiedział Tom. - Obrońca sam zapoczątkował wczoraj tę linię przesłuchania. świadek przyznał się do używania narkotyków, więc oskarżenie ma prawo to wykorzystać.

- Podtrzymuję - rzekł sędzia.

Uderzył młotkiem bez przekonania, lecz odgłos ten sprawił, że z walizki dał się słyszeć szmer papieru i ziewnięcie dziecka. Tom rozejrzał się nerwowo. Chyba nikt nie zwrócił uwagi. On stał blisko torby, więc usłyszał. Jak długo jeszcze będzie mu dopisywać szczęście? I jak długo wytrzyma dziecko?

- Panie Fahey - ciągnął Tom, ocierając pot z czoła. - Powiedział pan, że po usłyszeniu wystrzału zbiegł pan ze schodów i od razu poczuł benzynę.

- Tak.
- Czy wie pan, skąd pochodził ten zapach?
- Nie, benzyna była wszędzie, paliła się na podłodze.
- Czy widział pan, że ktoś rozlewał benzynę w domu?
- Nie.
- Czy widział pan, jak ktoś strzela w benzynę, żeby wzniecić ogień?
- Nie.

- A więc wie pan, kto był sprawcą podpalenia, tylko dlatego, że powiedział to panu Chicken Bill?

- Tak, on sam mi powiedział.

- Uiii - odezwała się cichutko walizka. Tom przełknął ślinę. Harrison spojrzał w stronę ławy oskarżyciela; Tom zakaszłał dwa razy.

- Panie Fahey - ciągnął odchrząknąwszy - zeznał pan, że mieszkańcy domu wybiegli

przez drzwi, tak?

- Tak. Latali i krzyczeli.

- Uiii - powtórzyła walizka. Tom zakaszlał gwałtownie niczym gruźlik.

Sędzia przechylił głowę i spojrzał z troską.

- Panie Moran, może powinien pan napić się wody.

- Nie, dziękuję - zająknął się Tom. - Ale przerwa na lunch dobrze by mi zrobiła.

- Wolabym z tym poczekać, panie mecenasie. Proszę kontynuować. Może szklanka wody panu pomoże.

- Tak, Wysoki Sądzie.

Przełknął wodę, kątem oka zerkając na walizkę, która zaczęła się leciutko poruszać. Tom zamarł z przerażenia. Brittany przebudziła się i wierciła teraz w środku. Była głodna i spragniona. Widział to po jej ruchach.

- Proszę kontynuować, panie Moran - powtórzył sędzia.

- Tak, panie sędzio. - Tom odstawił szklankę. - Panie Fahey, zszedł pan więc na dół, gdzie usłyszał odgłosy bieganiny i krzyki, tak?

- Tak, wszyscy latali i krzyczeli ratunku.

- Uiii - zakwiliła niecierpliwie walizka. Harrison zerknął znowu, unosząc brwi.

- Panie Fahey - powiedział głośno Tom, żeby zagłuszyć dźwięk. - Zbiegł pan po schodach do Chicken Billa, prawda?

- Tak, on tam leżał, cały we krwi i poparzony.

- Uiii - odezwała się walizka i Tom znów odkaszlnął. Kątem oka zauważył, że rysowniczką przerwała pracę. Stenotypistka zamruwała powiekami. Widzowie z pierwszych rzędów skierowali wzrok na walizkę. Za chwilę Masterson też usłyszy. Jezus Maria, Józefie święty.

- I wtedy zapytał pan Chicken Billa, kto wzniecił pożar?

- Tak.

- Uiiii - zakwiliła torba głośniejsz niż przedtem. Tom patrzył bezradnie, jak stenotypistka unosi głowę. Dwaj przysięgli w pierwszej ławie wymienili zdumione spojrzenia. Serce Toma kołatało niespokojnie. Co robić? Kaszel nie pomagał. Najlepiej udać, że nic się nie dzieje. Oddalił się od walizki.

- Panie Fahey - spytał, zbliżywszy się do świadka - czy twierdzi pan, że Chicken Bill wymienił Kowboja Rona jako sprawcę podpalenia?

- No. Tak powiedział. Kowboj Ron to popełnił.

Elvis skinął głową w stronę swego nowego chlebodawcy, lecz Ranelle spoglądał na

walizkę.

- Uiii, uiii - powiedziała torba, ale Tom udał, że nic nie słyszy. Masterson wiercił się niecierpliwie w ławce.

- A kiedy to mówił, wszyscy inni biegali i krzyczeli?

- No.

- Uiiii, uiiii - zakwiliło z walizki. Brittany musiała już porządnie zgłodnieć. Strażnik przechylił głowę. Asystenci sędziego chichotali, a przysięgli w drugim rzędzie rozglądali się, szukając źródła dźwięku.

Tom kontynuował przesłuchanie, jakby nieświadom tego, co się dzieje.

- I wybiegli z budynku, tak?

- No.

- Uiiii - powiedziała walizka o ton głośniejsze. Przysięgli wsłuchiwali się już tylko w ten dźwięk, i nawet sędzia poprawił aparat słuchowy. I właśnie wtedy Tom uświadomił sobie, że wszyscy słyszą Brittany... oprócz Elvisa.

- Jak pan mógł słyszeć w tym hałasie, co powiedział Chicken Bill? - spytał Tom.

- Słyszałem go bardzo dobrze.

- Słyszał pan dobrze w tym zgiełku?

- Tak.

- W huku ognia, w całym tym zamieszaniu?

- Tak.

- Uiiii - zakwiliła walizka. Tylko Elvis nie zareagował.

- Mimo że Chicken Bill był ranny, umierający i mówił szeptem?

- Słyszałem go - upierał się Elvis. Nie zareagował na dźwięki dochodzące spod ławy oskarżyciela, chociaż przysięgli siedzący o kilka metrów dalej słyszeli je doskonale. Spoglądali teraz to na Elvisa, to na walizkę. Sędzia pochylił się i skinął na strażnika. Tom wiedział już, co powinien zrobić.

- Czy nie pracuje pan przypadkiem na strzelnicy, panie Fahey? - spytał.

- Tak, od trzech lat. Sprzątam.

- A więc pracuje pan przy huku wystrzałów, prawda?

- No jasne - sarknął Elvis. - Dlatego nazywają to miejsce strzelnicą.

- Ale nie nosi pan w pracy słuchawek?

- A gdzie tam. To dla mięczaków.

Elvis roześmiał się w stronę przysięgłych, ale ci znów mu się nie odwzajemnili. Patrzyli poważnie; najwyraźniej zaczęli sobie uświadamiać, w czym rzecz. Tom dawał im

powód do odrzucenia zeznań Elvisa i wyglądało na to, że gotowi są to zrobić. Widzowie szeptali między sobą. Na twarzy Mastersona rozlał się szeroki uśmiech.

- Sprzeciw! - wrzasnął Harrison tak głośno, że nawet Elvis go usłyszał. Sędzia machnął tylko ręką.

- Panie Fahey, czy zgodzi się pan, iż pański słuch znacznie ucierpiał w wyniku pracy na strzelnicy, tak że nie mógł pan usłyszeć, co mówi Chicken Bill?

- Co? - spytał Elvis. I wtedy walizka rozplakała się w głos.

- Nie mam więcej pytań - powiedział Tom i rzucił się na ratunek swojej współpracownicy.

Tom i Marie leżeli na kołdrze, ubrani. Dzieci zasnęły między nimi. Ashley chrapała jeszcze po przebytej chorobie. Brittany oddychała prawie bezgłośnie. Z porcelanowej lampki na stole rozlewał się złocisty blask; zegar pokazywał drugą trzynastą. Było późno. Tom chciał zgasić światło, lecz nawet na to nie miał już siły.

- Jesteś pewien, że nie wylecisz z pracy? - spytała cicho Marie.

- Nie. Jestem bohaterem.

- Już dawno o tym wiedziałam - mruknęła i wyciągnęła nogę, by dotknąć palcem bosa stopy męża.

- Czy to jest seks? - spytał Tom.

- Tak.

- Zabawne. Pamiętam, że kiedyś wyglądało to inaczej.

Marie parsknęła. Tom przymknął oczy, słuchając śmiechu żony i oddechu dzieci. Nagle przyszło mu do głowy, że niebo różni się od tej sceny tylko tym, że jest ktoś, kto wyłączy za ciebie światło.

A potem zasnął mocnym snem.

Posłowie

Poproszono mnie, żebym wyjaśniła, co zainspirowało mnie do napisania Ukrytego współlnika. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że mam słabość do mężczyzn, takich jak Tom Moran. Tom pojawił się po raz pierwszy jako drugorzędna postać w powieści Rough Justice. Cechuje go trzeźwość umysłu, żywotność i gorące serce. Daje sobie radę z pieluszką. Jest lepszym katolikiem ode mnie. I nie jest supermanem: tak jak my wszyscy, trochę żongluje, a trochę się miota między pracą i domem, z lepszym lub gorszym rezultatem. A nade wszystko uwielbia być ojcem.

A to przecież cudowne.

Niniejsza antologia ma się ukazać tuż przed Dniem Ojca, więc moje opowiadanie dedykuję wielkiej wspólnocie wspaniałych ojców, jakich spotkałam w życiu: mojemu tatusiowi Frankowi, teściowi Carlowi i mojemu mężowi Peterowi, którzy są wspaniałymi żonglerami. Dziękuję wam za wszystko, panowie.

Lisa Scottoline

O autorach

William Bernhardt

William Bernhardt zadebiutował w 1992 roku powieścią Pierwsza sprawiedliwość, bestsellerem, który rozszedł się w ośmiu wydaniach w ciągu trzech miesięcy. Od tamtej pory napisał siedem kolejnych powieści, z których wszystkie stały się bestsellerami w Stanach Zjednoczonych. Nazwany przez dziennikarza „Vancouver Sun” „amerykańskim odpowiednikiem P. G. Wodehouse’a i Johna Mortimera”, Bernhardt zasłynął jako twórca cyklu powieści ze sprawiedliwością w tytule, których bohaterem jest Ben Kincaid (ślepa sprawiedliwość, śmiercionośna sprawiedliwość, Doskonała sprawiedliwość, Okrutna sprawiedliwość i Naga sprawiedliwość). To właśnie one sprawiły, że dziennikarz „Library Journal” nazwał Bernhardta „mistrzem dramatu sądowego”. Jest także autorem Podwójnego ryzyka, thrillera określonego w „Washington Post” mianem „książki, od której nie sposób się oderwać”, i The Code of Buddyhood, powieści o dojrzewaniu, którą krytyk z „Oklahoma Daily” nazwał „przejmującym, głębokim studium przyjaźni”. Książki Williama Bernhardta zostały przetłumaczone na kilkanaście języków. Za Doskonałą sprawiedliwość otrzymał nagrodę Oklahoma Book Award za najlepszą powieść roku. W roku 1997 nazwisko Bernhardta znalazło się w Galerii Sławy pisarzy stanu Oklahoma. Jego najnowsza powieść nosi tytuł Najwyższa sprawiedliwość.

Jay Brandon

Jay Brandon jest absolwentem wydziału pisarstwa na uniwersytecie Johna Hopkinsa. Za powieść *Fade the Heat* otrzymał nominację do nagrody najlepszego thrillera w roku 1990. Jay pracował jako prokurator w swoim rodzinnym mieście San Antonio i w sądzie apelacyjnym, najwyższej instancji sędziowskiej stanu Teksas. Nadal pracuje w zawodzie prawnika.

Szósta powieść Jaya, *Loose Among the Lambs*, znalazła się wśród pozycji wyróżnionych przez stowarzyszenie *The Literary Guild*. Powieść z 1995 roku *Local Rules* została opublikowana w formie skróconej przez „*Reader's Digest*”. W 1996 roku Jay Brandon opublikował swoją pierwszą książkę dokumentalną: wspomnienia z pracy w zawodzie prawnika, zatytułowane *Law and Liberty* (*Prawo i wolność*).

Powieści Jaya Brandona ukazały się w kilkunastu krajach, a prawa do nich z możliwością sfilmowania wykupili między innymi Steven Spielberg, Bill Cosby i Burt Reynolds.

Jay mieszka w San Antonio z żoną i trójką dzieci. Jego kolejna powieść, *Angel of Death*, ukaze się jesienią.

Phillip Friedman

Philip Friedman, autor międzynarodowych bestsellerów, takich jak *Reasonable Doubt* (Uzasadnienie wątpliwości), *Inadmissible Evidence* i *Grand Jury*, urodził się w Nowym Jorku, a wychował w pobliskim mieście Yonkers. Studiował matematykę, a później prawo; podczas pracy przy produkcji filmu poznał radość układania historii i zdecydował, że właśnie tym będzie się zajmować. Tak jak bezimienny bohater *Drogi*, przemierzył kraj samochodem wiele razy, choć nigdy nie zdarzyło mu się jechać, by bronić w sądzie człowieka oskarżonego o morderstwo.

John Grisham

John Grisham jest pierwszym i jedynym pisarzem w historii USA, który osiągnął tak oszałamiający sukces w tak krótkim czasie. Niespotykane powodzenie sensacyjno-obyczajowych powieści prawniczych młodego adwokata zostało poparte uznaniem krytyków i wybitnymi ekranizacjami.

John Grisham mieszka z rodziną w stanach Wirginia i Missisipi. Jego powieści to Czas zabijania, Firma, Raport pelikana, Klient, Komora, Rainmaker, Ława przysięgłych, Wspólnik i obrońca ulicy.

Jeremiah Healy

Jeremiah Healy, absolwent Rutgers College i Harvard Law School, przez osiemnaście lat wykładał w New England School of Law. Stworzył postać Johna Francisa Cuddy'ego, prywatnego detektywa z Bostonu.

Pierwsza powieść Healy'ego, *Blunt Darts*, została zaliczona przez „New York Timesa” do siedmiu najlepszych thrillerów 1984 roku. Druga powieść, *The Staked Goat*, otrzymała Nagrodę Shamusa za najlepszą powieść detektywistyczną 1986 roku. Do Nagrody Shamusa nominowano jedenaście jego książek (sześć powieści i cztery zbiory opowiadań). Późniejsze książki Healy'ego to *So Like Sleep*, *Swan Dive*, *Yesterday' News*, *Right to Die*, *Shallow Graves*, *Foursome*, *Act of God*, i *Rescue*. Przedostatnia powieść Healy'ego, *Invasion of Privacy*, otrzymała nominację do Nagrody Shamusa za najlepszą powieść, a ostatnia, *The Only Good Lawyer*, ukazała się w lutym 1998 roku.

Michael A. Kahn

Michael A. Kahn jest autorem powieści *Sheer Gall*, *Due Diligence*, *Firm Ambitions* oraz dwóch innych, gdzie występuje bystra prawniczka z St. Louis Rachel Gold, którą krytyk z magazynu „Bookends” określił mianem „bohaterki lat dziewięćdziesiątych”.

Michael Kahn jest aktywnym prawnikiem, współnikiem w jednej z największych kancelarii w St. Louis. Pracuje także jako wykładowca prawa medialnego na Webster University. Jego powieści zostały wydane w wielu językach na całym świecie.

Krytyk z czasopisma „Publisher's Weekly” napisał, że ceni powieści Michaela Kahna „za inteligencję, żywe dialogi i ciekawą intrygę”, a ostatnią z nich, *Sheer Gall*, określa mianem „złożonej i frapującej”. Krytyk z „Orlando Sentinel Tribune” napisał, że „*Sheer Gall* to znakomite połączenie inteligencji, dowcipu i inwencji”. Recenzent z „St. Louis Post-Dispatch” stwierdził zaś, że *Firm Ambitions* „to znakomita powieść, która z każdą stronką staje się lepsza”.

Phillip Margolin

Phillip M. Margolin wychowywał się w Nowym Jorku i Levittown. W latach 1972-1996 pracował jako adwokat specjalizujący się w procesach karnych i postępowaniach odwoławczych. Występował między innymi przed Sądem Najwyższym Stanów

Zjednoczonych, Sądem Apelacyjnym Dziewiątej Instancji, Sądem Najwyższym Stanu Oregon i Najwyższym Sądem Apelacyjnym Stanu Oregon. Jako adwokat zajmował się wszelkimi rodzajami spraw karnych, broniąc między innymi trzydziestu oskarżonych o morderstwo, w tym kilku, którym groziła kara śmierci. Był pierwszym adwokatem w Oregonie, który wykorzystał tak zwany syndrom maltretowanej kobiety do obrony w procesie o zamordowanie małżonka.

Od roku 1996 Margolin zajmuje się przede wszystkim pisaniem. Opublikował pięć powieści, z których wszystkie trafiły na listę bestsellerów „New York Timesa”. Jego debiutancka powieść, *Heartstone*, została nominowana do Nagrody Edgara w kategorii najlepszego thrillera 1978 roku. Druga, *The Last Innocent Man*, została przeniesiona na ekran przez telewizję HBO. Powieść *Gone, But Not Forgotten* została sprzedana ponad dwudziestu zagranicznym wydawcom. Znalazła się też na liście najlepszych książek stowarzyszenia *The Literary Guild*. *After Dark* została wybrana jedną z najlepszych książek miesiąca. Piąta powieść Phillipa Margolina, *The Burning Man*, opublikowana w sierpniu 1996 roku, trafiła na listę *The Literary Guild* i została wydana w skróconej wersji przez „Reader’s Digest”. Oprócz powieści, Phillip Margolin pisze również opowiadania oraz artykuły do czasopism.

Steve Martini

Steve Martini napisał swoją pierwszą książkę, jeszcze zanim został prawnikiem. Pracował wówczas jako dziennikarz w Los Angeles i korespondent izby stanowej w Sacramento. Steve Martini opublikował do tej pory sześć powieści: *The Simeon Chamber*, *Niezbity dowód* (1992 r.), trafił na listę Klubu Książki Miesiąca. Trzecia powieść Martiniego, *świadek koronny*, została opublikowana w 1991 roku i także stała się bestsellerem. Przez trzy miesiące gościła na liście najlepiej sprzedawanych książek „New York Timesa”.

Formy nacisku, czwarta powieść prawnicza Steve’a Martiniego, wydana w 1994 roku, zdobyła sobie miano „najlepszego dramatu sądowego roku” („Kirkus”). Krytyk z czasopisma „*Publisher’s Weekly*” nazwał ją „intrygującym dramatem sądowym” i dodał, że „czytelnik tej książki nie będzie mógł się od niej oderwać, jeszcze zanim rozpocznie się opis procesu”. Na podstawie tej książki telewizja CBS nakręciła miniserial. Powieść *Sędzia* znajdowała się na liście bestsellerów „New York Timesa” przez siedem tygodni, najnowsza powieść Martiniego nosi tytuł *Lista*.

Richard North Patterson

Richard North Patterson ukończył w 1968 roku Ohio Wesleyan University, gdzie zasiada teraz w radzie uczelni. W 1974 roku został absolwentem Case Western Reserve University's School of Law.

Studiował pisarstwo pod kierunkiem Jesse Hill Forda na Uniwersytecie Alabamy w Birmingham; jego pierwsze opowiadanie zostało opublikowane w czasopiśmie „The Atlantic Monthly”, a pierwsza powieść, *The Lasko Tangent*, zdobyła nagrodę imienia Edgara Allana Poe w 1979 roku. W latach 1984-1985 Richard Patterson wydał powieści *The Outside Man*, *Escape the Night* i *Private Screening*. Jego pierwsza po ośmiu latach przerwy powieść, *Degree of Guilt*, wydana w 1991 roku, i następna, *Eyes of a Child*, wydana w 1995 roku, stała się podstawą scenariusza miniseriale nakręconego przez NBC-TV. Obie zyskały status bestsellerów, a pierwsza, *Degree of Guilt*, uhonorowana została francuską nagrodą *Grand Prix de Litterateur Policiere* w 1995 roku. Powieść *The Final Judgment*, także opublikowana w 1995 roku, stała się trzecim kolejnym bestsellerem tego autora. Następna, *Silnet Witness* ukazała się w styczniu 1997 i natychmiast została bestsellerem.

Najnowsza powieść Richarda Pattersona, *No Safe Place*, podejmująca problem prezydentury i aborcji, została wydana w sierpniu 1998 roku. Artykuły Richarda Pattersona poświęcone analizie współczesnego społeczeństwa ukazywały się w takich czasopismach, jak „The London Times”, „USA Today” i „Washington Post”.

Lisa Scottoline

Lisa Scottoline pracowała jako adwokat w prestiżowej kancelarii prawniczej w Filadelfii, a także pełniła funkcję asystentki sędziego w Sądzie Apelacyjnym Trzeciej Instancji i Sądzie Najwyższym Stanu Pensylwania. Ukończyła z wyróżnieniem University of Pennsylvania, gdzie była zastępcą redaktora przeglądu prawnego.

Za swoją drugą powieść sądową, *Final Appeal*, została uhonorowana Nagrodą Edgara; pierwsza, *Everywhere That Mary Went*, była nominowana do tej samej nagrody. Kolejne książki Lisy Scottoline - *Rough Justice*, *Legal Tender* i *Running From the Law* zyskały sobie entuzjastyczne recenzje w czasopismach takich, jak „Kirkus” i „Publishers Weekly”. Książki Lisy Scottoline zostały przetłumaczone na ponad dwadzieścia języków. Autorka urodziła się w Filadelfii, gdzie mieszka wraz z rodziną. Czytelnicy mogą do niej pisać pocztą elektroniczną na adres <http://www.scottline.com>.

Grif Stockley

Grif Stockley od dwudziestu pięciu lat pracuje jako prawnik w Centrum Usług Prawniczych w Arkansas (Center for Arkansas Legal Services), organizacji społecznej finansowanej przez rząd, której zadaniem jest zapewnianie pomocy prawnej ludziom ubogim. Grif Stockley otrzymał tytuł Obywatela Roku, przyznawany przez Stowarzyszenie Pracowników Społecznych Stanu Arkansas, a także nagrodę adwokacką imienia Jima Milesa od Stowarzyszenia Przybranych Rodziców Stanu Arkansas. W roku 1994 rada adwokacka okręgu Pułaski, największego w stanie Arkansas, wybrała go na Prawnika-Obywatela Roku.

Grif Stockley jest autorem powieści Expert Testimony, Probable Cause, Religious Conviction, Illegal Motion i Blind Judgment.